

PAWEŁ JASIENICA

PAMIĘTNIK

OD REDAKCJI

Po piętnastu latach od śmierci Pawła Jasienicy wciąż nie znamy całości jego dzieła. W wyniku osobliwej polityki wydawniczej podtrzymuje się pozory stałej obecności twórczości Jasienicy na rynku czytelnictwa; wszak uchylony został zakaz publikacji, jakim przez wiele lat obłożono już nie pojedyncze utwory pisarza, lecz wszystko, cokolwiek napisał. Nie naprawiona została (czy to zresztą w ogóle było możliwe?) krzywda, uczyniona jemu i jego dobremu imieniu, ale książki Jasienicy, ostatnio nawet z nieco większą częstotliwością, są wydawane.

Do tej pory nie doczekała się jednak edycji najbardziej osobista, niedokończona wypowiedź pisarza - „Wspomnienia”. Publikacja wybranych fragmentów w „Przeglądzie Katolickim (według kryteriów przede wszystkim „cenzuralności”) nie może zastąpić wydania pełnego tekstu.

„Wspomnienia” Pawła Jasienicy publikujemy na podstawie jednego z odpisów. Nie mieliśmy możliwości skolacjonować go z maszynopisem autorskim (jeżeli taki istnieje; Jasienica pracował nad „Wspomnieniami” w ostatnich miesiącach życia).

WEZWANIE

DZIĘKUJEMY REDAKCJI „WEZWANIA” ZA UDOSTĘPNIENIE TEKSTU

I

Poniedziałek, 5 stycznia 1970 roku

To musiał być wczesny wieczór: z góry padało już na stół silne światło lampy naftowej, lecz nas z bratem jeszcze nie zapędzono do łóżek. A może rodzice nie mieli wówczas głowy po temu? Pochyleni nad jakimś papierem, nad listem czy gazetą, debatowali zawzięcie. Zahaczyły mi się o pamięć ich słowa dotyczące tajemniczych spraw - zamarznętej rzeki, przerebli w pobliżu mostu, czyjś kalosza porzuconego na lodzie.

Łatwo mi dzisiaj rozszyfrować znaczenie owych urywków wspomnień, bez błędu dopasować tamten wieczór do chronologii wydarzeń powszechnie uznawanych za historyczne, nawet za „wstrząsające światem”. Był to po prostu sam początek roku 1917, któryś z jego najpierwszych dni. Polska para inteligencka, zamieszkała w miasteczku Maksaticha guberni twerskiej Imperium Rosyjskiego, roztrząsała świeżo otrzymaną wiadomość o gwałtownej śmierci Grzegorza Rasputina. - Stary porządek pękał o własnych siłach.

Upłynęło pięćdziesiąt trzy lata (znowu jest wczesny wieczór styczniowy, wigilia Trzech Króli), szmat czasu wystarczająco rozległy by móc stwierdzić, że wbrew gromkim zapowiedziom pewnego wieszczka „kobyła historii” wcale nie została zajeżdżona. Ruszyła wtedy ostro z miejsca, wzięła sporo barier, lecz i zawlekła niektórych, imponująco zresztą licznych swych pasażerów w regiony zjawisk osobliwych, z filozoficznego punktu widzenia zdecydowanie zabawnych.

Rozpocząwszy przed dwoma miesiącami siódmy krzyżyk, zasiadłem oto do pisania mej dwudziestej pierwszej książki, czyli pamiętnika. Cóż bardziej normalnego u literata, który od najwcześniejszego dzieciństwa przejawiał nałogowe zainteresowanie dla historii, w jej zakresie odbył studia uniwersyteckie, poświęcił jej większość swych wspomnianych przed chwilą wypracowań i był świadkiem interesujących zjawisk dziejowych? W pewnych okolicznościach postępowanie logiczne może się okazać karygodną lekkomyślnością. Nie wiem, nikt nie może mi zaręczyć, jaki będzie los tych pokrytych piórem kartek, czemu i komu one posłużą. Mój dom wcale nie jest moją twierdzą. Nie jestem panem szuflady własnego biurka.

Pisarzowi nie przysługuje dziś w Polsce swoboda twórczości. W pełni cieszą się za to czynniki polityczne.

W lutym 1968 roku trzech starsi panowie - Zygmunt Mycielski, Juliusz Żuławski i autor tej książki - zastanawiali się wspólnie nad potrzebą i sensem wysłania do przewodniczącego Rady Państwa listu, protestującego przeciwko zdjęciu ze sceny „Dziadów” Mickiewicza. Szacowni gentelmeni debatowali przez cały wieczór, następnego zaprosili do swego grona jeszcze jednego rówieśnika, Jerzego Andrzejewskiego oraz przedstawiciela pokoleń młodszych, pięćdziesięcioletniego Pawła Hertza. Rozprawiano, wypito sporo kawy, sporządzono projekty listu i postanowiono ostatecznie nic nie pisać. Wkrótce potem swoboda twórcza zatriumfowała w Warszawie i w całej Polsce. Prasa poinformowała naród o rzeczowej naradzie, odsłoniła jej złowrogi charakter. Z kameralnej, w czterech ścianach prowadzonej i jałowej w rezultacie rozmowy kilku osób uczyniła fragment spisku, mającego na celu zamach stanu, zmianę ustroju oraz inne okropności.

Quae cum ita sint... do czegoż posłużyć może bezbronny maszynopis pamiętnika, którego autor mniema skromnie, że skoro wolno mu mieć prywatny pogląd na czyny i poziom moralny króla Dawida, to tym bardziej na fakty oglądane własnymi oczami? Oczywiście do wykazania, że walka ideologiczna nie tylko trwa, lecz rozpała się groźnie, co wymaga wzmożenia czujności, zdrowego morza na odwilżowe miazmaty. - Posłuch wobec pisarskiego powołania może się niekiedy okazywać czynnością podobną do sączenia oliwy w tryby mechanizmu represji. W lutym 1968 roku tak zwane czynniki nie chciały przyjąć do wiadomości, że protest literatów przeciwko konfiskacie „Dziadów” nie był sprawą polityki, ale sumień. Po rozgadanym lutym nastąpił nacechowany namacalnym konkretem marzec.

Jesienią 1967 roku uczestniczyłem, jako mąż zaufania oskarżonej, w toczonym przy drzwiach zamkniętych, lecz mimo to głośnym na cały kontynent procesie Niny Karsow. Wśród należących do niej papierów znalazły organa śledcze pamiętnik, zaopatrzony na wstępie zastrzeżeniem: do opublikowania w dwadzieścia lat po śmierci autorki. Prokurator uznał to za kamuflaż, samo zaś pismo za materiał przeznaczony do natychmiastowego wywiezienia za granicę w celu drukowania, szkalowania, walki... Na próżno obrońcy - Jan Olszewski i Władysław Siła - Nowicki - wywodzili, że tego rodzaju praktyki, same w sobie niesłuszne i krzywdzące, mogą się w dodatku fatalnie odbić na rozwoju literatury pamiętnikarskiej w Polsce.

Michał Bobrzyński ujemnie oceniał antyukraińskie pomysły generała Tadeusza Rozwadowskiego. Szkodzenie wybitnemu żołnierzowi nie interesowało go jednak, skoro zabronił ogłaszania pamiętnika wcześniej niż w ćwierćwiecze po zgonie autora. Jakoż wydrukowano książkę wtedy, gdy Rozwadowskiemu wszystkie sprawy tego padołu były już od dawna obojętne. Za to wspomnienia galicyjskiego namiestnika nie utraciły znaczenia dla

kultury polskiej. Nie przegrała ona na tym, że ekscelencja był samowładnym panem szuflad we własnym biurku.

Minister Kazimierz Świtalski zastrzegł przed śmiercią stanowczo, że jeśli memuary jego mają być ogłoszone, to tylko jako całość. W „Kulturze” warszawskiej ukazały się ich wybrane fragmenty, uzyskane drogą... urzędową.

Znałem takiego, który jesienią 1944 roku, wylądowawszy po rozmaitych przygodach u gospodarza w białostockim, w chwilach wolnych od troski o bydło tudzież od innych zatrudnień parobczańskich, zajął się utrwalaniem piórem swych przeżyć. Był oficerem zawodowym, zrzutkiem - „cichociemnym”, konspiratorem i partyzantem. Którejś nocy funkcjonariusze sowieckiego KGB położyli rękę na zapisanych brulionach, no i na ich autorze. Obiło mi się później o uszy, że kopał on węgiel w stronach niezbyt odległych od Bieguna Północnego.

Tego rodzaju przygody już nie grożą pamiętnikarzom. Jeśli nawet wszystko lub' niemal wszystko zostało u nas po staremu, to jest niewątpliwie wykonywane łagodniej. Nie może to jednak uwolnić od lęku o los własnej pisaniny. System, któremu zagrażają dziś wyłącznie konsekwencje jego własnych błędów, pielęgnuje i nieustannie podsyca mit wszechstronnego zagrożenia. Swobodne wywody i oceny pisarskie mogą posłużyć za pożywkę propagandzie wrogiej wszelkiej swobodzie myśli, nagonkom uprawianym w dodatku przez miernoty, którym cenzura prewencyjna i policyjny zakaz stwarzają jedyną szansę życiową.

Poranek 29 lutego 1968 roku, który to dzień przeszedł do historii jako data protestacyjnego zebrania literatów warszawskich, poranek ten spędziłem na Cmentarzu Powązkowskim, samotnie. Było to zaiste najbardziej właściwe miejsce do rozmyślań o tym, co miało się odbyć wieczorem. Nie łudziłem się ani przez chwilę, nie wierzyłem w doraźnie pomyslny skutek protestu. Co razem wzięte wcale nie. zwalniało od dotkliwie odczuwanego obowiązku. Z własnej inicjatywy, nie naradzając się z nikim, postanowiłem poprzednio, że wystąpię, złożę wniosek o tajne głosowanie, a w przemówieniu podniosę między innymi sprawę antysemityzmu. Nic to nie pomoże, niczemu nie zapobiegnie, lecz zgodne będzie z tą najprostszą i najbardziej słuszną filozofią życiową, która nakazuje przestrzegać przyzwoitości.

Podobne, w ogólnych zarysach, myśli snują mi się po głowie i teraz, kiedy nareszcie zdecydowałem się posłuchać głosu przemawiającego we mnie od lat, od wielu lat, podjąć ryzyko, które nie jest niestety moim ryzykiem osobistym tylko. Wierność samemu sobie na pewno jest obowiązkiem pisarza, trzeba ulegać przymusowi wewnętrznemu. A w dodatku -

kto jest z wykształcenia historykiem ten powinien znać cenę pamiętnikarskich wyznań... nawet obciążonych „przekleństwem subiektywizmu”, nawet kłębiących się od mniemań mylnych. „Dłużej klasztoru niżli przeora”. Niechże przyszli lokatorzy nadwiślańskiego konwentu, gdy już ustana nas dzisiaj trapiące, mało powabne monachomachie, zyskają jedną więcej okazję do wyrozumiałych - miejmy nadzieję! - rozważań, do utwierdzenia się w zbawiennym przekonaniu, że „quantilla sapientia regitur mundus” - nikła mądrość światem rządzi. Do takiego bowiem wniosku doszedł autor tej książki, którego żywot przypadł na czasy historii skondensowanej, jak nigdy jeszcze.

Bo trudno dopatrzeć się innego niż klanowo użytkowy sens w przyczynach omówionych przed chwilą lęków i zahamowań. Polityczni władarze utracili miarę nie tylko szkód, wyrządzanych ogółowi, więc samym sobie również, lecz i własnej śmieszności. Wygody administracyjne, możność niekontrolowanego przez plebs smakowania władzy i pożywania jej owoców wydają im się dobrem najwyższym. Z tego to powodu literatura spełniać winna funkcje, które Stefan Żeromski w fantastycznej zresztą opowieści przypisał bardom, otaczającym średniowiecznego monarchę: „A pieśń jasnego pana za nogi obłapia, czołem mu bije...”

Zasiadłem więc do pracy pamiętnikarskiej, nie mając żadnych zapisek osobistych, niczego co przypominałoby dziennik. Przechowuję, owszem, notatniki z wypraw reporterskich oraz zagranicznych. Stwierdzenie, że tego dnia zwiedzałem wykopaliska w Wiślicy, innego bawiłem w Szanghaju, a jeszcze innego w Tours to materiał w miarę istniejących warunków neutralny, względnie bezpieczny. Wprawdzie pewien podający się za literata macher polityczny twierdził publicznie, iż nie wybrałem wolności, powróciłem do Polski, aby w porozumieniu ze syjonistami siać w niej uplanowany zbrodniczo zamęt, ale niszczenie owych notatników byłoby ostrożnością przesadną, skoro w sanktuarium Ministerstwa Spraw Wewnętrznych leży paszport, stwierdzający moją obecność we Francji i w Anglii akurat podczas „wojny sześciu dni”.

Nigdy nie interesowały mnie tak zwane dzienniki pisarskie, głoszące, że autor spacerował o zachodzie słońca nad potokiem Nasiczeńskim na przykład, rozmyślał o „Doktorze Faustusie”, wołał w duchu: cóż za głębie!, i uznał za konieczne przekazać tę wiadomość potomnym.

Notatek dotyczących umówionych czy też c' „tych spotkań i rozmów z ludźmi, faktów i ich ocen unikałem jak ognia. Ileż było trwogi w Warszawie, kiedy aresztowany został Jerzy Kornacki, któremu przyszła do głowy działalność opozycyjna, polegająca na masowym rozsyłaniu anonimów nasyconych i przesyconych mało wybredną pornografią. Na same

epistoły wruszano ramionami, całkiem inne sentymenty wzbudzała wiadomość o skonfiskowanym Kornackiemu dzienniku, który zawierał podobno systematycznie co wieczór spisywane relacje konkretne, takie z nazwiskami oraz ze streszczeniem tego, co kto myśli i mówi. Jeden z bliskich mi ludzi miał niewczesny zwyczaj króciutkiego notowania w kalendarzyku kieszonkowym rozmaitych swoich spotkań i pogawędek, a lubił je bardzo. Przy właściwej okazji zabrano mu książeczkę, awansując ją tym samym do rzędu materiałów urzędowych. Żal było patrzeć na człowieka przygniecionego poczuciem odpowiedzialności moralnej za to, co stać się może.

Sądzę, że spełniłem obowiązek historyka ostrzegając ewentualnego czytelnika, wskazując okoliczności, które osłabiają wartość dowodową niniejszego pamiętnika. Zabieram się do pracy, skazany na posługiwanie się pamięcią, wycinkami prasowymi i temu podobnym materiałem pomocniczym. Nie mogło być inaczej.

Muszę jednak wspomnieć, że posiadałem coś w rodzaju pamiętnika, spisanego na gorąco, ze świeżej pamięci. Było tego dobrego z dziesięć grubych brulionów. Po wyjściu z więzienia w roku 1943 spaliłem je i starannie wymieszałem popiół. W porę to zrobiłem. Wkrótce potem ksiądz, który je przechowywał, niepoprawny głosiciel nonkonformistycznych kazań, został aresztowany, osądzony i pożegnał się z wolnością na parę lat. Szkoda relacji z końcowych dni dziejów Armii Krajowej na Wileńszczyźnie, z wydarzeń wojny domowej na Podlasiu w roku 1944 i 1945, z działań brygady „Łupaszki”. Byłaby pewnie cennym materiałem dla historyka każdej barwy politycznej. Gdyby jednak popadła w urzędowe ręce i to wtedy, w tak zwanym minionym okresie... Najbardziej łagodna perspektywa to możliwość sprawdzenia przy jej pomocy zeznań, składanych w śledztwie przez dziesiątki albo i setki ludzi (a także szczerości tych licznych, co się poprzednio ujawnili). Zapobiegł temu ogieniek rozpalony w żelaznym piecyku, zwanym w Warszawie „kozą”.

Kiedy starannie mieszałem w nim popiół ozogiem, miałem już za sobą kawałek przemierzonej nowej drogi życiowej, byłem od lat paru dość znanym w Polsce publicystą. Znaczy to także, iż rozpocząłem zaprawę w praktyce, która musi tu być wspomniana jako jedna więcej okoliczność usposabiająca nieufnie wobec tego pamiętnika.

Minie wkrótce dwudziesta czwarta rocznica mej zawodowej pracy literackiej. Przez cały ten czas nie napisałem ani jednej stronicy swobodnie. Kreśleniu każdego zdania towarzyszyła świadomość istnienia cenzury prewencyjnej. Ludzie twierdzą, że osiągnąłem znaczną biegłość w pisaniu między wierszami. Ileż wysiłku włożyłem w czynność poniżającą - w wymijanie przewidywanych zahaczeń, niebezpieczeństw takiej mowy, co jasno wyraża myśl. Moje książki nie zawierają kłamstw. Mieszczą się w nich moje własne poglądy...

wyłoszone oględnie, lub cząstkowo. Istnieje oczywiście mnóstwo tematów, których nie poruszyłem, aczkolwiek należało. Dzisiaj, przy tym pamiętniku, o którego książkowym wydaniu nawet nie marzę, zatrważa mnie ów długoletni trening w oględności. Nawyki zapaść mogły w podświadomość, teoria odruchów warunkowych, przeistaczających się niekiedy w bezwarunkowe, podsuwa przewidywania mało pochlebne dla pisarskich ambicji. Trudno zepchnąć z siebie... ależ nie!: wyrzucić z własnego wnętrza balast ćwierćwiecza. Tym trudniej, że nie sposób samego siebie do końca skontrolować.

Tego rodzaju wyznania to niezbyt przyjemny start wspomnień. Ale co lepiej, przyznać się otwarcie do wiedzy o nędzy własnej sytuacji, czy zaczynać od tajenia prawdy, czyli - *mutatis mutandis* - od kłamstwa?

Nie zamierzam roztkliwiać się nad samym sobą, podobny do mego, albo i znacznie cięższy los jest udziałem mnóstwa ludzi zamieszkałych w centrum i na wschodzie Europy, w zasięgu mocy lub politycznego promieniowania kraju, który już za moich czasów wysadził się na taką osobliwość, jak afera wzmiankowanego Grzegorza Rasputina. Wszyscy razem wzięci jesteśmy ofiarami absurdu w postaci czystej. Dziś, w roku 1970, nie można już wątpić, że system komunistyczny osiągnąłby znacznie więcej i funkcjonował bez porównania lepiej, gdyby nie metoda trzymania „myśli w obcęgach”. Korzystałby z dobrodziejstw prawdy, sformułowanej dość dawno przez Hugona Kołłątaja: „Mowa wolności jest całemu światu sympatyczna. Rozumie ją każdy człowiek”.

„O Rosjo, Rosjo! - pisał 24 sierpnia 1915 roku Czesław Jankowski. - Kiedyż nauczysz się robić w porę to, co we własnym twoim interesie musi być uczynione we właściwym czasie!”

Zabawiam się czasem rozmyślaniami o pewnych okolicznościach, które istniały grubo przed datą mego przyjścia na świat a mogły sprawić, że żyłbym i pisał w stronach mniej podległych ideologicznym dyktatom. Mój dziad po mieczu, Ludwik Beynar, uczestnik powstania styczniowego, uskoczył spod ręki Murawjewa do Francji, ożenił się w Tuluzie ze sfrancuziałą Hiszpanką Joanną Adelą Feugas. Ojciec matki, Wiktor Maliszewski, syn powstańca z 1830 roku i członka Wielkiej Emigracji, urodził się w Nantes. Uważał się za Polaka i mówił po polsku, lecz niektóre spółgłoski naszej mowy stanowiły dlań aż do zgonu u *obstacle infranchissable*. Obaj oni w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku przesiedlili się z powrotem w granice Imperium Rosyjskiego. Pierwszy zmarł jako poddany Aleksandra III, drugi doczekał Sowietów i zamknął oczy w tym samym roku, co Lenin.

Co bym robił i jakie teorie głosił, gdyby nie ich decyzja powrotu, gdyby M. Nicolas Beynar, mój rodzic, ożenił się avec Mile Helene Maliszewski, moją matką, nie w Kijowie,

lecz w tymże Nantes? (Starszy brat dziada Ludwika, Teobald, żonaty dla odmiany z Rosjanką, pozostał w Tuluzie, a liczni jego potomkowie, Francuzi już d'origine, nie mają żadnych kłopotów z nazwiskiem, które pochodzi z Wielkiego Księstwa Litewskiego, ma podobno rodowód tatarski, ale i nad Garonną wymawia się gładko, może tam uchodzić za rodzime).

Więc co bym robił, zakładając, że miejsce urodzenia nie wpłynęłoby na zmianę mych zainteresowań i uzdolnień? Może rezydując po paryskich kawiarniach głosiłbym konieczność zburzenia aż do fundamentów cywilizacji konsumpcyjnej, jej obrzydliwych obyczajów i norm, a jednocześnie uznawał prawo do własnej szuflady za rzecz naturalną i oczekiwał od policji pilnej ochrony takowego.

„Głupstwo jest wieczne, głupstwo nie może umierać” - twierdził Słowacki, zapominając dodać, że jest również powszechne.

Dodać jeszcze muszę, że nigdy nie złorzeczyłem własnym dziadom za ich wiadome postanowienie. Jest to zapewne kwestia irracjonalnych sentymentów.

II

Urodziłem się w Rosji, tam spędziłem wczesne dzieciństwo. W domu mówiło się tylko po polsku, książek - sprowadzanych od p. Idzikowskiego z Kijowa - było zawsze sporo, zwłaszcza powieści historycznych. Mimo to, razu pewnego sprowokowałem w rodzinie straszliwy, chociaż krótkotrwały na szczęście skandal, a to na tle podejrzeń o wynarodowienie, o zaprzaństwo. Znam zresztą tę historię tylko z opowiadania rodziców, bo sam miałem wtedy coś ze cztery lata.

Pojechaliśmy do Kijowa, w odwiedziny do rodziny matki. Rezydowała tam, czuwała i stała na straży jej ciotka, Zofia Kamińska, herbu Rawicz, stara już pani, a ściślej mówiąc: panna, uczestniczka powstania styczniowego, ubrana zawsze w czerń, z krzyżykiem ozdobionym koroną cierniową na szyi. Kiedy jej najmłodszy brat wyjeżdżał na posadę w głąb Rosji, babka Zofia wyszukała mu narzeczoną i ożeniła go prewencyjnie, żeby się czasem „z Moskiewicą” nie związał. Systematycznie odwiedzała spokrewnione domy i w lepiej sytuowanych konfiskowała przeczytane książki polskie, by je zawieźć uboższym familiantom. - Wy sobie możecie nowe kupić, a ich na to nie stać - mawiała. I oto wkraczając do mieszkania arcykapłanki odezwałem się, zapewne chcąc zrobić jej przyjemność i uprzedzić innych:

- A wot my wam, babuszka, gastiniec priwiezli.

Wyjaśnienia trwały krótko i zabrakło czasu, by spalić mą matkę na stosie. Ja sobie po prostu wyobrażałem, że mowę polską pojmują tylko rodzice, brat i nikt więcej na świecie. No, najwyżej jeszcze - i to piąte przez dziesiąte - służące, które budziły wśród Rosjan sensację haftem na koszuli, naszyjnikami z koralami, białym kożuchem, bo matka zawsze sprowadzała je z Ukrainy.

Zawiłości językowe należały jakoś u nas do tradycji. Dziad Ludwik po wyjeździe z Francji osiedlił się w Sankt Petersburgu, gdzie nieźle mu się powodziło, jako urzędnikowi towarzystwa asekuracyjnego. Jego teściowa mówiła tylko po hiszpańsku, małżonka - czyli moja babka - po hiszpańsku i francusku, służba bywała rosyjska. Przydała się ojcu ta zaprawa, kiedy kończył później we Francji wyższe studia agronomiczne i konserwatorium muzyczne, ale w wieku chłopięcym musiał pobierać lekcje polszczyzny, której w domu prawie nie słyszał.

Tekstu hymnu narodowego nauczono mnie na pamięć wcześniej, zanim zdążyłem dowiedzieć się czegoś na temat historii. Wstydziłem się jakoś zapytać o wyjaśnienie, ale nie

mogłem pojąć, co właściwie ten bliżej mi nieznany pan Czarniecki robił na płocie. Dostojnego słowa „zabór” używa się w mowie potocznej, domowej, raczej rzadko, rzeczownik zaś we wszelkim względzie pospolity „zabor” co po rosyjsku płot.

Dzieciństwo spędzone w Rosji, wspomnienia sięgające czasów carskich, to pokusa dostosowania się do jednego z naszych narodowych obyczajów pamiętnikarskich. Kilka lat temu czytałem sentymentalną opowieść o tym, jak malowniczo wyglądała ceremonia froterowania posadzek w bardzo zamożnym domu polskim w Moskwie, celebrowana przez „artiel” brodatych, prawosławnych specjalistów. Inny memuarysta aż dotychczas wsłuchuje się w klaskanie kopyt czwórki zaprzęzonej, kłusującej o wilgotnym poranku aleją brzozową, nie zapomina o pięknej pozycji stryjów i wujów, co służywali przeważnie w pułkach dragońskich lub huzarskich nawet, marną dolę piechoty odstępując chętnie kacapskiemu pogłowi.

Nie będzie tu wierności wobec tej tradycji, której samo istnienie poniża nas głęboko. Sentymenty ludzi zamieszkujących uciskany „Kraj Przywiślański” to inna sprawa, ale w głębi Rosji sporo było takich Polaczków, którym smakował i szedł na zdrowie rosyjski chleb - zawsze z masłem, a często i z astrachańskim kawiolem - lecz którym cierpienia ludu rosyjskiego były całkowicie obojętne. Żyło się dobrze, mieszkało wygodnie, ciulając w dodatku ruble - te ówczesne dolary kontynentu europejskiego - a że okoliczny muzyk ciemny był, nędzny, poniewierany i bity to już uchodziło za naturalny los Moskala, istoty niższej. Wobec niego całkiem nie na miejscu byłoby rzewności z „Janka muzykanta”.

Przeczyć jednak trudno - żyło się w Rosji wcale wygodnie. Ojciec wynalazł skuteczny sposób powstrzymywania brata i mnie od saneczkowania po stromej ulicy w pobliżu dworca. Jesienią wynajęci cieśle wkopywali na podwórzu cztery wysokie i tęgie słupy, układali na nich obwiedzioną barierką płaszczyznę z desek. Wychodzącą stamtąd łagodną pochylnię drewnianą przy pierwszym mrozie służące zalewały wodą i prywatny tor saneczkowy był gotów. - Nigdy w Polsce - ani za Sławoja, ani za Bieruta - nie stać by mnie było na zafundowanie podobnej dogodności córce.

Ojciec nie piastował żadnych dostojęństw, pracował jako agronom w „ziemstwach”, czyli w instytucjach samorządowych. Pierwszą pracę dostał na samej granicy Europy, w Ekaterynburgu, dzisiejszym Swierdłowsku, gdzie przyszedł na świat brat (i gdzie w jedenaście lat później zamordowany został Mikołaj II wraz z całą swą rodziną). Stamtąd, stopniowo, przesiedlali się rodzice coraz bardziej na zachód.

W Maksatisze, którą tu opisuję, zajmowaliśmy pięciopokojowy dom z gankiem po jednej i z werandą po drugiej stronie, z podwórzem, ogrodem i innymi dodatkami. Zawsze

były w nim dwie służące. Ojciec miał własnego konia, bryczkę i sanie. Do osiągnięcia tych dóbr potrzebowało coś więcej niż wiano matki, lecz nie ono chyba rozstrzygało, bo znajomi z warstwy inteligenckiej żyli na tym samym poziomie, bez porównania niższym od kupieckiego chociażby. Decydującą rolę grało pewnie zjawisko, bardzo wyraźnie występujące później w Polsce, w zacofanej gospodarczo Wileńszczyźnie: do uprzywilejowanych należał ten, kto co miesiąc otrzymywał żywą gotówkę, pensję. Rubel carski ze swą ogromną siłą kupna znaczył o ileż więcej niż złoty.

Domek nasz nie zaliczał się do ciasnych. Podczas wojny zaczęli przybywać do Maksatichy uchodźcy i wysiedleńcy z Polski. parę razy do roku przyjeżdżał z Rybieńska ksiądz, w naszym salonie urządzało się ołtarz i jakieś sto osób mogło uczestniczyć w nabożeństwie, niezbyt się nawet tłocząc.

Ludźmi tymi wcale nie najgorzej opiekował się ogólnopaństwowy komitet wielkiej księżniczki Tatiany, w Maksatisze jego przedstawicielką została mianowana moja matka. Po paru latach przyszedł ze stolicy papier z zawiadomieniem o odznaczeniu „na wstędze św. Anny”. Samego medalu adresatka już nie zdążyła otrzymać, bo wielka księżniczka Tatjana utraciła właśnie tytuł i stanowisko.

W tym to salonie świeżo przybyła z Ukrainy i nieświadoma jeszcze tajemnic domowych służąca omal nie umarła z przerażenia, natknąwszy się wieczorem na postać w białej, długiej koszuli, z wyprostowanymi rękami sunąca cicho ku drzwiom.

Muszę po raz trzeci przestrzec ewentualnych czytelników, zawiadamiając ich, że autor niniejszej książki pochodzi z rodziny lunatyków. Bohaterem wspomnianej przed chwilą sceny był brat, w kilka lat później, w Warszawie, matka zdjęła w nocy mą siostrę z parapetu okna na trzecim piętrze. Ojciec za młodu spacerował śpiąc, toż samo czynił dziad. Na mnie pierwszym załamała się rodzinna tradycja. Ale wpadające przez okno światło księżycy nie daje mi spokoju, budzi nader skutecznie.

Warunki domowe pozwalały na rozmaite przyjemności, miejsca było dość, by hodować nie tylko psy, lecz jeszcze jedno zwierzę, nieco rzadziej widywane w mieszkaniach ludzkich. Był to jeż, przyswojony całkiem, zaprzyjaźniony. My ze swej strony przywykliśmy do tupaniny, jaką wyprawiał nocami. Lubiał on szczególnie wdrapywać się po długiej sukni matki i kłaść się jej na kolanach, gdy sobie siedziała pod lampą naftową z lekturą lub wyszywaniem. Gorzej było, jeśli zapominała o lokatorze i wstała nagle. Bardzo nie gustował w nagłym lądowaniu na podłodze, parskając i fukał długo.

Widowało się jednak, zapamiętało rzeczy, do których nie docierało przyjemne i bezpieczne światło wspomnianej lampy naftowej.

Jechaliśmy kiedyś saniami w odwiedziny czy na spacer. Płozy ostro świszczały na zwyczajnym w tamtych stronach mrozie, krajobraz był jednolicie biały, niebo zaczynało ciemnieć. Ojciec powoził, my obaj przytulaliśmy się do matczynej dachy, nieprawdopodobnie ciężkiej opończy z niedźwiedziego futra, używanej tylko do sań. Z przywalonej śniegiem wioski wysypywał się na zamarznąętą Mołogę tłum mężczyzn, wyrostków i chłopców. Już się tam w dole formowały, wyciągały w grube linie dwie grupy. Nie wiem oczywiście, jakie owego dnia obowiązywało kryterium podziału: północna strona sióła przeciwko południowej, żonaci przeciwko kawalerom, czy może jeszcze inaczej. (W jednym z opowiadań Mikołaja Leskova młodzi mieszczenie stają przeciwko alumnom seminarium duchownego). W każdym razie zanosilo się na doroczną, zapustną rozrywkę - zacząć się miał zaraz „kułacznyj boj”, odbywany w miarę możliwości na lodzie, z którego często zbierano później trupy. W teorii była to tłumna walka na pięści, ale w garści chłopskiej zmieścić się wszak może kawał podkowy lub odważnik, podatne w użyciu żelastwo.

Niedaleko od domu zajmowanego przez nas w Maksatisze mieszkał przystaw, komendant policji, tuż obok znajdował się areszt - przysadzisty domek drewniany. Przypuszczam, że stale budził on zrozumiałe zainteresowanie dzieciarni, lecz przypominam sobie jeden tylko taki wypadek. Gromada chłopców tłoczyła się pod drzwiami, zaglądając w ich szpary, bo „gorodowyje” przywlekli właśnie z karczmy winowajcę. W płóciennym wnętrzu ślaniał się olbrzymi, zupełnie nagi chłop. Przepił wszystko - od butów czy łapci po koszulę. Patriarsza broda wyglądała przerażająco przy gołym, muskularnym cielsku. - Sprawdzam własne wspomnienia i dochodzę do wniosku, że czegoś równie pierwotnego nie dane mi było oglądać przez wszystkie lata późniejsze.

To był jeden z tych, których zachowałem w życzliwej pamięci. Bo na co dzień, dopóki ich coś nie rozkołysało, bywali w naturalny sposób uprzejmi, przychylni, sprawiali po prostu wrażenie ludzi dobrych, skłonnych do chrześcijańskiej zadumy, swoistego filozofowania.

Snęła się po miasteczku stara, bardzo pobożna żebraczka, imieniem Katarzyna. Łobuziaki latali za nią, wykrzykując słowa, w których skłonny jestem dosłuchać się reminiscencji historycznej, przejętej pewnie od dorosłych: „Katierina, Katierina! - muža umoriła!” Kobięcina odpowiadała bez, gniewu, lecz surowo i zawsze jednakowo: „A prakaznikow skariej umorit nado, cztoz mieńsze griechow było”. - Respons bogobojnej staruszki w zabawny sposób zdradzać się zdawał narodową i odruchową niejako tendencję do zbyt może głębokiego regulowania spraw świata. Tak mi się to przynajmniej dzisiaj dopasowuje do pojmowania przeżytych dziejów. Żebraczka z innego kraju uciekłyby się

raczej do kija, albo do paru przyziemnych połajanek, załatwiłaby sprawę w sposób obliczony na krótką, doraźną metę.

Stosunki towarzyskie utrzymywali rodzice wyłącznie z inteligencją. Nie brakowało jej w Maksatisze, pewnie ze względu na świetne położenie osiedla. Lasy sosnowe, dwie okazałe rzeki, mikroklimat zdrowy i do tego wszystkiego kolej żelazna. Można było pracować w mieście powiatowym, a mieszkać w Maksatisze. Znamienne, że przypominam sobie lekarzy, inżynierów, nauczycieli, nadleśniczego, lecz ani jednego urzędnika państwowego. Ci ostatni sami dla siebie stanowili zamknięty krąg.

I wśród inteligencji także występowały niekiedy tradycje omszałego „domostroju”. Osobliwe, przykre ale i egzotyczne wrażenie wywarła na mnie na przykład wiadomość o sposobie ukarania jednego z rówieśników. Wychłostano go niemiłosiernie różgami, poczem zboleła skóra została jeszcze potraktowana pęczkami pokrzyw. Pamiętniki Gilarowskiego potwierdzają, że ta metoda pedagogiczna była nie tylko znana, ale i uznawana w środowiskach kulturalnych.

W zasadzie jednak inteligencja rosyjska reprezentowała wówczas poziom wysoki, przejęta była ideałami postępu. Nawet i ten techniczny wcale nie był jej obcy. Jeden ze znajomych wzbudził w miasteczku sensację, nabywając pierwszy motocykl, jaki w życiu widziałem. Zdarzenie tyra godniejsze uwagi, że nie przypominam sobie istnienia szosy w okolicach Maksatichy. Maszyna była barwy krwistej - w moich oczach ogromna, tajemnicza i groźna. Trzaski, huki i strzelanina niczym na froncie z oddali zwiastowały wszem wobec, że Iwan Aristarchowicz ruszył w podróż.

Mało pamiętam z Rosji, skłaniam się do przypuszczenia, że właśnie kwestia rozmiarów dystansu pomiędzy środowiskiem inteligenckim a plebejskim zalicza się do najbardziej ważkich w nowszej historii. Z pierwszego wywodzą się prognozy, drugi rozporządza siłą wykonawczą. Hasła postępu, zniesienia starych porządków, równości, inaczej trochę rysują się w wyobraźni wielbicieli Lwa Tołstoja, inaczej zaś u tych, których zewnętrzne okoliczności zbyt długo utrzymywały w zastoju. Z tych różnic wynikać mogą poniewczasie niemiłe rozczarowania, polegające na smutnym stwierdzeniu, że stary i niewątpliwie przestarzały porządek polityczny był w wielu względach znacznie bardziej liberalny i ludzki od nowego. Przejął on w przeciągu dziejów rozmaite normy i metody od krajów bardziej kulturalnych, lecz wezbrana fala prymitywnego oburzenia zmiotła je doszczętnie, jako wymysły obce, niezrozumiałe i śmieszne, uznała je w czambuł za „burżuazyjne przedrazsudki”.

Profesorskie zawile wywody Wiktora Czernowa mogły istotnie tylko złościć tłum, nawykły do tradycji „kułacznych” turniejów, skłonny mniemać, że trudności zaraz znikną, byle tylko skutecznie palnąć pięścią. Wiktor Czernow był ministrem Rządu Tymczasowego, czyli pierwszej w historii Rosji władzy, która stroniła od wieszania, rozstrzeliwania i zsyłek. Został przepędzony, poczem wspomniane metody powróciły, a to nie tylko z winy ludu, lecz również inteligentów, tej mianowicie prymitywnej odmiany, która sądzi, że można poznać absolutną prawdę i znaleźć rozwiązania idealne, ostateczne, zamknąć - słowem - historię.

Zanim dokonały się wspomniane w powyższej dygresji doświadczenia, wieści znacznie bardziej sensacyjne od tamtej o śmierci Rasputina przyniósł do naszego domu zaprzyjaźniony z rodzicami dr Iwanow. Był to lekarz, taki rosyjski Judym, o tyle rozsądniejszy od polskiego, że żonaty i osiadły. Na wsi oczywiście, wśród chłopów, gdzie leczył, nauczał, oświecał, organizował, posunął nowatorstwo do tego nawet stopnia, że przywiózł z Piotrogradu pierwszy zapewne w całej guberni twerskiej egzemplarz piłki nożnej. Upatrywał w niej niewątpliwie antidotum na pokusę udziału w „kułacznych bojach”. O regułach gry nikt naturalnie pojęcia nie miał, po porosłej smółką łące przed siedzibą doktora taczała się gromada chłopców wiejskich, kopiąc zawzięcie czarodziejską kulę i siebie nawzajem po kostkach. Za bohatera i mistrza uchodził ten, kto wybił najwyższą „świecę”. - Jakże zazdrościłem bratu Januszowi, który jako starszy bywał dopuszczany do tej rozkoszy!

Któregoś dnia na przedwiośniu dr Iwanow wpadł do nas i za nic sobie ważąc rygorizm ówczesnych norm towarzyskich chwycił w objęcia moją matkę, która wyszła mu na spotkanie.

- Nu, ruskaja graždanka! - zakrzyczał przez łzy.

Było to oczywiście wtedy, gdy piotrogrodzkie pismo humorystyczne zaprezentowało światu historyczny dowcip. Na tytułowej stronie odbito podobiznę aktu abdykacji cara z obydwu podpisami: Mikołaja II i ministra dworu, barona Fryderychsa. Ukosem przez to wszystko biegły z rozmachem skreślone słowa:

„Proczoł s udowolstwijem. - Arkadij Awirczenko”.

O dalszych losach dr Iwanowa wiem niewiele. Był aresztowany, siedział niedługo, przez czas pewien jeszcze korespondował z rodzicami. Co później? Od podobnych do niego postaci rojno w rozmaitych relacjach z więzień i obozów. Zgniły liberał nie zasługuje na lepszy los.

Wkrótce po opisanej wizycie oglądaliśmy przez okna pierwszy w dziejach Maksatichy pochód republikański, manifestację. Niebrukowaną, szeroką ulicę wypełniał spokojny tłum, przodem płynęły dwa czerwone sztandary, w środku pomiędzy nimi kroczył mój rodzony

tata. Mieszkańcy miasteczka jego bowiem właśnie, obcoplemieńca brzydzącego się polityką wybrali na przewodniczącego świeżo powołanego komitetu rewolucyjnego, którego funkcjonariusze nosili na ramionach opaski barwy neutralnej, granatowe.

Zajmowali się przede wszystkim obroną obywatelskiego mienia tudzież spokoju przed coraz częściej się pojawiającymi czeredami dezertarów z dalekiego frontu. Bo fala gniewu miejscowego ludu uderzyła w dwa tylko czynniki starego porządku - w policję i w ziemian. Często dobijali się do naszych drzwi rozgorączkowani chłopci, dopytując o sąsiada - przystawa, który uciekł aż nad Wołgę, gdzie jął zarabiać na życie jako tragarz.

- On, niegadaj, nam posłednieje kopiejki otnimał, samowary brał - wykładali mikrozażalenia na gigantyczne zdzierstwo carskiej administracji.

O ile wiem, ziemianie siedzieli w tamtych stronach również gęsto jak rodziny w cieście skąpej gospodyni. Bywaliśmy tylko w jednym, dość odległym dworze, którego właściciel miał za żonę Polkę. Zapamiętałem to zresztą wyłącznie ze względu na syna państwa domu, a mówiąc ściślej - ze względu na jego mundur ucznia korpusu kadetów.

Pewnego poranka, w porze śniadania, zjawiała się zaferowana Maria Maksimowna, „kupczicha”, właścicielka domu, który zajmowaliśmy. Przysiadła się do matki i zaczęła jej opowiadać o najściu chłopów na jakiś majątek oraz o ich brutalnym postępowaniu. Jak się okazało, przychwycono tylko dziedziczkę, oprowadzano ją po rabowanym domu wśród urągowiska i ... Maria Maksimowna zerknęła ku nam, dzieciom, pochyliła się do ucha słuchaczki i zaczęła szeptać w taki sposób, że słychać było w całym pokoju:

- I po żopie, jejo pałkoj, i po żopie....

Nie mogę sobie ani rusz przypomnieć objawów świadczących, że we wczesnej fazie rewolucji ucierpieli coś poważnie zamieszkali na głuchej prowincji towarzysze klasowi Marii Maksimowny. Ton nadawali miasteczku, warstwę zdecydowanie dominującą stanowili bogaci i z reguły brodaci kupcy. Tylko płot, raczej tylko ładne sztachety odgradzały nasz dom od siedziby najpotężniejszej z dynastii, która zrobiła majątek spławiając drewno, lasy całe. Wołczyną i Mołogą do Wołgi. Prowadziła zresztą i sklepy „towarów mieszanych”, jeśli wolno tu użyć, idącej już w zapomnienie terminologii polskiej. Zaliczały się do nich zarówno kawior czerwony w dużych beczkach oraz czarny w małych baryłkach, jak i obuwie, między innymi sławne „walenki” twarde buty filcowe, których nie podszywano skórą, ani tym mniej gumą, bo odwilż była w tamtych stronach zjawiskiem nieznanym.

Słabo piśmiennego patriarchę rodu wspierali w działaniach młodszy jego członkowie, wszyscy - z wyjątkiem tego z synów, który się zdeklasował. Skończył uniwersytet, ożenił się z nic nie posiadającą inteligentką, i został gimnazjalnym profesorem matematyki gdzieś w

znaczniejszym mieście. Był mocno niepopularny w rodzinie. Nasz mądrała, „nasz umnica” - mawiano o nim. Podejrzewam, że kupieckie środowisko także żywiło pogardę wobec „burżuazyjnych”, to znaczy oczywiście inteligenckich przesądów.

Zapewniam, nie pamiętam niczego, co by świadczyło o jakiejś radykalnej zmianie stanu rzeczy, panującego za płotem. Starsi nieco koleżcy, Kolka i - o ile się nie mylę - Dimka, zostali tacy jak byli, po staremu pewni siebie, dobrze ubrani i odżywieni. Bywało się, w ich bardzo obszernym mieszkaniu, którego nikt nie rekwirował, ani nie zagęszczał. Może ktoś z dorosłych zaniepokojony wyjechał, ukrył się gdzieś... W każdym bądź razie nie pamiętam sensacji.

A byłbym je zauważył, bo kupiecki styl życia przyciągał uwagę, fascynował. Po dziś dzień mam w oczach postacie jego potężnych reprezentantów, słyszę ich tubalne głosy. Nigdy już później nie było mi dane widzieć ludzi tak rozmiłowanych w rozmachu i wykonujących go w sposób równie naturalny, nie na pokaz lecz odruchowo, niewątpliwie z prawdziwej i niekłamanej potrzeby duszy nieśmiertelnej. Gdyby nadal istnieli, własne domy porzuciliby z uniesienia, marliby z rozkoszy na wieść, że pierwszym człowiekiem, który wzleciał w bezbrzeżny kosmos był Rosjanin. Podobnie jak szalał z zachwytu dopuszczony przed oblicze Aleksandra III kupiec moskiewski, który wróciwszy do siebie tarzał się po dywanie rycząc w upojeniu: „Eto nie car! eto cariszcze!”

Nie nacjonalizm tylko w grę tu wchodzi, lecz i wrodzone uwielbienie dla gigantycznych zjawisk i ludzi na ich miarę, tajemnice, w których poblizko podprowadza pewna znana dawniej anegdota:

W stepowych guberniach Rosji drogi miewały po kilkadziesiąt sążni szerokości, bo każdy jechał jak chciał, zwłaszcza w zimie. Wzdłuż jednego z takich szlaków rząd ustawił linię telegraficzną. Podróżował tamtędy kupiec, przypadkiem trącił saniami o słup, obejrzał się, splunął w śnieg i rzucił ze złą pogardą: „Eech! biesowskaja tiesnota...”

W kosmosie, nikt nie zaprzeczy, żadnych słupów telegraficznych nie bywa. Przynajmniej dotychczas.

I jeszcze jedna anegdota. Zaraz po zakończeniu drugiej wojny światowej przejeżdżający przez Warszawę oficer rosyjski dopytywał przygodnego znajomego o liczebność Polski. - „Będzie nas chyba ze dwadzieścia siedem milionów”. - „Ot, dwadzieścia siedem milionów... Da u nas bolsze naroda w konłagierach sidit”. - W makabrze brzeczy prawdziwa nuta podziwu dla samych rozmiarów fenomenu.

Rozprawiam o warstwie społecznej, której nie ma już od półwiecza. Lecz tworzący ją ongi ludzie przez stulecia przecie nadawali dziejom Rosji swoisty ton. To oni powoływali,

najmowali po prostu Rurykowiczów „na kniażenije”, oni stworzyli Wielki Nowogród, oni we wczesnej fazie historii przekroczyli Ural. Znikli ze sceny, wiekowe nawyki pozostały w spadku. Słabo raczej pasują do nich takie sławione z dawna przez filozofów cnoty jak umiar, powściągliwość, kompromis.

W zapusty - na maslienicu - było w zwyczaju wyjeżdżać saniami na spacer. Naszego skromnie kłusującego konika wichrem mijały rozpędzone w galopie trójki. W nadlatujących z przeciwka saniach czerwono świeciły spocone gęby, para buchała z rozdziawionych, wykrzykujących paszczy, pęd powietrza rozpląszczał na szubach brody. Imienitoje kupieciestwo izwoliło katatsia. W Rosji ówczesnej specjalnie nie dziwiły wypadki śmiertelnego skrętu kiszek wynikłego z nieumiarkowanego spożywania w zapusty blinów.

Potrawa ta zrobiła ostatnio światową karierę. Wiem z osobistego doświadczenia, że za bardzo drogie pieniądze podają ją w Paryżu, a to w amerykańskich drugstorach. Kelner po dwie albo trzy sztuki pro personam... Eech! i zmiełczał narod... Jakże to można ten sam termin „bourgeois” stosować do francuskich mieszcuchów, nieustannie zatroskanych o należyty we względzie dietetycznym skład dejeuner, i do nadwołżańskiego kupiectwa?

Przedstawiona już tutaj Maria Maksimowna, pochowawszy szczęśliwie dwóch mężów, postanowiła oddać rękę trzeciemu. Przypuszczam, że oblubieńca znęcił znaczny majątek, lecz nie uroda pani młodej. Kiedy pilnie czytałem później utwory Makuszyńskiego, doszedłem do wniosku, że odmiana śmierci, określona przez mistrza Kornela jako angielska, musiała przypominać Marię Maksimownę. Tusza nie stanowiła koniecznego atrybutu rosyjskiej kupczichy.

Ze względu na rozległość naszego salonu uczta weselna odbywała się u nas właśnie. Święty Boże, Święty mocny... „Żywot straszny i przeraźliwy wielkiego olbrzyma Bargantui...” Byłem wtedy jakiś słaby, bez apetytu, zaraz po chorobie czy też na samym jej początku. Mdło mi się robiło na widok potwornych ilości żarcia i picia, skali pochłanianych porcji. Przerazały rozpalone twarze i radosne wrzaski biesiadników. Ryby o rozmiarach rekinów, góry lodów, butelki, butelki, butelki... Wreszcie wkraczać zaczęła służba, tęgie parobasy w kolorowych kosworotkach, ujmować z szacunkiem pod ramiona to i owo „stiepienstwo” i wlec je ku drzwiom. Jednego z brodaczy nawet wynoszono, co mu nie przeszkadzało ryczeć po drodze: „gorzko!”

Kurczyła się duszyczka inteligenckiego dziecięcia, nie kryję.

Pan młody był to brunet niski, tęgi i mocny jak beczka. Pochodził z Karelów („Cziernyj Karioł” - użalała się matce Maria Maksimowna). Razu pewnego uznał on kota domowego za szkodnika i rozprawił się z nim radykalnie. Silnymi zamachami walił

zwierzęciem o płaski kamień, stanowiący przedproże ich mieszkania. Nie wiem, ile czasu trwała egzekucja, ani w jakim stanie znajdowały się po niej dłonie wykonawcy. Ujrzałem scenę przypadkiem i zrejterowałem natychmiast.

Nie potrafię określić dat tych luźno osadzonych w pamięci drobiazgów, to jednak wiem na pewno, że latem 1917 roku odbyłem jedną z najbardziej luksusowych w moim życiu przejażdżek. Dwukrotnie w ogóle podróżowałem statkiem w warunkach komfortowych: raz w rewolucyjnej Rosji i raz - w czterdzieści lat później - w czerwonych Chinach.

„Zaokrętowaliśmy się” w Rybieńsku. Właściwie mogłem sobie zaoszczędzić cudzysłowu, bo statki wołżańskie odznaczały się rozmiarami bardziej imponującymi od naw, kursujących w Zatoce Gdańskiej. Kabin pasażerskie, jadalnie i pokłady lśniły czystością, snuła się po nich publiczność kulturalna i elegancka - widok tego wszystkiego wcale nie świadczył o zmianie ustroju. Na samym początku komendant naszego statku, wysoki i szczupły pan, uprzejmie zwrócił mi uwagę, że aczkolwiek obecnie zapanowała w Rosji swoboda to jednak osoby postronne nadal nie mogą uganiać po mostku kapitańskim.

I tak sobie dowędrowaliśmy aż do Samary, dzisiejszego Kujbyszewa, zwiedzając po drodze Jarosław, Niżni - Nowogród i Kazań, delektując się co dzień przy stole tą odmianą ryby, co posiadała swój lebensraum w danym odcinku rzeki. Wtedy też przyszło mi było rzucić okiem na moje miasto rodzinne i zapamiętać jego malownicze położenie na wysokim prawym brzegu Wołgi.

W trzydzieści przeszło lat potem, w gmachu Ministerstwa Bezpieczeństwa przy ul. Koszykowej, oficer tej wspaniałej instytucji spisywał mój życiorys. Praca trwała przez sześć dni i była szczegółowa. Dyskusję wywołało na przykład moje twierdzenie, że ojciec nigdy w żadnym wojsku nie służył. Lecz zaczęło się od zwięzłego pytania o imię, nazwisko, datę i miejsce urodzenia. Gdy je wymieniłem oficer spojrzał na mnie wzrokiem człowieka skrzywdzonego moralnie. Bo i rzeczywiście! - taki łotr, członek Armii Krajowej, czyli „zapłuty karzeł reakcji”, urodził się w tym samym mieście co Lenin. W Symbirsku, który się od dawna już zwie Uljanowskiem.

Z Samary przyszło zawrócić, bośmy się wszyscy troje - siostra miała wtedy niespełna trzy lata - pochorowali na żołądki. Nad Wołgą w tamtych czasach stale trafiały się tego rodzaju dolegliwości - od czerwonki poczynając, na cholera kończąc.

Jeden z krewnych, Jarosław Beynar, pan urodzony w roku 1864, opowiadał mi, że jako młody oficer zawodowy przydzielony został na krótko do carskiej służby epidemiologicznej. W asyście plutonu Kozaków patrolował wioski w średnim biegu Wołgi,

gdzie panowała epidemia cholery. Kogo przyłapano na picciu nieprzegotowanej wody lub na innych tego rodzaju wykroczeniach, temu na miejscu wyliczano dwadzieścia pięć nahałów.

W drodze powrotnej przystań sibirska stała się swoistą granicą. Wtłoczył się na statek tłum, składający się przeważnie z żołnierzy, co mieli dość zarówno wojny, jak i wojska w ogóle. Czystość i luksus skończyły się od razu. Cieniutka warstewka pozorów znikła pod falą bijącą w głębi.

Lecz dojechało się do Rybieńska w porę, poczem koleją dotarło do Maksatichy. System komunikacyjny nadal funkcjonował sprawnie. Wkrótce po powrocie czekało nas przeżycie z rzędu tych, co często się zdarzały w osiedlach o zabudowie niemal wyłącznie drewnianej. Spłonęło obszerne obejście Marii Maksimowny - stajnie, obory, składy, łaźnia także. Domy mieszkalne ocalili Niemieccy i Austriaccy jeńcy, zakwaterowani w Maksatisze dla robót polnych. Zorganizowali się natychmiast i powstrzymali płomień. Ledwie wystygł popiół, kupczicha zaczęła się odbudowywać. Wieziono materiał, cieśle przystąpili do pracy, ukończonej zanim spadły śniegi.

Ani wojna, ani przewroty polityczne nie zahamowały, jak widać, normalnego toku życia na prowincji. Właścicielka miała środki na odbudowę i nie bała się wcale pokazywać tego światu.

Nie zapamiętałem żadnego w ogóle faktu, który by się wiązał z Rewolucją Październikową. Przypominam sobie dość dobrze wybuch pierwszej wojny światowej, ciągnące na dworzec tłumy rezerwistów, szpital dla rannych założony po drugiej stronie ulicy, sławę Kozaka Dońskiego Kuźmy Kriuszkowa, który dokonał jakichś legendarnych czynów zaraz na samiućkim wstępie bojów. Wielkie i o trzy przeszło lata późniejsze wydarzenie historyczne nie zakotwiczyło się wcale w pamięci dziecka. Dopiero w kilkanaście miesięcy po nim, i w innej zupełnie prowincji byłego Imperium, miałem się przekonać jak brzmią wystrzały karabinowe. A w tego rodzaju dźwięki wsłuchuje się wszak pilnie chłopiec z lubością zabawiający się ołowianymi żołnierzami. Nie było okazji, brakło owych efektów dźwiękowych, dopóki mieszkaliśmy w głębi Rosji, z dala od znaczniejszych miast.

Marzec 1917 roku przyniósł wstrząs moralny, upoił hasłem swobody. W październiku dokonano w Petersburgu energicznej rozgrywki w walce o władzę. Wcale mnie nie dziwi, że nie zapamiętałem żadnych ech tego wydarzenia.

Już po zawarciu pokoju brzeskiego, gdzie latem 1918 roku, zjawił się niespodziewanie u nas młodszy brat matki, Władysław Maliszewski. Służył on w armii carskiej jako oficer rezerwy, podczas odwrotu spod Gorlic został ranny w nogę i wskutek tego dostał się do niewoli austriackiej, którą zdrowo, lecz bardzo głodno spędził w Budapeszcie. (Cioteczny

brat matki, Kazimierz Kamiński, żołnierz Pierwszej Kompanii Kadrowej Józefa Piłsudskiego, zdążył być już polec pod Łowczówkiem). Oficerom carskim - zarówno zawodowym jak rezerwistom - niezbyt wtedy bywało bezpiecznie w Rosji, lecz wuj nadal korzystał z roztropności polskiej międzynarodówki, sprawnie działającej podczas wojny we wszystkich trzech armiach zaborczych. Żołnierze austriaccy, którzy podnieśli go z pobojowiska i wzięli do niewoli, obdarzywszy papierosami, doradzili mu co rychlej zdjąć szlify. „Ta panie - wyjaśniali w jednej z odmian mowy rodzimej. - W obozie oficerskim umrzy pan z nudów. A szeregowiec musi pracować, to już lepiej”. Dzięki tej ich przezorności, w wędrowce przez zrewoltowaną Rosję mógł się legitymować jako zwykły „riadowej”. Pouczony smutnym doświadczeniem państw centralnych oraz widokiem tego, co się działo w okolicach przyległych do zamarłego frontu, przywiózł wuj Władysław w worku kilka bochenków czerstwego chleba i jakieś inne specjały w tym samym rodzaju, by pożywić nieco potomstwo siostry. Nie przypuszczał, że jedzie używać na jadło i napitkach, o których istnieniu prawie zapomniał.

W Rybieńsku, Jarosławiu - o Moskwie i Piotrogradzie już się nie rozwodząc - staczano wtedy walki, było ciężko i strasznie. W Zakładach Putiłowskich odbył się nawet pierwszy w dziejach ustroju sowieckiego strajk. Historiografia omawia te fakty szczegółowo, zapominając, że Rosja ówczesna w osiemdziesięciu co najmniej procentach składała się z Maksatich, lub z osiedli ludzkich jeszcze bardziej zapadłych. Bo tam w Maksatisze była przynajmniej kolej żelazna. Nie potrzebował z niej korzystać, na pewno nie zatrzymywał się przy miejscowym dworcu słynny pociąg pancerny Lwa Trockiego. W maksatiskie strony nie dotarł bowiem żaden Judenicz, Kołczak czy inny biały generał, uderzający od strony okrain imperialnych ku centrum państwa. Legioniści czescy bez specjalnego entuzjazmu operowali w okolicach już tutaj wspomnianej, egzotycznej, jakże odległej Samary.

Odbyła się wojna światowa, której finał stanowiły aż dwie rewolucje rosyjskie. Przez cały ten czas nikt nie przeszkadzał łowić ryby na wędkę pod mostem kolejowym w Maksatisze, spacerować po nim swobodnie drewnianymi chodnikami dla pieszych. Nie było widać potrzeby ustawiania żadnych, białych czy czerwonych posterunków ochronnych.

Głucha prowincja rdzennej Rosji przejęła nowy ustrój biernie. Chłop ochotnie wziął ziemię dziedzica i „wjadł się” w swe gospodarstwo. Rzemieślnik przyjmował zamówienia ze strony kupczichy Marii Maksimowny, której nikt na razie specjalnie nie niepokoił. Tylko istoty z drugiej strony księżycy lub pewni współcześni mi dziś żurnaliści polscy mogą rozprawiać o zniszczeniach wojennych. Spustoszone obszary byłego państwa carskiego znajdowały się dość daleko na zachodzie, w Przywiślańskim Kraju, w okolicach Smorgoń,

Oszmiany. Bolszewicy zrzekli się Brześcia na rzecz Niemiec, na rzecz „Mitteleuropy”, tych także obszarów, które dla każdego rządu stanowić by musiały nieznośny ciężar, bo od lat cierpiały wszechstronną nędzę. Dewastacje w samej Rosji przyjść miały później, wyniknąć z nieprzebijającej w środkach walki o władzę absolutną, z wynikłej stąd dezorganizacji.

Czytam o komunizmie wojennym, o niemiłosiernych rekwizycjach żywności po wsiach już w roku 1918. Nie przeczę, wcale nie przeczę. Pragnę tylko powiedzieć, że nam, ludziom nie posiadającym żadnego majątku, niczego nie brakowało w tym czasie do wcale sytego życia. Nie występowała przy tym konieczność wyzbywania się ojcowskiego fortepianu, ani matczynych broszek czy pierścionków.

Do najważniejszych świadectw, jakie mogę złożyć historii, zalicza się powtórzenie stwierdzenia, że przeżywszy w głębi Rosji obie rewolucje, Marcową i Październikową, pierwsze wystrzały i wybuchy granatów ręcznych usłyszałem dopiero w roku 1919, na Ukrainie. W obu wypadkach mieszkałem na głuchej prowincji.

Wyjechaliśmy z Maksatichy u schyłku lata, czy też wczesną jesienią. Pokój trwał od kilku miesięcy, można było legalnie przekraczać linię demarkacyjną czy też granicę. Znajdowała się ona podówczas w pobliżu Orszy, na wschód od niej. Sprawdzić nasze bagaże i dokumenty przyszedł młody, ciasno opięty w szary mundur, sztywno wyprostowany, wygolony i wymyty idealnie, małowówny oficer niemiecki. Wytrzeszczyłem oczy, bo takiego wojownika na sprężynach jeszcze one nie oglądały. Ani szerokich jak moja ówczesna dłoń bagnatów na karabinach jego eskorty. Zachowanie się Niemców było poprawne, rewizja powierzchowna. Walory zaszyte w moją bluzkę szczęśliwie przekroczyły granicę państw i ustrojów.

Kilkakroć później przyszło mi zapoznać się z tak zwanymi pociągami repatriacyjnymi, żadna jednak z podróży nie odbyła się w warunkach równie wygodnych jak tamta z Maksatichy do Orszy, w rewolucyjnej, bolszewickiej już Rosji. Jechało się wagonami towarowymi wprawdzie, ale czystymi, całkiem przystosowanymi do przewożenia ludzi. Drewniane nary po obu stronach, zaraz wysłane siennikami, możliwość rozstawienia rzeczy, gotowania strawy na „primusach”, umiarkowana ilość osób na wagon. Żadnych po drodze konfiskat, napadów, rabunków, ani innych podobnych przykrości, o głodzie szkoda pisać. Jeden ze współpasażerów, stary kawaler, budził umiarkowaną przez formy towarzyskie wesołość, bo od rana do zmierzchu bez przerwy niemal coś sobie pitrasił i jadł. Po drodze zachorował brat, uformował się mu na nodze duży wrzód. W mieście, w którym pociąg zatrzymał się na kilka godzin, załatwiono operację na poczekaniu i dobrze, bez późniejszych komplikacji. Służba zdrowia nie przestała tam widocznie funkcjonować i to chyba sprawnie.

Z wszystkich tych drobiazgów wynikać się zdaje, że nie od razu, a może nie wszędzie od razu nastąpiły znane rewolucyjne trudności, słynna „droga przez mękę”. Nie zostało w dostateczny sposób dowiedzione, iż nie sposób jej było uniknąć lub uczynić mniej straszną.

Szeroko stosować można znane powiedzenie Gogola o wdowie po podoficerze, która sama się wychłostała.

Wyjechałem więc z Rosji już chyba na zawsze, co gwarantować się zdaje mój obecny wiek. Wywiozłem z niej na zachód dorobek w postaci szczerzej sympatii dla narodu rosyjskiego. Sentyment - śpieszę podkreślić - zupełnie niezależny od oceny porządków politycznych rozmaitymi czasy rozpościerających się w tym rozległym kraju oraz od ich moralnych konsekwencji, które sprawiają, że w każdym ustroju u zbyt już wielu Rosjan sumienie kończy się tam, gdzie się zaczynają rosyjskie interesy państwowe.

Podczas wspomnianej już podróży wołańskiej matka pokłóciła się z pewną damą, uparcie określającą Warszawę jako „istinno ruskij gorod”. Znacznie później, bo w roku 1940 w Wilnie, przypadkiem podsłuchałem na ulicy rozmowę dwóch świeżo przybyłych ze wschodu osób. Zapewniano się wzajemnie, że Rosjanie mają prawo rozporządzać terytorium litewskim, ponieważ otrzymali ten obszar od carycy Katarzyny. I jeszcze późniejsza rzecz, pewien warszawski dyskurs odbyty u schyłku lat sześćdziesiątych z przyjezdnym inżynierem moskiewskim. Godził się on na wszystkie wywody dotyczące potrzeby liberalizacji, zniesienia cenzury, szacunku dla praw obywatelskich. Zdziwił się jednak bardzo, kiedy z żalem wspomniano o Budapeszcie. Uważał znaną operację wojskową w tym mieście za rzecz słuszną i potrzebną, nie budzącą wątpliwości natury moralnej.

Stefan Żeromski pokazał nam w „Mogile” tragiczną postać lekarza wojskowego Wilkina, „moralne zwłoki narodowca”. Zapijaczony, dogorywający na gruźlicę ex - bojownik postępu mówi rzeczy, w które warto wsłuchać się uważnie, bo pobrzmiewać się w nich zdaje historyczna, ponadustrojowa diagnoza: „Nasi ministrowie - szydzi Wilkin - już obejrżeli na szczycie Righiculm w Szwajcarii miejsce pod gmach (po przyłączeniu zbuntowanej Europy do naszej ojczyzny) powszechno - rosyjskiej, na całą Europę jednej i nierozdzielnej komory celnej”.

Żyliśmy w Rosji nigdy nie kryjąc narodowości ani wyznania. O ile wiem, raz tylko jeden zdarzyło się, że pewien przejezdny dostojnik cierpko zapytał, dlaczego do małych poddanych rosyjskich przemawia się w obcym języku. Otrzymał od matki odpowiedź grzeczną, zgodnie z normami obowiązującymi panią domu, lecz zdecydowaną w treści. Żadnych innych dowodów narodowej dyskryminacji nie było.

Przyjmuje się zazwyczaj, że czeredy „obrusitieliej”, czyli indywiduów chętnych do żerowania na cudzym nieszczęściu, moralne szumowiny kraju, spływały na zachód, do prowincji dostarczających pożywki, bo zamieszkałych przez obcoplemieńców. W tezie tej dopatrywać się wolno jedynie opisu zewnętrznych cech zjawiska.

Mieszkaliśmy wśród takich Rosjan, którzy stale przebywali u siebie w domu, zajęci więc byli swymi własnymi, prywatnymi lub społecznymi sprawami. Te warunki nie budziły drzemiącej nie tylko zresztą w rosyjskich sercach ksenofobii lub pokusy uszczęśliwiania zbłąkanych, ludzi ślepych na dobro. Luksus tolerancji był dostępny łatwo.

Przyjemny program zajmowania się własnymi sprawami stanowić się zdaje część składową recepty leczenia licznych dolegliwości tego świata. Gdyby go częściej stosowano, może wyszłoby na jaw, że różne przyczyny międzynarodowych sporów, nie są zbyt istotne. Wpływy obce, otwarcie okien na świat nie stanowią grzechów śmiertelnych. Od dość dawna już trwa dyskusja filozofów na temat istoty szczęścia poszczególnego człowieka. Jeśli chodzi o zbiorowiska ludzkie, nie podaje się raczej w wątpliwość użyteczności dobrobytu materialnego, rozwoju oświaty, kultury, higieny. Zadania rozległe i tym trudniejsze do urzeczywistnienia, że w obecnej fazie historii tak zwane ideologie polityczne przeszkadzają nader skutecznie. Z powodzeniem przejęły one część tej roli, jaką dawniej samotnie spełniał nacjonalizm. Przyszły mu w pomoc, gorliwie dmąc w misjonarskie tuby.

Podczas wojny zaczęli napływać do Maksatichy uchodźcy i wysiedleńcy z ziem opuszczonych przez wojska carskie. Przybyła wraz z nimi pojedyncza rodzina żydowska i zamieszkała w naszym bezpośrednim sąsiedztwie. Ludzie z miasteczka gapili się z zainteresowaniem na przedstawicieli zupełnie nieznannej narodowości.

A więc w Maksatisze nad Wołczyzna ciekawość połączona z życzliwością dla ofiar wojny, w Kijowie zaś nad Dnieprem pogromy, organizowane przez „czarną sotnię” czy też „Sojuz Michaiła Archangiela”. - Na pewno nie wywiózłbym z Maksatichy miłych wspomnień, gdyby Polacy stanowili tam liczną grupę, a zwłaszcza gdyby monopolizowali jakąkolwiek z dziedzin zarobku.

Tak się złożyło, że zacząłem pisać ten pamiętnik akurat wtedy, gdy po długich a daremnych marzeniach udało mi się dostać do przeczytania dwie wydane w Paryżu po rosyjsku książki Aleksandra Sołżenicyna: „W krugie pierwom” i „Rakowij korpus”. U schyłku zeszłego stulecia Antoni Czechow dobrowolnie odbył okropną, z narażeniem życia połączoną podróż, by na własne oczy zobaczyć ostatni krąg ówczesnego piekła, dać świadectwo prawdzie w utworach „Iz Sibiri” i „Ostrow Sachalin”. Różnica polega między innymi że Czechow nie potrzebował ciężko płacić za swój postępek, nie poddano go

ostracyzmowi, nie urządzono nań nagonki. Cywilne męstwo pisarza nagrodzone zostało sławą.

Tym bardziej wyrazisty obraz, tym jaskrawsze kontury historycznego - nie waham się twierdzić - zjawiska. Pół wieku „myśli w obcęgach”, grozy i kar, tyle wytężeń ludzi wszechwładnych, tak wiele nagród za służalstwo „...Waleczne wojska, bitne generały, policje tajne, jawne i dwupłciowe ...” Wszystkiego okazało się za mało. Wśród rosyjskiej inteligencji przetrwała ta tradycja, która stworzyła wielkość rosyjskiej literatury.

Antoni Czechow narażał życie podczas przepraw przez wzburzone rzeki syberyjskie. Aleksander Solżenicyn podejmuje ryzyko znacznie większe, bo tak samo jak tamten chce być obrońcą i sługą cierpiącego człowieka.

Wiem, że urażam niektóre polskie nałogi uczuciowe, przyznając się otwarcie do sympatii dla pewnych objawów, p o m i m o w s z y s t k o występujących stale u Rosjan i wśród nich. Do wizerunku tego narodu nie wystarczy mi wiedza o podbojach, zaborach, zesłaniach i tyranii politycznej.

W następnym rozdziale zabiorę się do prezentowania wspomnień o wojnie domowej, której uroków napatrzyłem się do syta. Czasy były groźne, ani biali, ani czerwoni, ani zieloni nie przebierali w środkach. Szczególnego rodzaju respekt wzbudzała instytucja kierowana ze stolicy przez Feliksa Dzierżyńskiego, szeroko znana „czerezwyczajka”. Wśród poddawanego różnym zabiegom apolitycznego tłumu panowało przekonanie godne zapamiętania. Najlepiej czuł się zazwyczaj ten, kto trafił na komisarza będącego rdzennym Rosjaninem. O wiele mniej przyjemnie było stanąć przed obliczem Łotysza, Żyda, albo Polaka.

III

Ulica wiodła pochyło w dół i zakręcała w lewo, obiegając porośłą krzakami skarpe, która zasłaniała dalszy widok niczym ukośna kurtyna. V regularnym rytmie niezawodnego mechanizmu znikwały za nią spoprężone dyscypliną oddziały piechoty. Szły krokiem nie zdradzającym ani fizycznego, ani psychicznego wyczerpania.

W takim oto stanie rozłożona rzekomo wewnętrznie, zrewoltowana armia niemiecka opuszczała miasto Taraszcę. Bataliony miejscowej załogi ciągnęły na razie do Białej Cerkwi, gdzie znajdowała się stacja kolejowa.

Widzowie odmarszu stali się świadkami czulej sceny pożegnania. Córka zamożnego kupca żydowskiego i młody oficer wojsk do niedawna cesarskich a wówczas już republikańskich rozstawali się na krótko. Oblubienica spakowała manatki i niezwłocznie ruszyła w ślad za oblubieńcem, czyli do Reichu.

Dwukrotnie sprawdziłem ołówkiem na papierze, bo wierzyć się nie chce. Rezultat odejmowania jest jednak niedwuznaczny: wszystko to działo się na piętnaście lat zaledwie przed datą objęcia władzy w Niemczech przez Adolfa Hitlera! - Za kilka tygodni przypadnie siedemnasta rocznica zgonu Józefa Stalina. O tak! Znajomość arytmetyki jest niezbędnie potrzebna przy studiowaniu historii. Pozwala jaśniej widzieć galopy i zastoje tej ostatniej.

Za czasów mojego dzieciństwa dzieje europejskie nabrały nielada rozpędu, nikt temu nie zaprzeczy. Odmarsz Niemców z Taraszczy odbył się oczywiście w listopadzie 1918 roku. Miałem wtedy dokładnie dziesięć lat, czyli żyłem już na świecie, gdy uroczyście świętowano trzystolecie wstąpienia na tron dynastii Romanowów, w opisywanej zaś tu chwili, zaliczając do świeżych wspomnień upadek caratu, byłem nieświadomym rzeczy świadkiem ruiny Mitteleuropcy.

Wspomniałem już o młodym oficerze niemieckim, który robił nam urzędowe honory domu pod Orszą. Nie wiem czy on także, lecz jego liczni towarzysze broni, na pewno ludzie za pan brat z nowoczesną techniką, radzi posługiwali się aparatami fotograficznymi. Poczynione przez nich zdjęcia były reprodukowane w rozmaitych książkach. Mam przed sobą w tej chwili jedno tylko, lecz takie, co przedstawia uzbrojony w karabin i lornetę polową wartownika germańskiego w Orszy właśnie. Gdyby te fotografie zgromadzić, powstałoby archiwum historyczne o nieodpartej wymowie. Możliwość w nim oglądać żołnierzy cesarza Wilhelma na tle zatoki Fińskiej, jeziora Pejpus, różnych innych fragmentów wschodnioeuro-

pejskiego pejzażu - aż po Krym i Kaukaz włącznie. Wszędzie tam stali oni z bronią, jako zwyczajcy, lecz już nie uwikłani w walkę. Ich dzieło na wschodzie zdawało się dokonane.

Nasza droga z Orszy wiodła przez Homel i Kijów. Nie przypominam sobie wcale hajdamaków hetmana Pawła Skoropadskiego, przystrojonych w kolorowe żupany tudzież w odmiennej barwy, niezmiernie szerokie szarawary. Wiem jednak, że istnieli, byli taką samą rzeczywistością, jak zależne od Niemiec Królestwo Polskie ze stolicą w Warszawie, pozbawionej prawa wtrącania się do spraw Krakowa i Poznania.

Razem z naszym bagażem lekkim - bo ciężki został w Witebsku u krewnych ojca - wpuszczono nas bez przeszkód na teren formującego się pod germańską egidą porządku. Na wschodzie nie było siły zdolnej do naruszenia choćby, nie mówiąc już o obaleniu, jego granicy. Ludzie typu feldmarszałka von Hindenburga nie bez powściągliwej przychyłności wyrażali się czasem o narodowościach wschodnich, od Polaków poczynając. Twierdzili, że może być z nich pociecha, byle im zapewnić sprawne i rozsądne kierownictwo niemieckie.

Wkrótce nastał wspomniany już poranek listopadowy. Przyglądałem się ciekawie znikającym za zakrętem kompaniom piechoty, ani rozumiejąc, że wynoszą się one z Taraszczy dlatego, że Mitteleuropa przegrała walkę z Zachodem. Mówiąc ściślej: z zaoceanicznym Zachodem. Gdyby nie przekraczające zakres najśmielszych marzeń wojskowe i materiałowe poparcie ze strony Stanów Zjednoczonych, zdani na własne siły Anglicy i Francuzi nie pokonaliby Niemiec.

Pozostawałem wtedy pod silnym wrażeniem wyniesionym z lektury książki opiewającej przygody dwóch młodych lotników amerykańskich. Posługiwali się oni fascynującym aparatem, który w chwili startu ktoś musiał koniecznie przytrzymywać za ogon. W zasadzie jednak o białych mieszkańcach Stanów zjednoczonych wiedziałem znacznie mniej niż o Indianach i Turkach.

Ustały w Taraszczy sobotnie koncerty orkiestr wojskowych, celebrowane na głównym placu miasta, znikły z ulic patrole kawaleryjskie, posępne - czarno - białe - proporczyki u ich lanc. Niemcy poszli sobie. Chętnych do zaprowadzenia własnego porządku na opuszczonych przez nich ziemiach ukraińskich znalazło się zaraz aż nazbyt wielu. Trudna problematyka socjalna w sposób gorzej nieraz niż groźny przeplatała się tutaj z narodowościową.

Przyjechaliśmy z Rosji na Ukrainę, aby znaleźć się bliżej ojca matki, dziada Wiktora Maliszewskiego.

Po wyniesieniu się z Francji pracował on jako kolejarz na południowych liniach w cesarstwie. We właściwym czasie skapitalizował emeryturę i operując ponadto oszczędnościami jął działać na własny rachunek. Niewielką fabryczkę sukna w Czaplinie

zabrała mu powódź, ale ogromny, wyposażony w dynamo, na przemysłową skalę obliczony młyn parowy w Poradówce okazał się kopalnią pieniędzy. Samo czarnoziemne serce Ukrainy, a w promieniu wielu wiorstw żądanej konkurencji, oprócz wiatraków. Wojna i przewroty nie tylko nie naruszyły prosperity, lecz wzmogły ją jeszcze.

Dziad mieszkał w Bojarce, w miasteczku, które od wspomnianej Poradówki oddzielała tylko rzeka Zgniły Tykicz, płynąca wśród lasu oczeretów. Nie miał nic wspólnego z ziemiaństwem czy innym dziedzictwem, mimo to chłopci nazywali go między sobą nie inaczej niż „pan”. Nasza trójka to były zatem „panowy wnuki”. Za niemieckiej okupacji też zdarzały się tam niepokoje. Byłem świadkiem jednego tylko nocnego napadu rabunkowego, przy którymś z następnych ojciec wyzbył się obrączki ślubnej. Kiedy z biegiem czasu stawało się coraz gorzej, chłopci z Poradówki wystąpili z propozycją pomocy. Stary „pan” przeniósł się do jednego z nich i zamieszkał tam na stałe. Co wieczór zjawiało się dwóch małojców z wioski, zmieniająca się kolejno warta. Obficie zakrapiając samogonem, spożywali micę jajeczniczy, poczem układali się do snu na słomie w izbie. Karabiny trzymali pod ręką, granaty - widać dla ostrożności - umieszczali na stole.

W oryginalny sposób ułożyły się stosunki pomiędzy zamożnym polskim „panem” a miejscowymi „rizunami”. Pamiętać bowiem trzeba, że okolice Taraszczy, Skwiry i Białej Cerkwi cieszyły się z dawna sławą gniazd najgroźniejszych na całej Ukrainie hajdamaków. Zofia Kossak określiła w „Pożodze” te strony, jako „straszliwe”. Do składu Armii Czerwonej należał wówczas cieszący się surową sławą 3 pułk Taraszczański.

Przez wspomnianą Bojarkę prowadził ongi jeden z ostatnich szlaków bojowych Stefana Czarnieckiego, polskiego bohatera narodowego, niemiłosiernego pacyfikatora Ukrainy. U samiuteńkiego schyłku pełnego zasług żywota walczył Czarniecki pod pobliskimi Medwinem i Łysianką, wszędzie jednakowo sprawnie posługując się palem i mieczem.

Mieszkając w Taraszczy chciwie pochłonałem „Trylogię” Sienkiewicza. Wiele wspomnianych w niej miejscowości leżało tuż obok. Pod samą Taraszczą przecież posiadał majątność pan Muszalski, znakomity łucznik. Jego wróg najpierw, później zaś przyjaciel, Dydiuk, to „chłop białocerkiewski, niedawno uszlachcon” Znałem w Taraszczy człowieka nazwiskiem Burlaj.

W pewnej chacie chłopskiej w Poradówce pokazano mi wydobytą z jakiegoś schowka dość sfatygowaną książkę. Była ilustrowana, zawierała zaś wiersze. Tą drogą dowiedziałem się o istnieniu poety Tarasa Szewczenki. Tomik ów musiał być chyba drukowany w Galicji i nielegalnie przemycony na teren tak zwanej Małorosji, a to jeszcze za cara, który nie uznawał istnienia narodowości ukraińskiej.

Czasy się zmieniły, lecz książkę Szewczenki gospodyni, moja dawna niańka, znowu schowała, tłumacząc mi, że nie wolno jej pokazywać. Lud miewa zazwyczaj dobrą pamięć, szczególnie zaś i słusznie jest w tym kierunku uzdolniony lud ukraiński, od stuleci krzywdzony przez wszystkich.

Zastanawiając się nad genezą istnej przyjaźni, jaka łączyła starego „pana” Maliszewskiego z okolicznym włościaństwem, dochodzę do prostego wniosku. Urodzony w Nantes, z Bretonki, wychowany we Francji i sam będący pół - Francuzem dziad traktował sąsiadów na sposób nie sarmacki, lecz francuski. Człowiek porywczy i twardy dobrze pilnował własnych interesów, ale to samo prawo przyznawał każdemu innemu. Praktyczne zastosowanie jałowej - rzekomo, bo formalnej tylko, zasady równości obywatelskiej jakoś tym razem okazało się owocne i to w sensie życia lub śmierci.

Dziad Wiktor zaliczał się do zajadłych dreyfusardów. Przejmował się słynną sprawą tak, jakby mieszkał nie nad Zgniłym Tykiczem, lecz nadal nad Loarą, w swoim rodzinnym Nantes. W związku z tym pewnie, nie słyszałem o zatargach z Żydami, którzy stanowili zdecydowaną większość zaludnienia Bojarki. Księgowym w młynie był niejaki Nuchim. Dziad beszał go często za rozlazłość i błędy, lecz nigdy za pochodzenie.

Podczas wojny domowej na Ukrainie postawa ostatnio wspomnianej grupy narodowościowej nie budziła niczyich wątpliwości w tym sensie, że nie stanowiła zagadki; Żydzi sprzyjali bolszewikom. Głupstwa oczywiście plotą ci, którym śpieszno do posługiwania się słówkiem „wszyscy”. Zdecydowana jednak większość starozakonnych mówiła o czerwonych: „nasi”. Rozmaici, niesłusznie nawet podejrzewani o zamięłowanie do białego koloru goje taraszczańscy z lękiem i po cichu rozmawiali o niejakim „Chade”. Był to młodzian miejscowy. Chaim Dolinskij, który doszedł do znaczenia jako komisarz czerezwyczajki i nie grzeszył przesadną łagodnością. Aleksander Solżenicyn zanotował w jednej ze swych powieści

ten fenomen, że synowie kupców lub zamożnych przedstawicieli wolnych zawodów nie tylko z zapalem stanęli w służbie ideologii proletariackiej, ale sami zaczęli się uważać za autentycznych przedstawicieli proletariatu. Ten sam autor mówi słusznie w tej samej książce, iż nie sposób dziwić się postawie ludzi, biorących rewanż za pogromy i „linię osiedlenia”.

Mieszkańcy Maksatichy z zainteresowaniem przyglądali się przyjezdnej rodzinie żydowskiej, bo w normalnych, pokojowych czasach nie zdarzała się im okazja po temu. Żydzi nie mieli prawa osiedlania się na wschód od guberni połtawskiej, głąb Rosji była przed nimi hermetycznie zamknięta. Stanowili grupę narodowościową dyskwalifikowaną prawnie. Z Powołża mógł się wywodzić Rosjanin, Niemiec, Tatar, Mordwińczyk, Karel, Ormianin, Polak i Chińczyk nawet, nigdy Żyd. Nie przyjmowano katolików do Akademii Sztabu Generalnego, szarże generalskie stały jednak przed Polakami otworem. Nie przyszło mi nigdy słyszeć o carskim oficerze zawodowym narodowości żydowskiej.

Znacznie później, kiedy byłem w Grodnie nauczycielem gimnazjum, lubiłem gadać z naszym woźnym, panem Mikołajem, szlachcicem zagrodowym z okolicy. Razu pewnego zaczął stary wspominać czasy swej służby w policji carskiej. Odbywał ją w Petersburgu i w Moskwie, gdzie często zbierał pochwały i nagrody pieniężne, a to za wykrywanie na dworcach kolejowych nielegalnie przejeżdżających Żydów. Koledzy - Rosjanie, dalecy od gorszenia się tak dochodowym procederem, zazdrościli jednak szczerze. „Jak ty ich rozpoznajesz?” - dopytywali.

Rewolucja przyrzekła raz na zawsze pogrzebać antysemityzm, zaliczyć go do rzędu najgorszych zbrodni. Zakazała używania terminu Żyd, który w języku rosyjskim posiada przydźwięk obelżywy. Znana, poniekąd oficjalnie uznawana teza, że wewnętrznymi wrogami Rosji carskiej są „Polaki, Żydy i studenty”, nie tylko nie poniżała przedstawicieli pierwszej i ostatniej ze wspomnianych grup, lecz ich we własnych ich oczach wywyższała. Ze środkową było zupełnie, ale to zupełnie inaczej. Ten człon tezy pływał w sosie pogardy.

Poniewierani ludzie wsparli ten prąd polityczny, który obiecywał skasować piętno, zapomnieć o nim ... Leżało to w naturze rzeczy.

Carskie porządki tudzież ideały znalazły obrońców. Liczebność ich nie usprawiedliwiała rozmiarów i charakteru represji zastosowanych wobec biernej masy, rosyjscy historycy emigracyjni utrzymują, że w ruchu oporu przeciwko bolszewikom uczestniczyło zaledwie pięć procent oficerów carskich. Ci jednakże, co działali, robili rzeczy, które mnie osobiście skłaniają do pewnego wniosku. Hitler i Himmler nie powinni być uznawani za pierwszych w stuleciu XX twórców i wykonawców programu „Endlösung”,

ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej. Rola pionierska przypada komu innemu, braciom - Słowianom niestety.

Wczesnym latem 1919 roku zajęły Taraszcę wojska generała Antona Denikina. Złote naramienniki, „pagony”, znowu zabłyśły. Były one przedmiotem takiej nienawiści ze strony bolszewików, że jedynie wariat mógłby wtedy wieszczyć ich triumfalny powrót do Rosji już jak najbardziej czerwonej. Kto to powiedział: „wargi mędrca nie wymawiają słowa: nigdy”?

Uchodziło wówczas za pewnik, że Żydzi dowiadują się o wszystkim zawczasu. Według tej teorii najlepszą zapowiedzią mającej nastąpić zmiany były grupki starozakonnych tajemniczo szepczące na chodnikach i pod ścianami domów. Tamtej soboty wszechwiedza okazała się legendą, zabrakło nawet zwyczajnej ostrożności, umiejętności przewidywania na najbliższą metę. W piękny i ciepły dzień pełno było na chodnikach spacerującej publiczności żydowskiej. Od rana mieszkańcy Taraszczy przyglądali się przemarszowi wojsk. Długo ciągnęły tabory czy inne jakieś zaprzęgi konne, eskortowane przez pieszych Kozaków, kubańskie chyba, bo poprzestrzajane często w szerokie kapelusze filcowe. Już pod wieczór zza zakrętu, za którym kilka miesięcy wcześniej znikali Niemcy, wyjechał znaczny oddział jednolicie, na stary ład umundurowanej kawalerii. Nad pierwszą sekcją powiewał trójbarwny, niebiesko - biało - czerwony sztandar carski. Zaczęło się w chwili potem - krzyki wściekłości i rozpacz, uciekający tłum, za nim sino połyskujące szable.

Mieszkaliśmy przy jednej z lepszych ulic miasta, lecz położonej w pobliżu jego skraju, akurat na drodze wszelkich przemarszów i odmarszów. Główne, paradne wejście prowadziło do nas wprost z chodnika, rodzice otworzyli więc drzwi, w które zdażyło się wtłoczyć trzydzieści kilka osób. Pojęcia nie mam, w jaki sposób nie zostało to zauważone, prawdopodobnie wykonawcy pogromu zanadto się zajęli tymi z uchodzących, co pozostali w tyle. Rozwścieczony człowiek wiele może prześlepić, zwłaszcza jeśli jemu samemu nie zagraża żadne zupełnie niebezpieczeństwo.

Był w naszym mieszkaniu mały pokój, któryśmy z bratem przezywali „Kamczatką”, bo w zimie bywało tam chłodno. Jedyne jego okno wychodziło na maleńki ogródek, szczelnie zasłonięty wysokim i ścisłym parkanem z desek. Do tej izdebki schronili się zbiegowie, poczem wspólnymi siłami naszej rodziny do drzwi jej przysunięta została szafa. Ojciec pobiegł jeszcze prędko przez podwórze do drugiej połowy domu, zajmowanej przez właściciela, Żyda nazwiskiem Krenieńczucki, aktualnie przebywającego wraz z rodziną we wspomnianej „Kamczatce”, umieścił tam krzyż i obraz religijny, katolicki. Dokonawszy tych czynności rodzice otworzyli szeroko wszystkie okna wychodzące na ulicę i wobec zapadającego zmroku oświetlili mieszkanie, zapalając lampy co do jednej. Musiał być pozór,

że nikt się w tym domu nie lęka szlachetnych zdobywców Taraszczy, że owszem - wita ich z radością. Matka przysiadła sobie na parapecie okiennym, ojciec wyszedł na zewnątrz i trwał na chodniku. Wszelkich sprawdzających i dopytywujących należało trzymać jak najdalej od wypchanego ludźmi pokoiku za szafą.

O śnie nie mogło być mowy. Stanu własnych nerwów sobie nie przypominam, za to dolatujące z sąsiedztwa odgłosy... Dowiedziałem się, jak wrzeszczy człowiek mordowany białą bronią. I jak przeraźliwy, do niczego niepodobny dźwięk wydaje wielkie lustro, jeśli w nie zajechać okutą kolbą karabinu.

W głębi nawy zatrzymał się pod oknami dobrze podpity Kozak i wdał się w gawędę. I właśnie w tej chwili w „Kamczatce” musiało zapłakać niemowlę.

- A cztoż, chaziajka, u ciebia grudnoj riebijonok?

Matka struchlała. W pijackim rozczuleniu mógł przecież zażądać pokazania dziecka. Ale na pytanie należało odpowiedzieć twierdząco. Płacz słychać było wyraźnie.

- Tak wot tiebie dla niewo. U was nawierno pri bolszewikach nie było - zdobył się rozmówca na hojny gest, wyciągając z kieszeni dwie czarne od brudu kostki cukru.

Zgodnie z wiekami uświęconą tradycją, pozwolono widać wojsku pohulać tylko do określonej pory. Rankiem pogrom ustał, ludzie mogli przemykać do własnych domostw opłotkami, bo Taraszcza zabudowana była luźno. Jedna z kobiet wyniosła z naszej „Kamczatki” nieuleczalnie nadszarpnięte nerwy. Skuteczniej niż inni męczyła się przez całą noc myślą o losie najbliższych, którzy zbiegiem okoliczności też ocaleli, schronili się gdzie indziej. Stwierdzenie tego faktu okazało się już lekiem niedostatecznym. Pokłosa pogromu, czyli trupów, nie oglądałem, bo rodzice zabronili nam opuszczać mieszkanie. Prawdopodobnie nieco później i przy innej ulicy zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu widzieć mózg ludzki. Znajdował się nie w słoju i nie w muzeum historii naturalnej. Leżał jak szmata na ceglanym chodniku.

Parokrotnie jeszcze „Kamczatka” posłużyła za schronienie, lecz w okolicznościach mniej groźnych i tylko bezpośrednim sąsiadom. Szafa czekała w pogotowiu, nie przyszło jednak do maskowania nią drzwi. Niebezpieczeństwo ominęło nasze domostwo, wyładowało się może w innej dzielnicy.

Raz jeden daliśmy się zaskoczyć, z pozoru bowiem nic złego się nie zapowiadało. Ulicą przekłusował szwadron kawalerzystów oraz elegancki powóz z dwoma wyższymi oficerami, którzy pierwsi uprzejmie pozdrawiali widzów. U nas w domu nie przerwano więc zajęcia, ściśle związanego z życiową pasją ojca. Miał on dwie specjalności - agronomię, której nie lubił, i umiłowaną muzykę. We francuskim konserwatorium skończył klasę

wiolonczeli, lecz z życiowych, zarobkowych względów musiał poprzestawać na amatorskim traktowaniu swej namiętności. Gdzie i kiedy tylko mógł skupiał grajków bez względu na stan, płeć, zawód i wyznanie, organizował ich i dyrygował nimi. Przypominam sobie część zaledwie jego dokonań, dwie orkiestry symfoniczne, coś pięć dętych i nieokreśloną ilość zespołów kameralnych. W dniu wzmiankowanego zaskoczenia w głównym pokoju naszego mieszkania produkowało się trio: matka przy pianinie, ojciec ze swą wilonczelą i skrzypek Wilchowski, student uniwersytetu kijowskiego, Żyd, człowiek wyjątkowej urody w typie wyraźnie semickim. Z boku zasiadał na kanapie jedyny słuchacz mieszkający u nas proboszcz parafii taraszczańskiej, ksiądz Stefan Kozicz.

Melodia urwała się nagle, gdy kuchennymi drzwiami weszło dwóch uzbrojonych. W mieście zaczął się niepostrzeżenie drobny, dyskretny pogromik. W środkowym, przypominającym ciemnawy hall pokoju minęli bez słowa brata i mnie. Karabiny trzymali na „gotuj broń”, na głowach mieli czarne, kosmate, zabajkalskie papachy. Obaj wydali mi się niewysocy. Ojciec wyszedł im naprzeciw, Padło pytanie o wyznanie i narodowość.

- Katolik, Polak. To moja rodzina, a to nasz duchowny. („Nasz swiaszczennik” - brzmiało to po rosyjsku).

Wilchowski stał oparty o stół i podstrajał swoje skrzypce. Twarz miał spokojną... odrobinę może zanadto spokojną i lekko przymrużone oczy. Jeden z Zabajkalców postąpił ku niemu i powiedział tonem, który do grobowej deski popamiętam:

- A eto czto za gaspadin?

W tej chwili ojciec popisał się jeszcze jedną swoją specjalnością, której niestety też po nim nie odziedziczyłem: błyskawicznym refleksem:

- A eto pomocnik ksiendza - dorzucił bez wahania.

Ksiądz Kozicz z eklezjastyczną powagą skinął głową, przytwierdził. Na szczęście tego dnia miał na sobie sutannę, co uznane widocznie zostało za argument tak gruntowny, że obaj przyjemni goście wynieśli się wyjściem frontowym, nie zainteresowawszy się już drugą połową domu.

Jakże pięknie było później Wilchowskiemu oraz jego przyrodniemu czy też stryjecznemu bratu, Jaszy Kołtunowi, w czapkach z białymi otokami! Z wiosną 1920 roku obaj oni wsparli bowiem czynnie imperialistyczne zakusy Józefa Piłsudskiego, wstępując ochotniczo do 2 pułku Ułanów Grochowskich. Jeszcze później Jasza pełnił w Warszawie doniosłe obowiązki członka policji konnej, sterczał na karym rumaku przed Zamkiem Królewskim, poczem straciliśmy go z oczu.

Do Polaków Denikinowcy odnosili się z rezerwą, ale nie wrogo. Nie wiadomo było jeszcze jak postąpi Piłsudski, istniała nadzieja, rachuba raczej na współpracę z nim. W stosunku do innych nierosyjskich narodowości na Ukrainie polityka Armii Ochotniczej była określona wyraźnie: dla Żydów noże i temu podobne narzędzia, dla chłopów, którzy dawno już popalili dwory i pozabierali ziemię folwarczną, nahaje. Wieszanie i rozstrzeliwania odbywały się swoim, w Taraszczy niepublicznym na szczęście porządkiem. I tak aż do jesieni biała Rosja arcyskutecznie sama sobie kopała grób.

Prószył już śnieżek, mokro było i zimno, kiedy powędrowałem samotnie na zamiejską szosę pogapić się na ciągnące z przeciwka wojsko. Milczeli taborycy na wozach, jezdowi i kanonierzy przy działach, malowniczo lecz posepnie wyglądały figury kawalerzystów w papachach i długich szynelach. Siedzieli w siodłach jak poprzyrastani, groźni już tylko z wyglądu. Pobite oddziały Denikina cofały się na południe. Zaraz następnego bodaj dnia oglądaliśmy obdarte i pstre, ostro maszerujące bataliony Armii Czerwonej.

Niewłocznie zaczęły się porachunki ze zwolennikami obalonych dopiero co porządków, albo i z ludźmi, którzy się z jakichkolwiek powodów nie podobali. Na murach ukazały się afisze, bolszewicy umieli dbać o propagandę. Jedne obrazowały okrucieństwa białych, do dziś pamiętam fotografie okropnie spuchłych ciał ludzkich, posiekanych w poprzek „szompołami”, wyciorami karabinów. Inne plakaty prezentowały bardzo dobrą grafikę. Był i taki, co pokazywał grupkę wynędzniałych postaci przygiętych do ziemi pod podeszwą podkutego buta. Napis głosił: „Raboczije! Waszi żeny i dieti stonut pod sołdackim sapogom Piłsudskawo”.

W tych czasach utracił życie, zamordowany przez czerezwyczajkę w Kijowie, nasz bliski krewny, Stanisław Kamiński, i cioteczny brat matki (rodzony wspomnianego w poprzednim rozdziale Kazimierza, poległego pod Łowczówkiem). Był studentem, człowiekiem o zupełnie już sprecyzowanej postawie politycznej, praktykującym - jeśli wolno się tak wyrazić - socjalistą. Aresztowano go, zaprowadzono do siedziby wiadomej władzy i wszelki ślad przepadł. Matka jego pisała później z Warszawy do samej Nadieżdy Krupskiej. Otrzymała nawet odpowiedź, że niczego się nie dało ustalić. Nie zdziwi to nikogo, kto zechce wiedzieć i pamiętać o praktykowanej w Kijowie metodzie masowego ekspediowania na tamten świat.

Ten zgon zalicza się do ważnego, lecz starannie dziś przemilczanego rozdziału ówczesnej historii. Bezpardonowa walka bolszewików z Judeniczetn, Kołczakiem, czy z Wranglem była zjawiskiem nieuniknionym, tamta strona też nie przebiegała w środkach. Całkiem inna sprawa to zajadłe tępienie ludzi lewicy, którzy wcale nie tęskniąc do cara ani do

kapitalizmu, pozwalali sobie jednak myśleć inaczej niż władza, nie zgadzali się na pierwotny grzech systemu, to znaczy na totalizm. Los ich podzieliły tłumy politycznie wiernych, spragnionych tylko przetrwania.

W czasie okupacji niemieckiej ze zgrozą oglądaliśmy afisze, na których widniały kolumny nazwisk ludzi rozstrzelanych bez sądu, w drodze masowych represji. W Kijowie podczas wojny domowej widywano także ogłoszenia z sumarycznym uzasadnieniem: „Rozstrielany w porządkie krasnowo tierrora”. Można temu zaprzeczyć, można również poniszczyć dowody rzeczowe. Moim obowiązkiem jest odnotować twierdzenia takich, co widzieli i przeżyli.

Bardzo wcześnie zaczęto wytyczać historii europejskiej złą drogę.

Pobyt Denikinowców w Taraszczy to jedyny fragment wspomnień z tych czasów, który potrafię mocno osadzić w chronologii, a to dzięki późniejszym lekturom. Ofensywy i odwroty Armii Ochotniczej zostały dość dokładnie przedstawione przez historyków, w encyklopediach także łatwo znaleźć daty. Cała reszta przesypuje się w pamięci jak szkiełko kalejdoskopu, tworzy obraz migotliwy, barwny i bogaty, lecz niezbyt zaiste wesoły.

Od jesieni 1918 do wiosny 1920 roku władza zmieniała się w Taraszczy wielokrotnie, dorośli zapewniali, że coś około czterdziestu razy. Czasami w biały dzień zapowiadała początek przemiany seria karabinu maszynowego albo wybuchy granatów gdzieś na peryferiach. Innym razem strzelanina zaczynała się w głębi nocy i w samym śródmieściu. Oznaczało to, że część załogi zmieniała przekonania polityczne. Światło poranka uwidoczniło na gmachu koszarowym chorągiew inną od tej, co dumnie powiewała wieczorem, inny odłam ludności musiał przemyśliwać o ukrywaniu się, a już co najmniej o chowaniu cenniejszych przedmiotów. I nam przytrafiło się uciekać na przedmieścia, do najść zdobywców na mieszkanie przyzwyczailiśmy się prawie. Każde z nich połączone było, rzecz jasna, z doraźną konfiskatą wszystkiego, co leżało na wierzchu i dawało się upchać do kieszeni, chlebaków lub sakw kawaleryjskich. W tej mierze przedstawiciele rozmaitych wykluczających się wzajemnie orientacji politycznych wykazywali zdumiewającą jednolitość programu. Prawdziwą oryginalnością popisał się dopiero przybrany w resztki munduru marynarki wojennej osobnik, który wjechał konno do przedpokoju i z wysokości siodła kierował tak zwaną rewizją burżuazyjnej siedziby.

Zakwaterowano nam kiedyś na jedną noc dowódcę oddziału czerwonej kawalerii. Był wysoki, czarniawy i szczupły, traktował wszystkich bardzo uprzejmie. Nazwiska jego zapomniałem, ale rodzice twierdzili, że pochodziło ono z rurykowiczowskich czasów. Podczas szczerzej rozmowy przy kolacji nosiciel arystokratycznego miana wcale nie przeczył

okropnościom, jakie się naokoło działy. Przekonywał tylko, że należy przez to wszystko przebrnąć, bo nie ma innej drogi do lepszych porządków na świecie. Po jego wyjeździe trzeba było pościel wsadzić co rychlej do kotła z wrzątkiem, bo roila się od wszy.

Na parę tygodni roztasowało się u nas dwóch krasnoarmiejców, Wielkorusów z nad Wołgi. Już po paru dniach przestali zwracać się do matki per „gospodyni” - „Da brostie, barynia - powiedział wesoło młodszy. - Kakaja wy tam chaziajka”. Pobyt tych dwóch uzbrojonych po zęby olbrzymów zapisał mi się w pamięci jako okres absolutnego spokoju i bezpieczeństwa w domu. Przynieśli skądś dubeltówkę i naboje z kaczym śrutem. „To na nocnego złodzieja” - oświadczyli pogodnie. W dniu odmarszu oddziału obaj znaleźli czas, by wpaść się pożegnać.

Dowiedziawszy się, że mieszkają u Polaków, opowiedzieli bez złości o jakiejś potyczce z polską kawalerią. Ten młodszy i większy rozprawiał spokojnie o ściętej jednym ciosem szabli głowie ułana.

Jeżeli bitwa i przewrót w mieście odbywały się w dzień, przez nasze frontowe okna można było zorientować się, jaka barwa nadciąga, patrząc na tych, co woleli zrejterować zawczasu. Widzieliśmy kiedyś, jak przeciwległym chodnikiem szybkim krokiem umyka w gronie towarzyszy wspomniany tu już groźny „Chade”, dostojnik czerezwyczajki. Byli po cywilnemu, w dłoniach mieli „nagany”, oglądali się często. Nie wiem już, kto wtedy nacierał. Pewnie któryś z powstańczych oddziałów ukraińskich.

Tym samym chodnikiem pośpieszała innym czasem mało doprawdy niebezpieczna para.. Ratował życie mieszkający opodal duchowny prawosławny. Starczym, niedołącznym truchcikiem, otyli i żałośni biegli gdzieś obydwójce z popadą, nie obzierając się wcale i niczego z mienia nie unosząc. Nie było zatem' wątpliwości, że biorą miasto czerwoni.

Sporo czytywałem później uczonych wywodów na temat przyczyn, dla których kler prawosławny okazał się mniej odporny od katolickiego. - W początkach drugiej wojny światowej bratu mojemu przyszło powrócić do Rosji i zająć się wraz z tysiącem bodaj jemu podobnych budową lotniska na wybrzeżu Oceanu Lodowatego. U skraja pola pracy znajdował się spłacheć gruntu pofałdowanego w małe garbki, obrosłe mchem. Tubylcy z wioski rybackiej zdradzili ich znaczenie. - „Przed wami budowała to lotnisko brygada popów. I oni wszyscy tam leżą” - brzmiało objaśnienie.

Nie śmiem przeczyć skomplikowanym racjom o charakterze filozoficznym, zawartym w powołanych przed chwilą lekturach. Chciałbym jedynie przypomnieć, że wobec kleru prawosławnego stosowano argumenty także natury raczej ostatecznej.

Bywał u nas częstym gościem młody Ukrainiec, któremu starczyło czasu na skończenie miejscowego gimnazjum, lecz zabrakło już sposobności zapisania się na uniwersytet. I jego także spotkałem na naszej ulicy w trakcie wycofywania się. Pędziłem właśnie do domu, przynaglany odgłosami już całkiem bliskiej palby. Ze zrolowanym przez ramię płaszczem, z nasadzonym na karabin bagnetem dużymi krokami odchodził wśród kilku podobnie zbrojnych. Tym razem Ukraińcy oddawali miasto bolszewikom.

W kilka dni później znowu ujrzałem znajomka i to w tym samym miejscu. Spoczywał w trumnie, prawosławnym zwyczajem otwartej. Niosły ją same kobiety, bo dla mężczyzn mogło się to okazać zbyt niebezpieczne. W poźółkłej twarzy poległego widniał pod prawym okiem czarny otwór, wyszczerzone zęby świadczyły o ciężkiej agonii. - Większość zapelniających chodniki krasnoarmiejców odkrywała głowy.

Często odrywał mnie od zabawy czy lektury głos trąb rozpościerających nad miastem melodie hymnu: „Spitje, orły bojowyje...” Biegło się wtedy w kierunku cmentarza, by wyprzedzić czoło kolumny okryte czerwienią sztandarów. Bolszewicy uroczyście celebrowali pogrzeby swoich poległych. „Wy żertwoju pali w borbie rokowej...” - potężnie śpiewały nad grobami setki uzbrojonych mężczyzn. Potem ze wszystkich luf rozgrzmiewała potoczysta salwa.

Powstańcy ukraińscy nagłym, niespodziewanym nalotem zajęli kiedyś Taraszcę na czas nieco dłuższy i zdążyli przetrząsnąć zakamarki. Spenetrowali także siedzibę czerezwyczajki, dawno skonfiskowany dom kupca położony w środku bardzo rozległego sadu. Opowiadano, że wykryto w piwnicy, świeże jeszcze ślady krwi skłoniły ich do dokładnego przerycia ogrodu. Kilka pozawijanych podobno w rogoże czy worki ciał ludzkich leżało wprost w ziemi. Włożono je w pośpiesznie zbite, niemalowane trumny i wystawiono na widok publiczny tam na miejscu, pod jabłoniami, których kwiaty zdążyły już opaść. Otwarcie trumien miało nastąpić w określonej godzinie, wieść o tym poszła na miasto, wrota posesji zostały otwarte na oścież.

Przekroczyłem je wraz z kolegami, nikt nie bronił wstępu nieletnim. Widziałem trumny. Widziałem również skromnie ubraną kobietę, która trzymając za ręce dwoje dzieci snuła się wokół dwóch środkowych. Była to żona człowieka dość znanego w mieście, urzędnika pocztowego, aresztowanego przez czerezwyczajkę jakiś czas wcześniej. Najstarszy syn, chłopak kilkunastoletni, poszedł za ojcem i też nie wrócił. To ich zwłoki leżały w trumnach ustawionych pośrodku.

Pozieleniały na twarzy fotograf z nerwowym pośpiechem umacniał na trawniku swój trójnóg. Dowódca Ukraińców zapowiedział mu podobno zwięźle, że albo udane zdjęcia, albo kula w łeb.

Przenikający całą mą istotę lęk wprost popchnął mnie ku wrotom. Poczułem nagle, że wśród tłumy jestem zupełnie samotny, sam jeden wobec tych trumien i widoku, który ma się za chwilę otworzyć. Nie mogłem dłużej patrzeć na kobietę o szklanych oczach, wyczekiwać aż ona i jej dzieci zobaczą... Siły woli, a może raczej obawy przed śmiesznością starczyło mi na to tylko, by nie biec.

Skurczony wewnątrz, z zimnem na policzkach i karku, szedłem bezludnym chodnikiem patrząc pod nogi. Przez nawisające zza płotów gałęzie drzew przesączały się promienie słońca. I to mi już na zawsze zostało - okrągłe, ruchliwe plamki światła na poziomych płytach chodników to dla mnie kolor żałoby, znak okrucieństwa świata.

Zdjęte o oznaczonej porze wieka trumien odsłoniły ciała ze śladami kwalifikowanych tortur. Nie widziałem tego, lecz musiałem słuchać, bo miasto trzęsło się od opowiadań i wzburzenia. Mówiono o wyklutych oczach, poobcinanych uszach, o twarzy chłopca spalonej czymś żrącym w tych miejscach, gdzie dorosły mężczyzna ma zarost.

Nie widziałem, powtarzam. Oglądałem tylko trumny, nad nimi kobietę o ruchach lunatyczki i straszny blask słońca.

Gdybyż to sama tylko zwyczajna i dobrotliwa, nagła śmierć snuła się wtedy po Ukrainie. Czały się nieustannie albo i jawnie chadzały najokropniejsze jej postacie. Mało mogłem zrozumieć z dosłyszanej przypadkiem rozmowy dorosłych o siedmiu żołdatkach, którzy znęcali się nad kobietą. Pojąłem natomiast dokładnie, że na zakończenie oblali ją naftą czy benzyną i przytknęli zapalną.

Nauczyłem się dokładnie, co oznacza krótka i słaba, bo z kilku tylko karabinów oddana salwa, po której następują jeszcze czasem pojedyncze wystrzały. Często, bardzo często, z reguły niemal wieczorem lub w nocy, dolatywały takie odgłosy od strony cmentarza. Początkowo paraliżowało to psychicznie wszystkich w naszym domu, uniemożliwiało jakiegokolwiek zajęcie. Później wymieniało się już tylko spojrzenia, nie mówiąc nic.

Nie rozpraszała się atmosfera grozy nie odciągnęła jakoś moich rodziców od omawianych już zamiłowań. - Koncert w sali dawnego gimnazjum, zespół muzyczny na scenie i ojciec z batutą, solistka śpiewająca bodaj Wertyńskiego i akompaniująca jej na fortepianie nasza matka. Na zatłoczonej widowni tyleż chyba osób cywilnych, co uzbrojonych krasnoarmiejców, zasłuchanych, bijących brawo, zyczyliwych. Nie przeszkadzały im wcale maniery i stroje z minionej epoki.

Zdarzyło się, że podczas wcześniejszych narad nad programem Wilichowski zabrał głos i zaczął od kurtuazyjnego: „gospoda” - proszę państwa - gdy do pokoju wszedł dowódca załogi, znany całemu miastu z malowniczego ubioru. Nosił pięknie wciętą czerkieskę z

szarego sukna z czerwonymi kantami na piersiach, u pasa wspinała szablę kaukaską. Wszedł, dosłyszał grzeszne słowo i zagrział od progu:

- Gospod niet! Gospoda w grob!

Najprzyjemniej, a już na pewno najspokojniej upływały nam z bratem tygodnie spędzone u dziadka, w Poradówce. Zmieniające się ciągle władze nie mogły się zbytnio interesować odludziem, istniały w dodatku okoliczności skłaniające rozmaitych włodarzy do oględności. W wielu bardzo wioskach chaty chłopskie przypominały podówczas małe arsenały. Tu i ówdzie zdarzały się ciężkie karabiny maszynowe, legendy krążyły o Medwinie, który jakoby to posiadał działo. Zaraz na początku rewolucji wieśniak ukraiński urzeczywistnił jedno ze swych odwiecznych pragnień: rozprawił się z polskimi przeważnie dziedzicami, nie stroniąc przytem od dopiero co opisanych metod, wziął ziemię folwarczną. Powszechnie raczej wystąpiło teraz pragnienie kolejne, ideologia uproszczona, miła może i bukoliczna, lecz na dłuższą metę mało przydatna. Polegała ona na chęci trzymania się jak najdalej od wszelkiej władzy, białej i czerwonej i każdej innej także. Dużo było wtedy ukraińskich oddziałów zbrojnych, lecz wszystkie razem wzięte określano bardzo charakterystycznym terminem. Mówiło się po prostu: „sielanie”.

Pewne objawy wcześniej wskazywały na mankamenty programu przemiany kraju w luźne rojowisko samorządnych siół - republik. Najprostsze narzędzie rolnicze, kosy i sierpy, zaczęły się zaliczać do rzadkości, sól zdecydowanie nabierała ceny skarbu.

Nie przyszło nam nigdy zetknąć się z działalnością męża, który przeszedł do legendy i urósł do miary symbolu. Oddziały batki Nestora Machno, omijały jakoś strony, gdzie przebywaliśmy. Głosił on zbyteczność wszystkiego, co przerastało przeciętną miarę chłopa - „chliboroba”, likwidował szkodliwe narośle, mordując także i wiejskich popów, których sutanny przydawały się na czarne sztandary anarchistów. Pobity przez bolszewików, ranny, opuścił kraj, by dożywotnio osiedlić się w Paryżu. Dziwnie wielu zwolenników radykalnego wywracania świata na nice wcześniej czy później obiera sobie za siedzibę tę stolicę nie tylko świata, lecz również mieszczańskiej, chronionej przez policję przeciętności.

Tamtej wiosny mniemaliśmy obaj z Januszem, że przyjdzie nam dłużej taplać się w Zgniłym Tykiczu i poławiać w nim karpie. Zbliżało się lato, lekcje pobierane w Taraszczy u dystyngowanej, ale nudnawej nauczycielki, panny Idalii, uległy pożądanemu zawieszeniu. Nieoczekiwanie zjawił się jednak w Poradówce ojciec. Przyjechał normalnie, własnym, niskorosłym, nie nadającym się do kawalerii, więc i do konfiskaty, konikiem, zaprzężonym do lekkiego wózka.

- Jutro wracamy - oświadczył z miejsca. - Taraszcze zajęły polskie wojska.

Tak oto, znieca, oszałamiająco, i nas także ogarnęło szczęście wolności, która powróciła do Warszawy wtedy dokładnie, gdyśmy listopadowego poranku patrzyli na znikające za zakrętem ulicy Niemców. Pomimo radosnej gorączki z niemałym zdziwieniem zauważyłem jednak, że rozmawiający z ojcem gospodarze z Poradówki twarze mają pozbawione uśmiechu, jakby nieufne, że słuchają tylko, sami prawie milczą. Wiele wody upłynąć miało i w Wiśle i w Dnieprze, zanim zdołałem zrozumieć. A może raczej przybliżyć się nieco do zrozumienia... historii. Dziś mi się zdaje, że tamtego południa w Poradówce dane mi było stanąć oko w oko z jedną z najbardziej zawiłych jej spraw. Nasza radość i chłodna powściągliwość Ukraińców, którzy tak samo jak my bali się bolszewików, mającej za ich plecami, władczej Moskwy...

Pierwszych trzech ułanów napotkaliśmy nazajutrz, w Koszowatej. Poprzednio nie mówiliśmy do siebie z Januszem o tym, co każdy miał w głowie i co wyraźnie zdradzały oczy. Czekaliśmy widoku mundurów tak dobrze znanych z ilustrowanych książek - wysokich, czworograniastych czak, wyłogów, amarantów i granatów. Tamci trzej brzęczeli wprawdzie ostrogami, lecz ubrani byli w trawiaste drelichy. Zapytaliśmy natychmiast ojca, czy całe wojsko polskie wygląda podobnie. Powiedział nam rzeczowo, że żołnierze są jednolicie umundurowani i mają wszyscy co do jednego porządne buty. Była to wiadomość kojąca poniekąd strapienie, bo pamiętaliśmy wszak dokładnie pstrokaczną działających na Ukrainie hufców, zgoła nieraz fantastyczne stroje dowódców i łachmany podkomendnych.

Napatrzyliśmy się jednak i kolorów. W nasze strony dotarł najdalszy bodaj zagon wyprawy kijowskiej Piłsudskiego, 3 brygada jazdy, czyli 2,5 i 12 pułki ułanów. Pełno w nich było ochotników z ziemiaństwa i inteligencji, którzy dokładali starań, by nie różnić się wyglądem od oficerów. Salutowali od niechcienia tak zwanym „marszałkowskim chwytem”, w późniejszym, koszarowym okresie dziejów wojska tępionym niemiłosiernie przez panów sierżantów i wachmistrzów. Wiadomo, że patrol I pułku szwoleżerów zajął Kijów, wjeżdżając do celowo opuszczonego przez bolszewików miasta tramwajem. W warunkach dość łatwego pochodu w pustkę można było wozić w taborach mundury paradne i przystrajać się w nie na dłuższych postojach. Nie mogliśmy się napatrzeć lampasom na granatowych spodniach, siwym, dwurzędowym kurtkom - „ułankom”, których górne guziki można było odpinać, tworząc na piersiach niewielkie wyłogi o barwach pułku.

Taraszcza zacmokała z zachwytu, doszła do wniosku, że oto Europa powróciła w jej prog. XX stulecie ledwie się przecież wtedy zaczęło, do mózgow ludzkich nie całkiem jeszcze dotarło przekonanie, iż żołnierz powinien się jak najbardziej odróżniać od kaczora. Piechota francuska poszła w 1914 roku na wojnę przybrana w czerwone spodnie, także

czapki i granatowe kurtki, jazda z oddali połyskiwała kirysami, grzebieniastymi hełmami. W tejsze Taraszczy dokładnie wciąż pamiętano, że każdy pułk kawalerii carskiej miał inaczej we względzie koloru skomponowane mundury. O baśniowych, operetkowych dla dzisiejszego oka przybraniach gwardii wspomnieć należy osobno.

Rozpisałem się o tym, aby uniknąć banału. Kpiny z państwa odbudowanego w roku 1918 weszły u nas ostatnio w dobrze zresztą popłatną modę, stały się sztaampą. Warto więc może przypomnieć, że tamta Polska, unikając zresztą przesady, usiłowała się dostroić do obyczajów tej Europy, jaką znali i do której przywykli ówczesni ludzie. A nie był to jednak najpośledniejszy kontynent na tym globie.

Oglądam niekiedy zdjęcia, przedstawiające parady wojskowe w dzisiejszej Moskwie, czerwone, identyczne jak u szwoleżerów Napoleona wyłogi na całą pierś, i rozmyślam o dziwactwach natury ludzkiej. Nie tylko „pagony” wróciły...

Nie istnieją więc powody, dla których musiałbym się specjalnie wstydzić dziecinnych tęsknot do mundurów z czasów tegoż Napoleona i przeżytych rozczarowań.

Mieli rację ludzie z uznaniem przyglądający się zdyscyplinowanym, mniej więcej jednolicie ubranym ułanom. Wraz z wojskiem polskim naprawdę zajrzała w skołatane strony taraszczańskie - Europa. Ta sama, co świeżo wówczas zamknęła komfortowy wiek XIX, nie obeschła jeszcze od krwi wylanej pod Verdun i Ypres, zdolna jak najbardziej do wojen, zaborów, okrucieństw, wyzysku, szachrajstw jawnego oszustwa, lecz nie nauczona jeszcze sztuki profilaktycznego tępienia ludzi z powodu przynależności narodowej, klasowej, wyznaniowej, lub po prostu dla zastraszenia pozostawionych przy życiu. Terror jako oficjalny system rządu był świeżo proklamowany w tej właśnie połaci kontynentu, do której należała Taraszcza. W drodze infekcji miał się z czasem dopiero przenieść bardziej na zachód, omijając jednak na szczęście niepodległą Polskę. Jej wysłane na Ukrainę wojsko dziedziczyło powszechną w stuleciu XIX zasadę, że żołnierz walczy z nieprzyjacielskim żołnierzem, ludności cywilnej masakrować nie wolno. Odstępstwa od tego prawidła zdarzały się, wiem to dobrze, lecz stanowiły przestępstwo, a nie zasługę, złamanie obowiązującego prawa.

Patrzyłem kiedyś, jak pewien przechodzień chciał sobie skrócić drogę i przejść pomiędzy działami, zaparkowanymi na taraszczańskim rynku. „Wróć!” - ostro krzyknął wartownik. Jegomość posłuchał, odszedł spokojnie, pewien, że żołnierz nie strzeli mu w plecy dla rozrywki, że dowódca warty nie pochwyci gapia i nie zawlecze do czerezwyczajki, oskarżając na wyrost o chęć szpiegowania, o sabotaż czy inną zbrodnię.

O! Jakże wiele znaczy taka pewność dla ludzi, którzy poprzednio przez czas dłuższy „nie znali dnia ani godziny...” Nie zapamiętałbym przecież drobnutkiego wydarzenia, gdyby nie zaskoczyło mnie ono dziwną powściągliwością człowieka uzbrojonego w karabin, więc pana życia i śmierci.

Czytuję teraz pilnie ukazujące się w „Wojskowym Przeglądzie Historycznym” wspomnienia generała Jerzego Bordziłowskiego. W roku 1920 służył on w Armii Czerwonej i dostał się do niewoli polskiej. Kolumna jeńców znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie, gdy dostrzegli ją jacyś Kozacy, co przeszli poprzednio na stronę wojsk Piłsudskiego. Szykowali się już do szarży i rąbania, gdy na rozkaz dowodzącego podoficera poznańscy piechurzy konwoju podnieśli broń, gotowi oddać salwę w tłum sojuszników, a to w obronie bezbożnych komunistów, czerwonych bolszewików, jeńców wojennych ochronionych przez prawo.

Ten fragment generalskiego pamiętnika dobrze jakoś przylega do moich osobistych wspominków.

Wolno każdemu wedle woli oceniać wyprawę kijowską Józefa Piłsudskiego. Moim zdaniem, stanowiła ona próbę powrotu Europy w udręczone strony.

Z zachwytem przyglądaliśmy się przemarszom kawalerii, podziwialiśmy jej postawę i jednolite uzbrojenie. Z napisanych nieco później fachowych książek dowiedziałem się, że ta czarująca nasze oczy, do operacyjnych zadań wyznaczona 3 brygada jazdy liczyła kilkaset szabel, poszczególne jej pułki były więc właściwie szwadronami. Niewielką zaiste potęgą grozili światu opiewani tutaj reprezentanci Europy.

Nie żałując fatygi, chadzał ojciec do komendy placu zabiegać, by nas czasem nie pominięto przy rozdzielaniu kwater. Jeden z upragnionych lokatorów, niezbyt już młody oficer 12 pułku, dowiedziawszy się o moim nałogowym zamięlowaniu do lektur historycznych, zapytał, co mi wiadomo o Annie Jagiellonce. Ku wesołości otoczenia odpowiedziałem, że mnie interesują wyłącznie panowie. Czyż mogłem przewidzieć, że w przyszłości nie tylko napiszę, ale do pewnego stopnia nawet polubię książkę o „Ostatniej z rodu”?

Tę datę zapamiętałem dokładnie: był to 26 maja 1920 roku. Utkwił mi również w pamięci pewien drobiazg, tak dalece skojarzony ze wspomnieniem o jednej ze zwrotnych chwil w życiu, że pominięcie go tutaj jest dla mnie psychiczną niemożliwością. - Od rana tkwiłem na płocie, gdzie się znajdował jeden z najwygodniejszych punktów obserwacyjnych. Nic się na razie nie działo na ulicy, sam nie wiem czemu uwagę moją przykuła długa, poszarzała podeszwami przechodniów, spłaszczona na ceglany chodniku łodyga jakiegoś burzanu. Wpatrywałem się w nią, usiłując odgadnąć z nad jakiego stawu pochodzi, kiedy

zaturkotały koła chłopskiego wózka skręcającego w nasze wrota. Dziadek oraz starsza siostra matki, ciotka Wiktoria, musieli głęboko w nocy opuścić Poradówkę, by o tak wczesnej porze zdążyć do Taraszczy.

Natychmiast opowiedzieli o zbliżających się bolszewikach. Poprzedniego dnia nagły atak czerwonej kawalerii rozniósł w Bojarce patrol 9 pułku ułanów. Dowodzący polskim oddziałkiem podchorąży, obskoczony ze wszystkich stron, zastrzelił się z pistoletu.

W Taraszczy nadal panował spokój, ani śladu paniki, lecz tabory zaczęły pomału wyciągać na drogę ku Białej Cerkwi, za zakręt, pamiętny spokojnym również odmarszem Niemców.

Nie naradzając się długo, ojciec zaprzęgnął konika. Lekki waszązek mało mógł zmieścić ruchomości, jedna tylko siostra, pięcioletnia wówczas Irka, wykazała znaczną przezorność, upchała doń wszystkie swe zabawki. Dziad oświadczył stanowczo, że nigdzie nie pojedzie. Ciotka, która od czasu zgonu babki prowadziła mu dom, została z nim razem.

W ostatniej chwili, gdy ojciec wyrównywał już lejce, zjawiono się trzech obywateli Taraszczy, Żydów.

Nie odjeżdżajcie, gwarantujemy bezpieczeństwo całej waszej rodziny. My nie zapominamy - powiedzieli rodzicom bez ogródek.

Mowy nie było o skorzystaniu z ich rady. Zwłaszcza matka nalegała na natychmiastowy wyjazd wraz z cofającym się wojskiem polskim. O! Nie ze strachu wcale. Moja matka to bardzo odważna niewiasta. Zajmowała pokój narożny, najbardziej narażony na ogień i podczas jakiejś nocnej strzelaniny na samej naszej ulicy nie uważała za stosowne schronić się w głąb mieszkania, pomimo że szyba trzasła i tynk ze ściany posypał się jej na kołdrę. Dziś jeszcze, mając lat przeszło osiemdziesiąt, powtarza to samo, co wtedy - że żądała wyjazdu, bo nie chciała już więcej patrzeć na rzeźnie, na tych wszystkich różnokolorowych komandirów, traktujących ludzi jak pluskwy.

Dogoniłem wózek za wrotami, bo musiałem jeszcze wskoczyć na płot. Poszarzała łodyga leżała sobie nadal spokojnie na chodniku, idealnie obojętna.

Rozciągnięte w rzadką, rwącą się kolumnę wozy polskiego taboru toczyły się szosą wolno, stępa przeważnie. Kilkadziesiąt metrów przed nami, samotnie, z nikim nie gadając, kroczył człowiek umundurowany w normalny drelich, lecz nakryciem głowy odróżniający się jaskrawo od ułanów. Zamiast czapki miał - mimo upału - siwy kołpak barankowy, którego żółte denko zwisało mu malowniczo na ramię, niczym trójkątny worek.

Był to jedyny żołnierz atamana Semena Petlury, jakiego tamtej wiosny widziałem.

Idąc na Kijów, Józef Piłsudski liczył na poparcie ze strony Ukrainy Naddnieprzańskiej. Opisany widoczek, zupełnie zresztą zgodny z istotą wywodów późniejszych historyków, ilustruje jak bardzo się przeliczył.

„Pułk dwunasty rusza w pole
po majątki na Podole” -

śpiewała znana piosenka kawaleryjska o jednym z tych regimentów, co dotarły do Taraszczy. Mogli to sobie wesoło nucić autochtoni nadwiślańscy, nad Dniestrem czy Dnieprem było w tym względzie zupełnie inaczej. Tradycja sławetnego „polskiego stanu posiadania” na Ukrainie była polityce polskiej kamieniem u szyi.

Wygląd i postać tamtego żołnierza zafascynowały mnie. Karabin trzymał w prawej dłoni. Nie zbliżał się i nie odzywał do nikogo. Był samotny, ponury, dziś bym powiedział, że tragiczny.

Chyba na połowie drogi do Białej Cerkwi zatrzymaliśmy się na popas. Byliśmy w nastroju nienajgorszym, pewni w gruncie rzeczy, iż świetna kawaleria polska dokonywuje chwilowego tylko manewru, że lada godzina odeprze czerwonych obdartusów i umożliwi nam powrót. Oczekując tych pomyślnych wiadomości, zwrócili się rodzice z zapytaniem do dowódcy szwadronu, który właśnie stępa przedudnił po mostku i zbliżył się do naszego biwaku. Oficer przyjrzał się nam bez uśmiechu. Poradził co rychlej zaprząć konia i starać się jak najbardziej wyprzedzić oddział. Przednie straże bolszewickie znajdowały się o kilka wiorst.

Gdy zapadł zmrok, niebo w stronie Taraszczy zaczęło się pomału rozjaśniać, znieruchomiało wkrótce w rudym półkolu łuny.

Wieści dościgły nas nieco później. Miasto zostało zajęte przez brygadę jazdy czerwonej o oryginalnym, znanym nam zresztą z dawniejszych doświadczeń profilu politycznym. Była bolszewicka, za taką się uważała, lecz odrzucała komunizm, piastowała natomiast przekonania i uczucia antysemityczne. Urządziła więc w Taraszczy pogrom godny Denikinowców, wzbogacony o pożar.

Wątpliwe, czy ocalili głowy ci, co działając w najlepszej wierze gwarantowali nam bezpieczeństwo. Mogli przecież wyjść zwycięzcom na spotkanie. (Dziada Wiktora i ciotki nikt nie skrzywdził, zdrowi powrócili do Poradówki. Może i nam nic by się nie stało... na razie).

Nasycony wrażeniami, zasnąłem na wózku. Obudziłem się późno w nocy, już pod samą Białą Cerkwią. Po obu stronach drogi widniały gęste linie żołnierzy poubieranych w płaszcze. Matowo połyskiwały pod gwiazdami ich grzybiaste, francuskie hełmy. Nie

oglądałem dotychczas polskiej piechoty, wydało mi się, że tej milczącej, nieruchawej potęgi żadna siła bolszewicka nie złamie.

W skali potrzeb frontu było tej piechoty i kawalerii tyle, co kot napłakał. Wędrówka nasza, całkiem niespodziewanie rozpoczęta w Taraszczy, zakończyła się w tym mieście, pod którym zatrzymały one pochód bolszewicki, odniosły zwycięstwo. W Warszawie.

Nie mogła to być podróż zbyt pośpieszna, bo należało oszczędzać siły konia. Jechała więc właściwie jedna tylko Irka, my wszyscy, wraz z trojgiem zaprzyjaźnionych osób, które wybrały się razem z nami, szliśmy pieszo. Powolna z musu peregrynacja gdzieś za Żytomierzem omal nie skończyła się równie nagle, jak zaczęła. Mocno zmęczeni nocowaliśmy w stodole. O samym świtaniu matka, która tej nocy w ogóle spać nie mogła ze zdenerwowania, wyjrzała na pobliską szosę. Wróciła biegiem. Ruszyliśmy w drogę jak można było najszybciej. Przez kilka męczących wiorst, tuż niemal za nami majaczyło ostrzeżenie. Pięciu ułanów jechało w luźnej rozsypce. Karabiny trzymali w pogotowiu, oparte kolbami o kulbaki, oglądali się ciągle. Wrota ocalenia przybrały tym razem postać gliniastego przedpiersia okopu, przecinającego pole.

Głodu nie cierpieliśmy, bo ojciec zabrał przezornie nieco rzeczy bardzo cennych, mianowicie kilka kos i worek soli. Za parę garści tej prozaicznej substancji można było pożywić się u każdego ukraińskiego chłopca, który jadał wówczas do syta, lecz przaśno. W jakiejś ogromnej wiosce gospodyni podała na czysto nakryty stół potężną michę kaszy jaglanej ze śliwkami, położyła łyżki. Były ze srebra, ciężkie, na każdej widniała Piława Potockich. Obejrzeliliśmy miejsce, z którego pochodziły. Wyniosłe słupy murowanej bramy stały po dawnemu, tu i ówdzie trzymały się na nich jeszcze białe sztukaterie, z ogrodzenia nie zostało nawet śladu. Niezbyt duży, biały, rokokowy chyba pałac przypominał mi się, gdy w parę miesięcy później zobaczyłem warszawskie Łazienki. Skojarzenie było tym bardziej żywe, że rozległy park nachylał się łagodnie ku błękitnej tafli olbrzymiego stawu. Obok zrujnowanych starannie urządzeń kąpielowych obmyśliśmy ze siebie pyły wędrówki.

Najskromniejszy radykał nie zdołałby w tym miejscu wyrazić radości, że siedziba magnacka zmieniła nareszcie przeznaczenie, że służyć będzie ludowi za szkołę. Pałac nadawał się już tylko na cegły. Chyba dla rozrywki poprzeprowadzono ściany wewnętrzne tuż nad ci - devant posadzką seriami z karabinów maszynowych? Strzępy gobelinu czy kurdybanu zwisały z okrutnie potrzaskanego fotela, jedynej pozostałości po dawnym splendorze.

Działać tam musieli zwolennicy teorii głoszącej konieczność zburzenia starego porządku - iż do cna. W „Cichym Donie” u Szołochowa Michał Koszewoj żwawo i

pracowicie pali w swym chutorze domy popów, kupców i bogaczy, czyli te najlepsze w całej wiosce. Logika nakazywałaby raczej zachować je starannie dla nowej fazy poprawianej wszak właśnie historii. Tego rodzaju praktyki, rozgałęzione na wszystkie dziedziny życia i uprawiane w skali olbrzymiego państwa, urozmaiciły dodatkowymi trudnościami przysłowiową „drogę przez mękę”. Czyż naprawdę kilka milionów ludzi musiało umrzeć z głodu na ziemiach, których nie musnęły pociski pierwszej wojny światowej?

Może to zbieg okoliczności tylko, ale im dalej na zachód tym częściej obijały mi się o uszy narzekania na ciężar ręki polskiej. No, nie były to te wyczyny, do których widoku przywykłem w Taraszczy, lecz słuchać było nieprzyjemnie. Tutaj proboszcz prawosławny i nauczyciel uzalali się na surowość służb tyłowych, rekwirujących żywność, gdzie indziej mówiono o aresztowaniach. Najgorzej jednak dopiekł pewien piechur poznański, który wesoło opowiadał o właściwej, jego zdaniem, metodzie postępowania ze wschodnim barbarzyństwem: „Najpierw się batem siecze, aż krew sika na powałę, potem wodą zleje, solą przysypie i deską przyklepie” - prawił.

Droga wiodła nas przez Zwiahel do Równego, skąd już koleją przez Brześć Litewski do Wilna.

Dziwacznie wygląda zwrot ku północnemu wschodowi, dokonany przez ludzi, którzy z trudem uciekli ze wschodu, a mieli przecież z Brześcia prosto i wcale niedaleko do Warszawy. Nic mi jednak dotychczas nie wiadomo, by którykolwiek z moich przodków - członków rodu przyjętego w roku 1413 do polskiego herbu Nowina - mieszkał kiedykolwiek w tym mieście, wśród nie zasługujących na zaufanie, obrotnych i nadto gadatliwych koroniarzy. Wraz z nami, w przepelnionym do granic wytrzymałości wagonie towarowym, ciągnęli w swe historyczne pielesze ludzie, samą swą mową manifestujący pochodzenie. Chory, z rozbolałą głową, przysłuchiwałem się, jak w pobliskim kącie upominano mojego rówieśnika:

- Za posłuszeństwa pieniędzy płaco, a za nieposłuszeństwa w dupa bijo.

Regionalne, a może i poważniejsze jeszcze sentymenty silnie się trzymały, skoro dożywotnio zamieszkały we Francji dziad Teobald ochrzcił swój tuluzkański dom egzotycznym mianem „Villa Krista - Kruga” (co w przekładzie na mowę miejscową znaczyło: „Auberge du Christ”). Tak bowiem brzmiała piękna łotewska nazwa Rutliszek, folwarku czy innej posiadłości, która w jakiś, mnie osobiście już nieznany sposób - prawdopodobnie przez parentele po kądzieli - wiązała się z tradycjami rodzinnymi. Nie było sensu jechać w pradziadowskie strony, na prawy brzeg Dźwiny. Wiadomo jednak powszechnie, że każdy człowiek, którego rodzina wywodziła się z Wielkiego Księstwa

Litewskiego aż po drugą wojnę światową włącznie, uważany był w Wilnie za swojego. W mieście tym mieszkały zresztą dwie siostry ojca, Maria Przyborowska i Jadwiga Hermanowa, rodzice tam często bywali przed rokiem 1914.

Niedługo bawiliśmy u pierwszej z nich. Zbliżały się wojska Tuchaczewskiego, a my nie po to opuściliśmy Taraszcę, by ponownie przeżywać wiadome przyjemności gdzie indziej. Wagon towarowy w warunkach już nieco lepszych zawiózł nas do zupełnie nieznannej Warszawy. Pociąg toczył się cał za całem przez chwiejący się most kolejowy pod Grodnem. W przyszłości poznać miałem przypadkiem człowieka, który go w parę dni później wysadził.

To się zdarzyło na pewno na zachód od Niemna, pewnie w okolicach Białegostoku. Pociąg zatrzymał się w polu, opodal stacyjki, pasażerowie towarówek powychodzili, by się trochę przewietrzyć. Do matki zbliżyła się tamtejsza mieszkanka, gospodyni wiejska o twarzy zatroskanej, poważnej.

- Proszę pani, a czy te bolszewiki będą iść przez Polskę? - zapytała tonem ściszym, jakby się bała złe wywołać.

W trzy lata później, gdy w związku z oczekiwanym, uważanym za pewny niemal, przewrotem komunistycznym w Niemczech Armia Czerwona szykowała się do marszu na zachód, ukazał się w prasie sowieckiej artykuł Lwa Trockiego, zatytułowany „Pomost czy bariera?” Wspomniana przed chwilą postawa wieśniaczki przemawia na korzyść tezy, że nie tylko Józef Piłsudski nie chciał uczynić z Polski pomostu.

Przyjechaliśmy do kraju, który już zdążył to i owo wpisać do swej najnowszej historii. Nie słuchając ultraradykalnych apeli, ani zachęt do bojkotu, w styczniu 1919 roku poszedł tłumnie do wyborów, będących plebiscytem w sprawie niepodległości. Pragnął mieć własną, z wolnych wyborów pochodzącą władzę państwową w Warszawie. Wysokość frekwencji wyborczej zaskoczyła wszystkich, przy czym wszędzie po wsiach była ona wyższa niż w miastach - nie wyłączając samej stolicy. Pomimo zacofania i nędzy ówczesnej Polski, dystans pomiędzy jej ludem, a warstwami oświeconymi nie był beznadziejnie przepastny, o czym zaświadczyły fakty. Program ustroju parlamentarnego okazał się zrozumiały dla mas.

Drobna, migawkowa scenka pod Białymstokiem urasta w moich oczach do miary ważnego sprawdzianu. Wieśniaczka zwróciła się ze swym zapytaniem do ludzi jadących ze wschodu, więc już doświadczonych, takich którzy mogli coś wiedzieć, a w głosie jej wyraźnie brzmiała nuta trwogi. Wiadomości wyprzedziły nas znacznie, charakterystyka zjawiska dziejowego zwanego bolszewizmem zdążyła się już uformować, lecz ludzie zwracali się z zapytaniami do takich, co sami je poznali.

Najbliższej jesieni rówieśnicy i starsi koledzy gimnazjalni, nawet profesorowie, nagabywali często o relacje na temat czerezwyczałki, wojny domowej i wszelkich w ogóle przygód.

To wszystko pozwoliło mi z czasem określić rolę dziejową odegraną przez setki tysięcy ludzi, którzy w pośpiechu opuścili wschód, niechając całego dorobku, by schronić się w granice dalekiej wówczas od dobrobytu Polski. Myśmy się stali ambasadorami lęku.

Jakże często autorzy uczonych wywodów na temat historii zapominają raczą, że do głównych kształtujących ją czynników zalicza się zwyczajny strach, uczucie wiekuiste, najbardziej pierwotne. To ono przecież zmusiło ongi pacyfistyczną aż do abnegacji szlachtę Polski i Litwy do wielkiego wysiłku wojennego oraz do ... triumfu wypraw Stefana I. To ono również sprawiło, że znakomita większość Polaków z uznaniem, zrozumieniem i wdzięcznością słuchała oświadczeń ministrów, że pragną żyć ze Związkiem Radzieckim w pokoju, lecz na dystans.

Alfred Fabre - Luce powiada, że terror rewolucji francuskiej „opóźnił w praktyce postęp wolności o półwiecze”. Terror rewolucji rosyjskiej, siejąc strach powszechny, dostarczył pożywki najgorszym formom samozachowawczym kapitalizmu, hitleryzmowi na przykład. Polska wyszła obronną ręką, to znaczy, że zachowała twarz, jeśli nie doszło w niej do takich wynaturzeń jak w Niemczech, aczkolwiek ona właśnie, granicząc, mogła być bać się najbardziej.

Wolno mi tutaj posłużyć się nie lada wsparciem, powołać na świadka literaturę polską owego okresu. W kwestiach zjawisk natury moralnej i psychicznej jej głos przedstawia wartość najwyższego rzędu.

Dawno już temu powiedziano, że od chwili zgonu Stefana Żeromskiego literatura w Polsce przestała zaliczać się do spraw wielkich. Prawda czy. nie, wcale nie o to chodzi. Twierdzenie powyższe kwalifikuje za to trafnie moralną rangę pisarza, który w reportażu „na probostwie w Wyszkowie”, wspomniawszy dawne swe znajomości z Julianem Marchlewskim i Feliksem Kohnem, wypowiedział się również o trzecim członku niedosłego rządu polskiego z ramienia Moskwy: „Trzeciego - Feliksa Dzierżyńskiego - mam szczęście nie znać osobiście. Nigdy nie byłem w promieniu jego jurysdykcji i cieszę się świadomością, iż nigdy nie widziałem ani jego twarzy, ani nie dotykałem ręki krwią obmazanej po łokieć, ani słyszałem wyrazów, z jego ust wychodzących. Wyznaję, iż to imię i nazwisko, wymówione w mej obecności, sprawia na mnie obmierzłe wrażenie duszności i jakby torsji”.

Po roku 1945 ten reportaż, wraz z całą w ogóle publicystyką Stefana Żeromskiego, skazany został na zapomnienie. Można oczywiście odmówić wznowień, nie sposób zmienić

motywów, które naprawdę wpływały na rzeczywiste dzieje narodu. (Dodajmy nawiasem, że okrucieństwo Dzierżyńskiego przerażało nie tylko liberałów, lecz samą także Różę Luksemburg).

Stefan Żeromski, Zofia Kossak, Andrzej Strug, Eugeniusz Małaczewski, Edward Ligocki...

Literatury tej nie wolno oszukańczo równać z propagandą polityczną, ustawiać jej w kategoriach przesądów klasowych, lub - jak to czynią współczesne encyklopedie chociażby - mętnie prawić o „antyradzieckości”. Okrucieństwa czerwonych otrzymują w tych książkach tę samą ocenę, co bestialstwa białych. W jednym z opowiadań Ligockiego oficer wojsk Kołczaka, skazany przez bolszewików na zamrożenie żywcem i przypadkiem ocalony przez swoich, mści się: buduje w stepie syberyjskim linię telefoniczną, której drut podtrzymują ręce trupów, zastrzelonych tuż na miejscu i odpowiednio zamrożonych jeńców.

Czystości moralnej Andrzeja Struga nie zakwestionował żaden z jego wrogów politycznych. Powieść „Mogła nieznanego żołnierza” powstała w roku 1921, więc pod świeżym wrażeniem. Oto jedna z przygód bohatera, rejterującego przed bolszewikami:

„Aliści ogarnęła go któregoś wieczoru niezmierna fala konnicy. Walała w rozpędzie jakowaś jazda drogami i polem ... W miasteczku Bobrowie wisiały gęsto na latarniach, na drzewach komisarskie grupy. Zerwane oznaki władzy, komisarskie gwiazdy, mieli starannie powbijane w czoła. Obrabowani mieszkańcy drżeli... Nie wiedziano, co myśleć o nagłym przewrocie, to jedno stwierdzono, że takich zbójów jeszcze tu nie było. Był to homeryczny, bohaterski rajd generała Mamontowa na Moskę - na Kreml”.

Powbijanych w czoła gwiazd wprawdzie nie widziałem, ale atmosferę tego urywka rozpoznałem. Jest iście taraszczańska.

Podczas ostatniego zebrania Klubu Krzywego Koła, w roku 1962, gdy była mowa o lekceważeniu przez ustrój komunistyczny uczuć humanistycznych, profesor Adam Schaff powiedział malkontentom mniej więcej dosłownie: kraty kujecie, boście się od nas nauczyli humanizmu.

Wydaje mi się, że Stefan Żeromski wcześniej nieco niż profesor dr Adam Schaff został korepetytorem myślącego odłamu Polaków.

21 września 1924 roku Żeromski skończył pisać „Przedwiośnie”. Jest w tej książce scena poświęcona uchodźcom ze wschodu, tym mianowicie, co przybyli do kraju legalnie, na mocy umowy międzypaństwowej, więc wolni od obawy że byle patrol doścignie ich na szosie i załatwi raz na zawsze. Oto główny fragment tej sceny:

„Ludzie zgarnęli, co tam jeszcze taszczyli ze sobą, ponieśli na ręku dzieci, powlekli starych i chorych. Pędzili z wrzaskiem i szlochaniem, popychając się, wyprzedzając jedni drugich - jakimś rozmokłym gościńcem ku domom, widniejącym tuż obok. Biegąc coraz szybciej, jakby ich kto gonił, modląc się, płacząc i śmiejąc się zarazem, doskoczyli do sztachet, za którymi stało kilku żołnierzy w szarych podniszczonych rogatych czapkach. Kobiety stare i słabe chwytaly się dygocącymi palcami za balasy owych sztachet, mężczyźni zmordowani drogą całowali słupy w tym płocie. Wszyscy popychali się i bili, torując sobie i swoim przejście w tłumie, kotłującym się, jak zbiorowisko topielców, dosięgających wybrzeża”.

Zmienili w chwałkę, co mogło być chwałą

Czesław Miłosz

IV

U schyłku września 1928 roku nie bez tremy jechałem do miasta, w którym miałem rozpocząć studia wyższe. Świadection maturalne, otrzymane o kilka miesięcy wcześniej w gimnazjum grodzieńskim, już się znajdowało w kancelarii Wydziału Humanistycznego najstarszego Uniwersytetu w Europie Wschodniej.

Ktoś rzeczy nieświadom, ocknąwszy się o świcie, gdy pociąg dociera dopiero od zachodu do Wzgórz Ponarskich, nie rozpoznałby pewnie połączenia kontynentu. Od rozległej, urozmaiconej, usianej topolami doliny Waki wcale nie zalatuje orientem. Ani tutaj płaszczyzny, ani jej monotonii i smętku. Takież pejzaż nie dziwiłby wcale nad rzeką Vienne, czyli tam, gdzie wiodąca od Orleanu szosa osiąga skraj królewskiego Poitou, kraju nachylonego ku Atlantykowi.

Nie miałem naturalnie wówczas pojęcia o tym, jak wyglądają poszczególne regiony ojczyzny Kapetyngów, ale pewien jej dobry znawca, mianowicie urodzony w Kijowie Ilja Grigoriewicz Erenburg, śmiało twierdzi, że Wilno wraz z jego gotyckimi i barokowymi kościołami żywo przypomina stare miasta francuskie.

Główny dziedziniec uniwersytetu nie odzyskał jeszcze swego historycznego wyglądu, kiedy przyznano mu na jego obszarze prawa obywatelskie. Rosło sobie na nim kilka dużych drzew, rozwiniętych pięknie, dających w lecie miły cień, lecz nader skutecznie przysłaniających architektoniczną świetność podwórca, który z trzech stron obramiają arkadowe ściany uczelni, czwartą zaś stanowi monumentalny fronton kościoła św. Jana, ufundowanego przez Władysława Jagiełłę. Pomiędzy narożnikiem świątyni a dzwonnica mieściła się brama Akademii.

W rok później, na trzystopięćdziesięciolecie Uniwersytetu, drzewa zostały usunięte, dziedziniec Piotra Skargi odzyskał ten wygląd, jaki miał, zanim z woli cesarza Mikołaja I nastąpiła degradacja otaczających go gmachów, przeznaczonych z czasem na prowincjonalne gimnazjum rosyjskie. Szybko i łatwo uporano się ze zbyteczną roślinnością. Innych, o wiele mniej sympatycznych nabytków z doby upadku i nędzy nie udało się wykorzystać nigdy. Niewielu zresztą było chętnych do tej pracy.

Studiowałem w Wilnie historię. Rzeczownik ten oraz pochodny od niego przymiotnik powtarzano oczywiście od święta i na codzień, odmieniano na wszelkie przypadki, pisano

nawet z dużej litery. Mimo to - nie zgrzeszy pewnie przeciwko prawdzie smutna teza, że ludzie XX wieku okazali się niezdolni do podźwignięcia spadku po rzeczywistej historii, tej urwanej w roku 1795 przez ostateczny rozbiór Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Nie rozkład wewnętrzny, nie rozłam żaden, lecz przemoc wojskowa zniszczyła twór państwowy, którego interesującą, aczkolwiek mało znaną cechą było to, że Polska i Litwa miały odrębne, każda dla siebie, „wady” czyli sejmy żydowskie. Wiedza o istnieniu granicy celnej, odrębnych praw i urzędów jest nieco bardziej rozpowszechniona.

Na samym początku nowego rozdziału odrodzonej - jak się wydawało - historii jakby odezwały się echa dawnej wielkości. Józef Piłsudski nie zwlekał z aktem wskrzeszenia uniwersytetu. Zaproszeni notable musieli podczas całej uroczystości stać, ponieważ brakowało krzesel. Mało ostatecznie dotkliwy mankament w mieście, którym wojna zaopiekowała się tak czule, że śmiertelność wynosiła w nim dziewięćdziesiąt na tysiąc.

22 kwietnia 1919 roku, czyli w trzy dni po zdobyciu Wilna, ogłosił Piłsudski odezwę „Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego”, w której stwierdzał, że „raz wreszcie na tej ziemi jakby przez Boga zapomnianej musi zapanować swoboda i prawo wolnego, niczem nieskrępowanego wypowiedania się o dążeniach i potrzebach”.

Okazało się, że „dążenia i potrzeby” głównych zamieszkujących tamte strony grup narodowościowych były wprawdzie niezgodne, lecz za to jednakowe: każda z nich marzyła o podporządkowaniu sobie wszystkich pozostałych.

20 lutego 1922 roku Sejm Orzekający powziął uroczystą „Uchwałę w przedmiocie przynależności państwowej Ziemi Wileńskiej”. Sejm ten powołany został głosami ludności przede wszystkim polskiej, liczbowo przeważającej w mieście i jego okręgu. Wybory zostały zbojkotowane nie tylko przez nielicznych Litwinów, lecz i przez większość Żydów, których było wtedy w Wilnie do czterdziestu procent.

„Miłe miasto” odwróciło się plecami od federacyjnych pomysłów swego wybitnego wychowanka, zlikwidowało twór polityczny, zwany Litwą Środkową. Zażądało bezwarunkowego przyłączenia do Polski, czyli dla siebie samego rangi siedziby województwa, więc na przykład Kielc. W oryginalny sposób zademonstrowało wierność wobec własnej historii, która poucza, że podczas sporów o ostateczną unię w wieku XVI kładziono wyraźny warunek, że Wilno ma być równe Kiakowowi, Troki - Poznaniowi. (O Warszawie - wcale jej nie ubliżając - nie mówiło się wtedy zbyt poważnie).

W miesiąc niespełna po tej uchwale spisano w Wilnie akt objęcia władzy (jak się miało okazać - na lat siedemnaście) przez rząd polski. Widnieje na' dokumencie skrócony akt

kapitulacji: podpis Józefa Piłsudskiego. Generał Lucjan Żeligowski - widocznie z emocji - ozdobił swój autograf okrągłym kleksem.

Wiem dobrze, nie trzeba mi przypominać, że nacjonalizm litewski był jeszcze bardziej agresywny i przyczepny od polskiego, a przy tym jakiś dziecinny, która to cecha u osób dorosłych jest nieznośna. W roku 1941 trzeba to wyznać - z tajonym westchnieniem ulgi przywitano w Wilnie rozporządzenie hitlerowskiego Gebietskomisariatu nakazujące pisać nazwiska nielitewskie według metryki urodzenia i dokumentów rodziców, to znaczy bez rozmaitych przymusowych „as”, „us”, „aite” i „ienie” w zakończeniu. Francuzów nie razią jakoś Polacy, opiewający swe przeżycia w Paryżu, a nie w Parisie. To tylko w przybałtyckich krainach ustawodawcy odmawiają innym językom świata prawa do posiadania własnych nazw geograficznych, kazali i nadal każą pisać Wilnius, Vilniusa, Wilniusowi... Wszystko to dzieje się i działo zgodnie ze sformułowaną przez Mariana Zdziechowskiego zasadą, że pretensje nacjonalistyczne tym są większe, im zasługi dla kultury mniejsze.

Tezę profesora powinno się nie tylko głosić, lecz i odwracać, bo taka niewątpliwie była intencja jej twórcy.

Uniwersytet, którego byłem uczniem, założył człowiek naprawdę dla Litwy zasłużony, Stefan I, król polski powołany na tron głosami polskimi i ukraińskimi. Pierwszym rektorem Akademii był intelektualista z Grójca pod Warszawą rodem. Uczelnia szczególnie rozkwitała w początkach XIX stulecia, kiedy katedry profesorskie objęły w niej największe znakomitości z Polski - bracia Śniadeccy z wielkopolskiego Żnina, Joachim Lelewel z Warszawy.

Mam niezaprzeczalne prawo zajmować się liczeniem grzechów nacjonalizmu polskiego przede wszystkim, a to dlatego właśnie, że Polacy byli w tamtej połaci kontynentu dziedzicami najstarszej kultury, pionierami Europy. Jeśli inne narodowości uległy obłudom, to polska dopuściła się również zdrady, zaparła się własnego dorobku. Na pocieszenie to jedno powiedzieć mi wolno, że marzenia o Wielkim Księstwie Litewskim, czyli o państwie wielu równouprawnionych narodowości, wegetowały w głowach nielicznej grupy miejscowej inteligencji polskiej. Litewska słuchać o tak wstecznym programie nie chciała.

- W istniejących warunkach, kiedy w historycznej stolicy Litwy większość stanowią Polacy, a po nich idą Żydzi, można sobie wyobrazić tylko jedno rozwiązanie: Wilno powinno być wolnym miastem uniwersyteckim - powiedział przy mnie kiedyś kolega, Białorusin. Pomysł nie oburzył mnie jakoś, wydał mi się nawet interesujący. Na korytarzach uniwersyteckich studenci Litwini ostentacyjnie i z natężeniem strun głosowych rozmawiali pomiędzy sobą po litewsku, nie prowokując tym bójek ani objawów wrogości. Czemuż ten sam język nie mógłby rozbrzmiewać z niektórych katedr?

Dzisiejsza mapa polityczna Europy wyglądałaby bez wątpienia akurat tak samo jak wygląda, gdyby nie było ustawy Sejmu Orzekającego, gdyby się powiodły projekty federacji. Rozstrzygnęła siła fizyczna, której zupełnie brakowało naradom dawnej Rzeczypospolitej, nawet razem wziętym. Ale gorczy byłoby mniej, nie można by było twierdzić, że Rosjanie zaprowadzili swój porządek, ponieważ n i k t z autochtonów nie stanął na wysokości zadania.

Ostatnio, już w roku 1970, rozeszły się wiadomości o pewnej książce czy broszurze UNESCO, poświęconej uniwersytetowi wileńskiemu. Autorem jej jest uczony radziecki. Wszelkie zasługi polskie dla powstania i rozwoju tej uczelni zostały przemilczane w sposób staranny. Na fali starych oskarżeń o zaborczość takie retusze płyną gładko, sprostowań nikt słuchać nie chce. Wiadomo powszechnie, że tylko imperializm wielkich mocarstw może się ogłaszać za postępowy. Słabi powinni o tej prawdzie pilnie pamiętać.

Rzeczpospolita Obojga Narodów, federacja równouprawnionych Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litewskiego, przestała istnieć w roku 1795. Wolność powróciła w roku 1918. Pomędzy tymi datami rozmaite rzeczy dokonały się w Europie. Na skrajnym jej zachodzie rozwinęła działalność obfitująca w świetnych pisarzy Acion Francaise, nieco bliżej prezentowanych tu stron powstał Związek Wszechniemiecki, dalej na wschód pracował i nauczał Konstanty Pobiedonoscew. Ostatecznie trudno się dziwić, że i pomniejsze narodki uległy pankontynentalnej infekcji nacjonalizmu. Dopiero przebieg i wynik drugiej wojny światowej przekonały (nie wszystkich jednak), iż stanowi on zgubny luksus nawet dla Niemiec, bo i one okazały się zbyt słabe.

Wdałem się w rozważania, które wymagają od autora określenia jego dzisiejszych poglądów. Wszelkie próby odbierania Litwion Wilna, Ukraińcom zaś Lwowa stanowiłyby, moim zdaniem, polskie samobójstwo narodowe. Wolno mi powtórzyć za Stanisławem Mackiewiczem: „Urodziłem się jako Polak, szlachcic litewski, i miłości Wilna nikt nie wyrwie z mego serca”. Ale to jest moja prywatna, niepolityczna sprawa, sentyment starego człowieka.

Nie mogę się pochwalić, że pojmo wałem całą złożoność spraw wileńskich. Snułem się po mieście przepelnionym historycznymi dowodami polskości nie zdając sobie sprawy ze zmiany charakteru samego tego słowa. Dopiero od kilku lat, po raz pierwszy w całych swych dziejach, Wilno administracyjnie podlegało stolicy Polski. Dawniej sprzężone z nią było politycznie, a to zupełnie co innego znaczy. Różnica mniej więcej taka, jaka zachodzi między podwładnym a sjamskim bratem.

Pojmować było tym trudniej może, iż konflikty występowały w złagodzonej formie, dalekie od tych ostrości noży, jakie miało się dopiero zobaczyć. Wstąpiłem na uniwersytet

zanim się rozpoczął wielki kryzys gospodarczy, skończyłem studia wcześniej niż dały o sobie znać jego polityczne skutki. Nikomu jeszcze do głowy nie przychodziło spychanie Żydów na osobne ławki w audytoriach, w seminariach naszego wydziału. Litwini staczali zajadłe lecz swobodne spory z Polakami. Jeszcze obowiązywały resztki stylu XIX stulecia, słowo „liberał” nie zaliczało się do obelg.

Siedzieliśmy raz całą gromadą na „brzegu jeziora Gałwe w Trokach. Po południu Miały się odbyć regaty wioślarskie, za wodą gmach przystani błyszczał gałą flagową, z najwyższego masztu powiewał biało - czerwony sztandar Polski.

- Kiedyż ja tu nareszcie zobaczę chorągiew litewską! - westchnął głośno Franciszek Anczewiczus, Litwin, intelektualista i działacz, kompan z Akademickiego Związku Sportowego. Ktoś się zaśmiał, skandalu nie zrobił, z donosem nie poleciał nikt, aczkolwiek nie brakowało wśród nas ludzi znanych z przekonań „narodowych”. Konflikty przebiegały wtedy au relanti, pod tłumikiem koleżeństwa, przyzwoitości. Kneblowanie ust wciąż jeszcze uchodziło za czynność mało elegancką.

Dwubarwny sztandar polski zniknął z Trok i z Wilna, lecz i trójkolorowy litewski nie zwisa tam na żadnej wieży. Nie mogę się również dopatrzeć jego podobizny w najświeższym wydaniu amerykańskiego „The World Almanac...” Zdaje się, że tej właśnie okoliczności nie przewidzieli ci Litwini, którym niechęć do Polski przysłańiała świat. Wizerunek pięknej Pogoni Litewskiej najłatwiej mi dziś znaleźć w moich własnych książkach, w „Polsce Jagiellonów”, w „Rzeczypospolitej Obojga Narodów”, gdzie się ów herb znalazł zgodnie z wolą autora i wskutek jego starań. Od dwóch lat figuruję na wydawniczym indeksie, niczego mi się nie drukuje, ale sto kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy zdążyło pójść między ludzi, czego już nikt nie cofnie. Niechże przypominają.

Nie zdając sobie w pełni sprawy z sensu narodowościowych powikłań, tym mniej ze złej zapowiedzi, jaka się w nich mieściła, dość wcześnie zwróciłem uwagę na inną właściwość atmosfery wileńskiej.

Sława Wilna wynikała z nowatorstwa. Jego gotycka, renesansowa, barokowa architektura to zjawisko w Europie Wschodniej nowe, świeże, pionierskie, objaw prądów zupełnie poprzednio tam nieznanych, boż przecież styl romański nigdy nie przekroczył dorzecza Wisły, tulił się do jej prawego brzegu. Pogańscy władcy Litwy zdobywali się na tak awangardowy stosunek do wschodniego chrześcijaństwa, że w porównaniu z nimi francuscy z pochodzenia królowie Węgier wyglądają na ponurych barbarzyńców. Renesansowa Europa Zachodnia z zawiścią przyglądała się harmonijnemu współżyciu katolików z prawosławnymi w Rzeczypospolitej, więc przede wszystkim na Litwie. Nie bez racji zazdrościła wydanego w

roku 1563 edyktu Zygmunta Augusta o równouprawnieniu, skoro w trzy lata później w świątłych, puszcach przepastnych pozbawionych Niderlandach poszło z dymem kilka tysięcy kościołów wraz z nagromadzonymi w nich dziełami sztuki, które to zdarzenie mniej jest wprawdzie głośnie od Nocy św. Bartłomieja, lecz też zasługuje na wzmiankę. Pierwszy uniwersytet na ziemiach położonych między Wisłą a Uralem, pierwsze w dziejach całego kontynentu, w równej spółce z Krakowem stworzone państwo wielu narodów, wiar i kultur!

Trudno mi zrozumieć, dlaczego pewien paryski zabytek mało jest u nas znany i podobizna jego nie warto nawet szukać w nadwiślańskich czy w nadniemeńskich wydawnictwach. Myślę o nagrobku Jana Kazimierza w kościele St Germain Des - Pres. Waza, rodowe, szwedzkie miano króla zostało tam wyryte takimi samymi literami jak cały tekst napisu, za to litewsko - polskie nazwisko Jagiellonów, jego od dawna wygasłych przodków po kądzieli, o połowę większymi. Tak zupełnie, jakby ono właśnie stanowiło jedyny tytuł nieboszczyka do sławy. Szanowano widać na szerokim świecie pamięć dynastii, której ostatni przedstawiciel zgromadził w swej wileńskiej bibliotece zaopatrzone w autorskie dedykacje dzieła większości europejskich reformatorów, burzycieli, nowinkarzy. W dwadzieścia przeszło lat po jego zgonie znalazł się wśród francuskich wolnomyslicieli taki, co poświęcił swój utwór „senatowi i ludowi” miasta Wilna.

I jeszcze jedno, ostatnie już w dziejach miasta, lecz dziś najlepiej znane, najgłośniejsze nowatorstwo: rewolucja literacka w zaraniu XIX stulecia, eksplozja wielkiej, początkowo jednak gorszącej znakomite nawet mózgi poezji.

W stuleciu zaś XX uwolnieni spod kurateli carskich gubernatorów obywatele stolicy nowatorstwa zaczęli się popisywać tą odmianą konserwatyzmu, która zdecydowanie przekracza granice śmieszności.

Zastąpiłem w Wilnie zadawniony spór o pomnik sprawcy owej rewolucji, Adama Mickiewicza. Projekt Stanisława Szukalskiego już był pogrzebany, na prawym brzegu Wilii sterczała za to drewniana makieta, prezentująca koncepcję Zbigniewa Pronaszki. Malowane na szaro deski dość kiepsko odtwarzały to, co miało być wykonane w granicie, otoczenie - przesadziste gmachy artyleryjskich czy też saperskich koszar - nie należało do powabnych wtedy zwłaszcza, gdy na rozciągniętych poziomo sznurach suszyła się wokół bielizna wspomnianych wojowników. Makieta kazał postawić dowódca okręgu korpuśnego, generał Litwinowicz, który doszedł do wniosku, że należy karnie, po żołniersku, wykonać decyzję jury, a na terenie koszarowym był samowładny.

- Panie marszałku, jednak jeżeli przymrużyć lewe oko to ten pomnik dobrze wygląda.

- Tak, tak. A najlepiej kiedy całkiem zamknąć oczy - miał odpowiedzieć generałowi przybyły do Wilna Piłsudski.

Tę anegdotkę i wiele innych z lubością opowiadano w mieście. Nie przepuściła okazji i Szopka Akademicka po pamiętnej powodzi 1931 roku, kiedy to fala sięgnęła olbrzymowi do kolana.

Ostał się nad Wilią Mickiewicz Pronaszki.

Nie zmocui jego ni ogień, ni woda,

Piorun jego nie tknie, ta przeklęta kłoda.

Śmiem jednak twierdzić, że „kłoda” była projektem świetnym. Przekonanie to wyznawałem od początku, dałem mu też wyraz w kilkanaście lat później, w „Tygodniku Powszechnym”, bezskutecznie, rzecz jasna, proponując ustawienie pomnika na Błoniach krakowskich. (Artykułik miał się kończyć następującym zdaniem: „Pomyślmy też, jak uszlachetniająco oddziała na Krakauerów możność oglądania

działa, na które patrzyły ongi oczy Wilnian”. Zostało to bezapelacyjnie skreślone, ksiądz Jan Piwowarczyk i Jerzy Turowicz miotali na mnie słowa bardzo zelżywe).

Na krótko przed wybuchem wojny spróchniałą makietę usunięto. Od dłuższego czasu na trawnikach Placu Orzeszkowej leżały wtedy obciosane kamienie przeznaczone na budowę innego pomnika. Kolejny sąd konkursowy uwieńczył bowiem trzeci już projekt, tym razem Henryka Kuny. Był też nowoczesny, w formie, lecz utrzymany w konwencji o wiele bardziej tradycjonalistycznej niż poprzednie. Pośrodku rozszerzonej ulicy Mickiewicza, na pokrytym płaskorzeźbami cokole o kształtach Światowida stać miał wieszcz w stroju pielgrzymim, spod przyłożonej do czoła dłoni spoglądający na fronton odległej o paręset kroków katedry. Rzeźba winna była dzięki temu włączyć się organicznie w rytm zabytków, stworzyć w mieście nową oś plastyczną.

Redagowane przez Stanisława Mackiewicza „Słowo” początkowo popierało projekt Kuny, niemilosiernie wyszydzało oponentów. Potem, gdy ulicę już poszerzono i zwieziono materiał, gazeta nagle zmieniła front, odwołała się do opinii publicznej, zmobilizowała nagonkę.

Gdyby papież urzędzali plebiscyty w sprawach sztuki, Rzym wyglądałby jak Mejszagola.

Ulica Mickiewicza w Wilnie (która jesienią 1939 roku przechrzczona została na Gedimino Gatve, wkrótce potem otrzymała zaszczytne miano Alei Stalina, a jak się dziś zowie - nie wiem) obrzeżona była brzydkimi kamienicami z fin de siecle'u. Zbudowano przy niej tylko dwa nowoczesne, zajadle krytykowane gmachy. Jeden należał do Pocztowej Kasy Oszczędności, drugi do ubezpieczalni społecznej. Duży pomnik skróciłby mało ostatecznie ciekawą perspektywę, przysłoniłby patrzącym od strony Zwierzyńca katedrę i stojącą na jej szczycie figurę św. Heleny z wysokim krzyżem w ręku.

„Cóż będzie, jeśli krzyż nad Wilnem świecić przestanie?” - patetycznie zapytywał w liście do „Słowa” pewien znany restaurator wileński.

Krzyż, o którym mowa, znikł rzeczywiście, bo go władze sowieckie zdjęły wraz z figurami z katedry, obróconej na muzeum. Znikły również secesyjne, kredowo białe, piękne Trzy Krzyże Wiwulskiego, istotnie świecące nad miastem z góry ich imienia. Pomnika Mickiewicza także w Wilnie nie ma. Tuż obok miejsca, na którym miał stanąć, na dawnym Placu Orzeszkowej, wznosi się monument marszałka Czernichowskiego. Nieco dalej, na Łukiszkach, widnieje kamienny Lenin. Czasu na zaprojektowanie, decyzję i budowę zużyto niewiele, o plebiscytach nie słyszałem.

Czytało się w „Słowie”, że pomnikowy Mickiewicz musi być ten, „którego znamy i kochamy”, to znaczy koniecznie podobny do „wspartego na Judahu skale” młodzieńca z Wańkownicowskiego portretu. Obowiązkowo zatem coś omszałego, odległego od nowoczesnych farmazonstw. Słyszało się też propozycje całkiem konkretne. Ich autorzy domagali się skopiowania jednej z tych skulptur, co oszpecają wprawdzie Kraków i Warszawę, lecz są surdutowe, pokrewne familijnym fotografiom.

Słaba stąd pociecha, że Paryż i Londyn usiane są takimi właśnie pomniczkami, które bardzo by się podobały wielu wileńskim znawcom. W grę wchodziły sprawy zawile, obce szczęśliwym krajom.

Niemcy nie zajmowali się w Ostlandzie burzeniem pomników, nie tknęli popiersia Moniuszki, ani tablicy z pałacu rządowego głoszącej: „Tu mieszkał Napoleon”. Rosyjscy komuniści nie ruszyliby Mickiewicza i nikomu by go ruszyć nie dali, ale nie ma strachu, stałby i przypominał nie tylko o sobie. Henryk Kuma to nazwisko, którego w żaden sposób odpolszczyć nie można, bo się na szczęście kończy samogłoską (akurat tak samo jak Pronaszko).

Nie żałuję tego, że moje pierwsze wystąpienie publiczne było drobnym fragmentem oporu przeciwko szerokiej ofensywie konserwatyzmu w Wilnie.

Jesienią 1928 roku objął tam teatry miejskie Aleksander Zelwerowicz, który przywiózł z Warszawy zespół aktorów bardzo młodych, debiutantów przeważnie, swych własnych uczniów. Niezła to była „trupa”, jak się wówczas niekiedy jeszcze mawiało: Irena Eichlerówna, Zofia Małynicz, Jan Ciecierski, Stanisław Jaśkiewicz, Jan Kremczar, Jerzy Pichelski, Marian Wyrzykowski, Zbigniew Ziemiński...

Repertuar wzbudzał pomruki. W „Grzesznicy z Pago - Pago” Maughama niezbyt budująco wygląda moralne oblicze pastora, heretyka wprawdzie, zawsze jednak duchownego. „Błędny bokser” Smólskiego i „Miłość czy pięść” Dunin - Markiewicza i Fijałkowskiego obrażały piękne dusze brutalnymi tytułami, w „Turandot” Gozziego Eichlerówna występowała w stroju gorszącym (co było tym bardziej niedopuszczalne, że parę miesięcy wcześniej, na boisku sportowym, sama przybyła z Warszawy pani ministrowa Konopacka - Matuszewska nie wstydziła się prezentować Wilnu nóg gołych po biodra).

Wybuchł niebywały skandal, kiedy teatr na Pohulance wystawił „Przestępców” Bruecknera, sztukę wcale ostro krytykującą rutynę sędziowską oraz faktyczne przywileje, jakie w obliczu trybunałów służą możnym i kombinatorom. Wojewoda uległ naciskom ze strony części opinii publicznej i zakazał przedstawień.

Świadczenia na temat przeszłości łatwo ulegają zniekształceniom, szczególnie niebezpieczeństwo stwarza pokusa mimowolnego dopasowania się do sztampy. Jan Kreczmar, bezpośredni uczestnik wydarzeń, napisał w „Notatniku aktora”: Prasa prawicowa i konserwatywna zawyla wielkim głosem”. Nie takie to było proste! Natarcie na teatr (i województwo) prowadził „Kurier Wileński”, pismo prorządowe, lecz podkreślające swój demokratyzm i postępowość. Wiadomo przecież, że szerokie kręgi „sanacji” przejawiały to, co Stefan Kisielewski nazwał później celnie snobizmem - świeżo właśnie wstawiona atakiem prasowym na bezwstydną p. ministrową - literatka, chełpiąca się przy każdej okazji faktem posiadania paru listów Stefana Żeromskiego, wpływowa w miejscowych kołach oficjalnych, mawiająca czasem władczo: „moje Wilno”.

Przeciwko konfiskacie protestowało „Słowo” Cata - Mackiewicz, gazeta nie tylko konserwatywna, ale i monarchistyczna. Działo się to zgodnie z jawnie ogłoszonym przez redaktora naczelnego programem: „W sprawach sztuki - anarchia!” Przy innych okazjach redakcja nie cofała się przed mobilizowaniem Ciemnogrodu, tym razem jednak było inaczej.

Nie pamiętam już kto z Akademickiego Klubu Włóczęgów wpadł na pomysł wtrącenia się do sporu. Posłaliśmy do „Słowa” skwapliwie tam wydrukowany list o niedwuznacznej treści. Potępiliśmy administrację państwową, która zdjęła z afisza sztukę o społecznym i politycznym ostrzu. Każdy z kilkunastu podpisów zaopatrzony był w adres swego autora, aby tyrańska policja wiedziała, gdzie szukać winowajcy. Widniały wśród tych podpisów głośne później nazwiska, autografy Teodora Bujanickiego, Czesława Miłosza, Stefana Jędrzychowskiego.

Policja nie niepokoiła nas wcale, dokładnie tak samo postąpiły władze uniwersyteckie, aczkolwiek przeciwko „Przestępcom” publicznie występowali niektórzy profesorowie. Jeden tylko Aleksander Zelwerowicz wyciągnął konsekwencje służbowe, przysłał nam zaproszenie na zamknięte przedstawienie sztuki, po którym odbyła się do rana trwająca, ostra dyskusja.

Tak więc moja działalność publiczna rozpoczęła się od protestu przeciwko administracyjnemu zdjęciu ze sceny „Przestępców” Bruecknera. Oryginalnie to wypadnie, jeśli jej finałem okaże się złożony przed dwoma laty protest przeciwko takiemuż losowi „Dziadów” Mickiewicza.

Dowiedziałem się wczoraj, że w przygotowywanym do druku w Warszawie leksykonie zabroniono wymieniać Stefana Kisielewskiego oraz dwóch sygnatariuszy owego listu sprzed lat czterdziestu: Czesława Miłosza i mnie. Już od dawna żadna wiadomość nie sprawiła mi takiej satysfakcji. Oby się ziściła!

Wśród person politycznie patronujących takim decyzjom widnieje jeszcze jeden ci - devant Kolega - sygnatariusz: minister spraw zagranicznych Stefan Jędrychowski.

Mógłbym długo gawędzić o wileńskich retrogradach, których wcale nie raziły pretensjonalne secesyjne kamienice, nie wprawiało w rozpacz okropne, pseudogotyckie gmaszysko za Wilią, wzniesione jeszcze za cara przez lekarza, zbytnio poruszonego lekturą „Krzyżaków”, lecz których bardzo gniewał każdy domek choć odrobinę zarażony wpływami Le Corbusier. Temat do kpin niewyczerpany, rzecz w tym jednakże, że kpić się odechciewa. Postawa wileńskich „starożyłów” trochę za dotkliwie przypomina bowiem postępowanie sponiewieranego człowieka, który kurczy się, unika niekoniecznych poruszeń, bo doświadczenie nauczyło go bać się wszystkiego.

We wrześniu 1915 roku, opisując roztasowywanie się w Wilnie znakomicie zorganizowanej armii niemieckiej, Czesław Jankowski, skreślił poniższe wyznanie:

„A chwilami, gdy się patrzy - nie bez uczucia trwogi - na szybkie powstawanie dokoła owej nowej epoki, jakby na wyrastanie jej spod ziemi, ogarnia duszę dziwny jakiś - żal. Żal za najpodlejszą, najokropniejszą epoką w naszych dziejach narodowych! Tak!. - Tak do tego stopnia zżyliśmy się z tym, co było. Przywykło się! I mimo woli patrząc jak dzień wczorajszy znika, całkiem odruchowo, z uczuciem niewysłowionej jakiejś melancholii żegnamy ów wczorajszy dzień...”

Znikł wczorajszy dzień, a z nim razem zdjęte z cokołów starannie włożone do' wielkich skrzyń i wywiezione gdzieś na Wschód pomnikowe figury Katarzyny II i Murawiewa „Wieszatiela”. Pozostał „dziwny jakiś - żal”.

„Kochał Wielkiego Brata!” George Orwell przypomina się zdecydowanie i ochota do kpin mija.

Długo jeszcze po odejściu władz carskich katolickie duchowieństwo intonowało przed ołtarzami przepięknych kościołów wileńskich słowa urzędowej modlitwy: „Domine, salvum fac Imperatorem nostrum Nicolaurn...” To z przeczności, z lęku na wyrost. Rosjanie mogli przecież powrócić.

Przez pokolenia całe „na tej ziemi jakby przez Boga zapomnianej” samowładnie panował strach i ugniótł dusze ludzkie, dokonał jakichś tajemniczych, dziedziczących się widać zmian w molekułach mózgow czy w genach chromosomów. Kto sprzeciwiał się nowościom w architekturze i sztuce nawet, ten w gruncie rzeczy żądał, aby wszystko pozostało w takim stanie, w jakim było za Aleksandra III, zowiącego łaskawie mowę polską „językiem kucharek i zabraniającego używania litewskiej.

Zacofanie staczało zwycięskie batalie o pomniki Mickiewicza i o „Przestępców” w samo - licząc okrągło - stulecie zamknięcia w Wilnie „Wiadomości Brukowych”, organu „Towarzystwa Szubrawców”, którego prezesem był Jędrzej Śniadecki, Kiedy dokonano włamania do mieszkania pewnego dostojnika carskiego, „Wiadomości” pośpieszyły poinformować o tym czytającą publiczność: Wczoraj w naszym mieście pewien najprzebieglejszy złodziej tak był okradzionym, że w jedną noc wszystko utracił, cokolwiek przez lat dziesięć nieustanną kradzieżą zgromadził.

Pałka, bat i knut były wtedy oficjalnie uznawane za niezastąpione środki wychowawcze, używanie ich nakazywały kodeksy państwowe. I to „Wiadomości” prezentują warstwom oświeconym, uprzywilejowanym i herbowym artykuł z dokładnym opisem maszyny do bicia chłopów, pozwalającej niezawodnie wyregulować zarówno ilość jak i siłę uderzeń.

Cześć dla Jędrzeja Śniadeckiego zaliczała się u wszystkich dobrze myślących - do najświętszych obowiązków. Dla Jędrzeja, jak również dla Jana, którego odwaga cywilna i niezależność postępowania zaimponowała nie lada despocie, bo Napoleonowi I, samozwańczemu cesarzowi Francuzów. - Smutno wspominać małość, pompatycznie się drapującą w zetlałe płaszcze wielkości.

Jak wynika ze szczerego pamiętnika Czesława Jankowskiego, długo snuło się po Wilnie widmo białego lęku ze wschodu rodem. Niewiele trzeba było czasu, by z tej samej strony przywędrowała nowa postać strachu, ubarwiona tym razem na czerwono. Nie można wątpić, że ona właśnie przyszła z walną pomocą wszystkim zacofañcom, uskrzydlała ich duchy, zachęcała do rewidowania najbardziej niewinnych rękawów, a to w poszukiwaniu ukrytych noży. Ogłupiała struchlałych ludzi.

W po - Zelwerowiczowskim okresie teatr na Pohulance wystawił „Walący się dom” Morozowicz - Szczepkowskiej. Mało powabne rzeczy dzieją się w podupadłym dworze ziemiańskim i zniechęcony kuzyn - intelektualista postanawia odłączyć się od tego środowiska raz na zawsze. Parceluje więc swoją część ziemi na rzecz chłopów. Recenzję w „Słowie” napisał mistrz Walerian Charkiewicz, arcykatolik, niezawodny w węszeniu miazmatów. Ideologia autorki - wywodził - układa się wyraźnie w kształt gwiazdy czerwonej.

Chłopi kupują ziemię na własność... Gwiazda czerwona! O tak, typowa, o klasycznych wymiarach gwiazda czerwona!

Jak można było porywać się na takie pisanie, gdy już było powszechnie wiadomo o kolektywizacji w Sowietach i o wszystkich towarzyszących jej przyjemnościach? O rozmiarach chroniącego przed wygwizdaniem otępienia świadczy fakt z praktyki sądowej.

Podczas procesu grupy Dembińskiego prokurator twierdził, że nie ma różnicy pomiędzy komunizmem a europejskim socjalizmem. Równie dobrze można by głosić, że kościół katolicki nie różni się od wyznań protestanckich.

Na Zachodzie Europy wielu wybitnych nawet intelektualistów zamknie oczy na każdą zbrodnię, byleby stanął przed nią parawan lewicowości. U nas każde już nie tylko socjalistyczne, lecz liberalne działanie zaraz okrzykiwano za parawan właśnie, z za którego już, już a wyrzy suche oblicze Feliksa Dzierżyńskiego. Nie zaprzeczę prozaikowi, który zechce wyjaśnić częściowo te zjawiska przy pomocy miary długości, kilometra liniowego po prostu. Poważną rolę grała odległość od siedzib urzędów śledczych, założonych przez wspomnianego przed chwilą męża. Z Wilna było do nich całkiem blisko, w 1919 i 1920 roku miało ono możliwość bezpośredniego zapoznania się z ich działalnością.

Toż przecież socjalistyczna przeszłość Piłsudskiego była wyzyskiwana w grze politycznej przeciwko niemu, i to jak jeszcze! Dużo było szeptanej i wcale nawet głośno mówionej propagandy na temat jego rzekomego porozumienia z czerwonym Kremlen. O ileż więcej niż chwalby z tego powodu, że Katolicki Uniwersytet Lubelski mógł wcześniej zacząć pracę, bo na pierwszą prośbą miejscowego duchowieństwa marszałek kazał opróżnić gmachy, zajęte przez wojsko, a należące do kościoła. Gabriel Narutowicz zapłacił życiem i za to także, że głosowali za nim posłowie lewicy.

Czas okazał się jednak dobrym lekarstwem na alergię lękową, nie należy zapominać o historycznych dowodach tej prawdy. W początkach lat trzydziestych Melchior Wańkowicz pisze i ogłasza swą w życzliwym tonie utrzymaną „Opierzoną rewolucję” Pan z panów, potomek kresowych karmazynów stawia krzyżyk nad przeszłością. W tym samym czasie Mieczysław Lepecki ogłasza „Sybir bez przekleństw” i pozostaje na posadzie państwowej, wcale nie traci godności adiutanta marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego. - Pośpieszył się nieco pisarz, którego rok temu odprowadziliśmy na Powązki. Nie przewidział, że w całkiem niedalekiej przyszłości Sybir miał się zaludnić Polakami tak, jak nigdy za carów nie bywało. Ale powinniśmy być Lepackiemu wdzięczni za tę tragiczną pomyłkę, bo stanowi ona niezbity dowód dobrej woli. On naprawdę należał do tych, co chcieli zaprzestać klątw wzajemnych i mógł swobodnie głosić swe przekonania.

Przekłady z literatury radzieckiej ukazywały się często, i w Warszawie i w Wilnie tłumy jednak pchały się do kin, by zobaczyć „Burzę nad Azją”, „Bezprizornych”, „Turbine 50000”.

W atmosferę słabnącego uczulenia i rosnącego zainteresowania walnęły nagle wiadomości o procesach moskiewskich, wielkich czystkach, zsyłkach i wyrokach. Słabo to wypadnie, jeśli powiem, że ludzie przykucnęli z wrażenia. Strzegący wschodniej rubieży Korpus Ochrony Pogranicza wydał im się raptem tarczą Achillesa.

Pani Anna Kompelska - Jędrychowska, moja koleżanka uniwersytecka, pisze w swym pamiętniku (str.180) o decyzji czynnej w Wilnie grupy komunistycznej Lembińskiego: „Postanowiliśmy o tym nie dyskutować i nawet nie myśleć. Zamknęliśmy na dwa obroty klucza w zamku sprawę procesów w Moskwie”. Mniej więcej to samo mówi Jerzy Putrament. Trzeba mieć wyjątkowo dobrze trawiący żołądek, by zająć taką postawę i nieczułe nerwy, aby móc potem w ogóle patrzeć w lustro. Nie potrafiłem się zdobyć na tak olimpijski spokój, aczkolwiek nigdy nie uważałem Buchprina za mego nauczyciela sztuki pojmowania dziejów, ani Zinowiewa, Kamieniewa czy Tuchaczewskiego za towarzyszy - przywódców. Podobnie trudno mi obojętnie myśleć o losie powieszzonego na haku rzeźnickim feldmarszałka Erwina von Witzleben, chociaż pozostawaliśmy w akcentowanej nieprzyjaźni, służąc w armiach nawzajem sobie wrogich.

Bez specjalnego szacunku traktujemy dziś takich, co się zasłaniają twierdzeniem: nie wiedzieliśmy. Cóż wobec tego należy myśleć o tych, którzy nie chcieli się dowiadywać? Bo takie między innymi znaczenie ma decyzja: nie myśleć.

Usprawiedliwiają swą postawę pisze jeszcze pani Jędrychowska: jakakolwiek była prawda, istniała jedna jedyna rzeczywistość. Nawiasem mówiąc, nie jest dla mnie, zbyt jasne,

jaka różnica zachodzi pomiędzy prawdą a rzeczywistością. Świat był rozdarty na dwa obozy i nie było trzeciej strony barykady. Wypowiedzieć się przeciwko wyrokowi sądu radzieckiego oznaczało zająć pozycję prasy reakcyjnej, a w konsekwencji przejść na stronę faszyzmu, który był najgroźniejszym wrogiem narodów”.

Jeśli nie było trzeciej siły, czy „strony”, trudno przyjdzie pojąć, kto właściwie 1 września 1939 roku zaczął strzelać do przekraczających granicę żołnierzy ze znakiem swastyki na mundurach, i jakie to państwa wypowiedziały im wojnę w dwa dni później. Bo nie uczynił tego przecież inicjator procesów moskiewskich. Postąpił wręcz przeciwnie - uniemożliwił działanie wodzowi tych żołnierzy, pomógł mu.

Przez całe życie dwa razy tylko napotkałem ludzi, którym strach zupełnie sparaliżował mózgi. Pierwszy z nich napatoczył się 8 września 1939 roku na tego potrzaskanym bombami moście przez Liwiec, drugi w pięć lat później, 7 lipca, kiedy z jednej strony parły nas czołgi niemieckie, a z drugiej zbliżały się sowieckie. W obu wypadkach perswazje, apele do zdrowego rozsądku, odskakiwały jak groch od ściany. Nie można było na przykład wytłumaczyć jegomościowi, że nic mu nie pomoże pozbywanie się butów oficerskich i zrywanie naramienników, bo właśnie brak tych części umundurowania wyda się każdemu podejrzany, kamuflaż obudzi złość.

Rozrzedzone niejako objawy podobnej postawy napotykałem w tak zwanym „międzywojennym dwudziestoleciu” raczej często. Odechciewało się czasem dyskusowania o tym, że „Wiadomości Literackie” z Antonim Słonimskim na czele nie pozostają na żołdzie Stalina, albo że zaspakajanie żądań strajkujących w Polsce robotników nie tylko nie pomaga temu mężowi stanu, ale mu mocno przeszkadza.

Objawy, o których tu piszę, przemilcza się zarówno w opracowaniach pamiętnikarskich, jak w historycznych. Jedni czynią to z politycznego wyrachowania, inni dlatego zwyczajnie, że bardzo nieprzyjemnie przyznawać się do uczucia lęku. Co wszystko razem wzięte nie może zmienić przeżytej rzeczywistości.

Warto może nawet napisać specjalne studium pod tytułem „Dzieje strachu”. Nie ulega wątpliwości, że tak zwane międzywojenne „dwudziestolecie” przeżyło różne jego fazy. Odeszła już w przeszłość ta odmiana trwogi, którą przesyczone było pytanie chłopki spod Białegostoku: „Czy te bolszewiki będą iść przez Polskę?” Powszechnie raczej panowało przesadne zaufanie do sprawności i siły własnego wojska. Wieści o procesach moskiewskich przyspieszyły za to dojrzewanie zjawisk, w grubych zarysach przypominających to, co się dziś czytuje o niektórych objawach „antykomunizmu” amerykańskiego. Do jednego worka

pakowano Daszyńskiego i Stalina, w zwolennikach reform, nawet w zwyczajnych liberałach dopatrywano się prekursorów rodzimej odmiany czerezwyczajki.

Warszawska „Szopka Polityczna” tak kazała kiedyś rozpaczać i wieszczyć kukielce, przedstawiającej Adama Grzymałę Siedleckiego:

„Czerwona tłuszczą wywlecze Hosicka,
„Kurier” zamieni na kino.
Szeleszczą ruble sowieckie i znika
Żak z Kotarbińską Lucyną.

Kpina trafiła w sedno. Zdaniem dobrze myślących, z Sowietów mogłyby pochodzić najwyżej ruble, bo innej siły nie dopuści niezwyciężone wojsko. Za to miejscową tłuszczę trzymać należy krótko, aby się przypadkiem nie rozhulała. Niezbyt długo przed wojną reprezentacyjni przedstawiciele prawicy twierdzili, że gdyby papież Leon XIII żył, niewątpliwie odważyłby swoje encykliki społeczne. Dowiedziałem się o tym od „czerwonego prałata”, księdza Jana Piwowarczyka, który słyszał te słowa od Romana Dmowskiego.

Ciężką drogę miała konieczna naprawa świeżo odbudowanej Rzeczypospolitej. Pomimo wszystko, dokonywała się jednak, a śmiało stwierdzić można, że gdyby nie tumaniący liczne mózgi lęk, państwo przedwojenne rozwinęłoby się o wiele lepiej i rozumniej. Procesy moskiewskie przyniosły Stalinowi wielorakie zyski.

Sporo naurągałem w tym rozdziale rozmaitym krajowym retrogradom, gdy tymczasem - sprawiedliwie mówiąc - powinienem był wyrazić im powściągliwe uznanie. Cofali się trwożnie przed nowościami, zdecydowana większość nie doszła jednak do skrajności, zwięźle wyrażonej przez Hitlera: „Kubismus, Phuturismus - alles ist Bolschewismus”.

V

Oryginalne obrazki można było oglądać w Wilnie pierwszej jesieni mych studiów uniwersyteckich. Spotykało się na chodnikach starszych, posiwiałych panów o wyglądzie zawsze godnym, często zaś wprost feudalnym, przystrojonych w dekle, czyli w okrągłe, błaloczerwone czapeczki z wąskim, niebiesko - białym otokiem u dołu. Byli to czcigodni filistrowie Konwentu Polonia, najstarszej polskiej korporacji akademickiej, która u schyłku 1928 roku obchodziła stulecie swego istnienia. Podobnie jak do warszawskich Arkoru; i Velecji, przyjmowano tam wyłącznie szlachciów i to wylegitymowanych należycie.

Sporo było w Wilnie korporacji, co najmniej kilkanaście. Podczas uroczystości występowały one nader paradnie. Zaczynało się zawsze, według starszeństwa, od przystrojonego we fraki pocztu sztandarowego Polonii, kończyło zaś na pomniejszym bractwie w pumpach lub żółtych półbutach do ciemnych garniturów. Gdy rektor inaugurował rok akademicki, delegacje te stawały na podium, za senatem uczelni, pragnąc widocznie zaświadczyć, że swymi rapierami o kolorowych gardach gotowe są bronić nauki polskiej od wszelkich złych mocy, odpierać mniemania błędne. W ich pobliżu zauważyłem kiedyś reprezentację Związku Studentów Rosjan. Nie miała ona oręża ani chorągwi, za to fraki skrojone znakomicie, gorsy koszul i muszki niepokalanej białości. Któżby umiał dbać o fason, jeśli nie carosławni?

Jedyna kwatera, czyli siedziba korporancka, jaką parokrotnie odwiedziłem, należała do Polonii. W głębi ładnie, ze znanstwem urządzonego pomieszczenia stało popiersie Mickiewicza z granatowym deklek fuksa na głowie. Zaprowadził mnie tam kolega szkolny, który wstąpił do Polonii, honory domu robił komiliton, czy też barwiarz, Jan Niedziałkowski, brat Mieczysława sławnego socjalisty. Jak widzimy, szlachta kresowa zasilala najrozmaitsze ugrupowania. Nie wiem niestety, do jakiego herbu miał prawo z Wileńszczyzny się wywodzący Feliks Dzierżyński, lecz ani mi w głowie wątpić, że było ono równie dobre, jak prawo Piłsudskich, także ludzi tutejszych, do Koscieszy. W Polonii można było napotkać muzealny już raczej typ „szlacheckiego rewolucjonisty”. Taki nabytek wiele mówił o równości, demokracji tudzież postępie, i niewątpliwie ich pragnął, lecz od pojedynków nie stronił, robił też wielki skandal, ilekroć kelner przyniósł mu w restauracji niedość wygrzany talerz. Z najbardziej reprezentacyjnym przedstawicielem tej odmiany ludzkiej dziwnie się poplątały moje przeżycia podczas okupacji i konspiracji. Nosił on w Armii Krajowej pseudonim dość osobliwy, jak na korporanta: Baryka.

Jan Niedziałkowski miał podobno oświadczyć, że da mi kreskę, jeśli zacznę się ubiegać o przyjęcie do Polonii. Nie dostarczyłem mu okazji po temu. Wrodzone zamięłowania zawiodły mnie do innej organizacji studenckiej, takiej mianowicie, w której chętnie deklamowano nie wiem już czyjego autorstwa wierszy pod tytułem „Korporanckie abecadło”. Oto urywki, bo całości zapomniałem:

Akademik to zwierzę z dziwnie ludzką twarzą,
nadto jest w nim materiał dobry na barwiarza.

Barwiarz, jeżeli nie chce całkiem być analphabetus,
musi pilnie uczęszczać w sobotę na coetus.

Coetus poucza poważnie, bez reklam:
lepszy dekier bez głowy, niż głowa bez dekla.

W spopularyzowanym dziś pojęciu każdy korporant musiał koniecznie uczestniczyć w burdach antysemitycznych, bijąc pałką nie tylko Żydów, lecz i Żydówki także, wyrzucać z wózków niemowlęta. Członkowie Polonii nie mieszały się w te procedury. Zwyczajna rzecz, oni byli na to za dobrze wychowani. Feudalne kodeksy postępowania przydają się jeszcze od czasu do czasu na tym padole.

Należy zaznaczyć, że od czasu do czasu jedynie, bo innymi razy służyły one za przesłony dla stylu życia raczej niepięknego. Jeden i drugi, dziesiąty i setny jegomość zachowywał się jak szuler karciany, albo jak zwyczajny wieprzak, wytaczał sprawy honorowe i chadzał w glorii gentelmana. Znałem takiego, co przy byle okazji posyłał bilety wizytowe i sekundantów. We wrześniu, gdy batalion szedł do przeciwuderzenia, pan ten wynalazł sposób uchylecia się, jakąś arcywilną funkcją na tyłach. Przezornie postąpił, bo 23 pułk piechoty niemieckiej wprawdzie przegrał bitwę, ale zdziesiątkował ów batalion, ułożył trupem pięćdziesięciu dziewięciu żołnierzy, poranił ilość odpowiednio większą, słabiej, lecz dotkliwie, poszczerbił oddziały dwóch innych naszych pułków. Z łatwo zrozumiałych powodów zważyliśmy to starcie „dniem na oficerów”.

W jednym czasie ze mną został studentem, zapisując się na wydział prawa, pewien szeroko później znany w Polsce osobnik. Widywałem go rzadko, wiedziałem jednak, że został członkiem Vilmensii, trzeciej co do starszeństwa korporacji miejscowej, chadzał w dekle barwy pomarańczowej. Po paru latach spotkaliśmy się na ulicy Mickiewicza, przed kamienicą oznaczoną numerem 9 (dobrze zapamiętałem miejsce, bo jeszcze później udało mi się, ku zazdrości wielu, zdobyć w tym gmachu powszechnie pożądane stanowisko stróża nocnego).

Był w kapeluszu, po cywilnemu i wyraził zdziwienie, że nie wiem, co mianowicie spowodowało zmianę jego nakrycia głowy.

- Całe miasto tylko o tym mówi - gorszył się szczerze.

Okazało się, że w Vilmensii wykryto coś w rodzaju grzechu sodomskiego: pewna liczba jej członków należała chyłkiem do Związku Polskiej Niezależnej Młodzieży Demokratycznej. Skażona korporacja została więc wyrzucona z ogólnokrajowego zrzeszenia, najlepiej myślący uprzedzili jednak ten hańbiący fakt, wystąpili zawczasu. Zaliczał się do nich i mój rozmówca, poważnie zatroskany o przyszłość własną i kolegów. Ani myślał o pozostaniu wśród „wilderów”, to znaczy niekorporantów. Zakładać nową organizację znaczyło zajmować ostatnie miejsce w pochodach. Znalezione jednak wyjście - tłumaczył mi z zapalem - postanowiono reaktywować i przenieść z Warszawy do Wilna Polesie, ufundowaną na samym początku niepodległości, w roku 1918.

Widywałem później aksamitne, ciemnozielone dekle, rapiery a bodajże i fraki tej Polesii, zajmującej bardzo wysokie miejsce w barwiarzskich procesjach. Była to najbardziej prawicowa i żydożercza korporacja w mieście. Znajomy mój i informator piastował godność jej członka, a ponadto, i prezesa.

Pora go przedstawić. Nazywał się Stanisław Zarako - Zarakowski. Rozgłos zdobył jako prokurator wojskowy w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, występujący w licznych procesach politycznych. Nie jestem pewien, czy w jego mowach oskarżycielskich również powtarzał się ulubiony przez wielu jego kolegów po fachu wywód o panicykach z przedwojennych uniwersytetów.

Spotkałem go kiedyś w „minionym okresie” u zbiegu ulic Suchej i Filtrowej w Warszawie. Czerwone lampasy generalskiej jaskrawiły się imponująco. Doszedłem do wniosku, że niech się znakomitość pierwsza kłania, jeśli jej na tym zależy. Obeszło się bez tego.

Wstąpiłem do takiej organizacji, która w ogóle nie miała sztandaru, bo go zastępował olbrzymi, dwumetrowej chyba długości kij pielgrzymi, ozdobiony u góry pękiem czerwonych i żółtych sznurów. Nosiliśmy duże, czarne berety sukienne z chwostem czerwonym, żółtym lub złotym, co zależało od wysługi i posiadanego stopnia. Był to Akademicki Klub Włóczągów Wileńskich, przez jednych uważany za tonącą w najdzikszej rozpuście odmianę masonerii, przez innych zaś wyszydzany jako zgromadzenie cnotliwych harcerzyków. Opowiadano, że Włóczągom nie wolno palić ani pić... Każdy z nas nosił przydomek, wybrany i zatwierdzony przez kolegów. Mnie przypadło miano Bachusa, co stanowiło przesadne doprawdy uczczenie mych zasług, zamiłowań i możliwości.

Później nieco pewien buńczuczny młodzian chciał koniecznie nazywać się Atamanem. Wysoki synhedrion oświadczył, że przyjmie wniosek, ale pod warunkiem wprowadzenia małej poprawki. Środkowe „a” miało być zamienione na „u”.

Uchodziło za pewne, że Klub Włóczęgów jest antytezą korporacji i to była prawda, nie ujęta jednak w żaden statut, bośmy go, wbrew obowiązującym przepisom administracyjnym, wcale nie posiadali. Wciąż jeszcze trwała epoka autonomii uniwersytetów, rektorzy nie musieli słuchać urzędników mogli sobie pozwalać na liberalizm, godzić się z istnieniem organizacji, której członkowie żalowali czasu na biurokratyczne formalności, lecz nie na psikusy, wymierzone niekiedy w decyzje samych władz uczelni.

Wspomniałem już o usunięciu zbytecznej roślinności z Podwórza Piotra Skargi. Gdy tylko rozeszła się wieść o tym zamiarze, na pniu największej ze skazanych lip ukazała się tablica z trupią czaszką i piszczelami oraz z napisem: „Akademicki Klub Włóczęgów nie radzi dotykać tego drzewa siekierą”.

Bo my kochaliśmy przyrodę, przestrzeń, plener. Spędzenie niedzieli w mieście hańbiło. Należało iść kupą na włóczęgę gdziekolwiek, do Suderwy, na Zielone Jeziora, do Sorok - Tatrów, zawsze z zapasem żywności w plecakach, ale bez kija - symbolu, gdyż to by był proceder zbyt uroczysty jak na nasze gusta. Wpadł nam raz do głów pomysł, niepochlebnie świadczący o wyobraźni przestrzennej swych autorów tudzież o ich umiejętnościach rachowania. Postanowiliśmy w przeciągu jednego dnia listopadowego obejść, dokoła Wilno w promieniu jakichś dziesięciu kilometrów. Wymaszerowaliśmy wczesnym rankiem na północ, wrócili dobrze w nocy od południa, ubabrani w błocku, zmordowani tego. Na wschodnie półkole zabrakło czasu i sił. Jeśli chodzi o obszar, Wilno brało w ówczesnej Polsce drugie miejsce po Warszawie.

Podczas wyprawy gdzieś za Niemiec po raz pierwszy i ostatni, jedyny w życiu, uczestniczyłem w zbiorowym zresztą komponowaniu wiersza. Opiewał on, rzecz naturalna, rozkosze wałęsania się. Osobiście złożyłem dwie linijki:

Wieprz w ukłonie karku gnie
zatkał się samochód hardy.

Tę drugą przytoczył Miłosz w swej „Rodzinnej Europie”, dzięki czemu jedyny mój plód poetycki dostał łaski druku.

Włóczęgi fizyczne odbywały się w niedzielę, sobotnie zaś wieczory poświęcone bywały włóczęgom duchowym. W tym celu gromadziliśmy się w przydzielonym nam przez rektora lokalu na Bakszczie, w najstarszej dzielnicy Wilna. Była to parterowa, chłodna i posępna sala w wiekowej budowli Bursy Akademickiej. Po drugiej stronie ulicy stało

gmaszysko, w którym mieściła się ongi pierwsza w Wielkim Księstwie loża masońska, bodaj: Cnotliwy Litwin pod Gwiazdą Północy.

Najwcześniejsza debata, w jakiej uczestniczyłem, dotyczyła światowej wówczas sensacji literackiej, powieści Remauque'a „Na Zachodzie bez zmian”.

Jeden tylko temat był wykluczony z tych zebrań: polityka.

W Klubie zdecydowanie przeważali liberałowie, nawet późniejsi komuniści nie zdążyli jeszcze wtedy wyrzec się bezdroży wolnomyślicielstwa. Było również kilku endeków. Najwybitniejszy wśród nich nosił przydomek Marchołat, lecz mógł się obejść bez niego, bo nazwisko charakteryzowało swego nosiciela nad podziw trafnie. Zwał się on: Kazimierz Halaburda. Endek to był z niego przede wszystkim dlatego, że pozer. Patrzcie, podziwiającie, jaki ze mnie srogi nacjonalista!

Zawczasu stało się wiadome, że sanacyjny Legion Młodych napadnie na Ognisko Akademickie, w którym wygłosić miał odczyt przybyły z Warszawy Stanisław Stroński, Marchołat zmobilizował więc sekcję bokserską AZS, której był zasłużonym prezesem, i walecznie bronił drzwi.

- Spluwaczką mnie walnęli i kopnęli w brzuch. Ale bokser jestem, to wytrzymałem - chełpił się nazajutrz.

Obszerniej opowiedziała o jego przewagach najbliższa Szopka Akademicka:

Wybite szyby z bram Ogniska,
Janicki w kącie smutno łka,
lecz zęby też wybite z pyska,
bo umie bić Hała - burda!

Tego wieczoru popisał się odwagą jeszcze jeden Włóczęga, Stefan Jędrychowski, Robespierre. Przyszedł specjalnie po to, by polemizować ze Strońskim, bo endkiem nigdy nie był. Powiedział swoje i stanął sobie przy parapecie oświetlonego okna nie przejmując się tym, że odparci od drzwi „legioniści” rozpoczęli bombardowanie kamieniami.

Widocznie nie policzono mu tego, gdy wstępował później do Legionu Młodych.

Wracajmy jednak do Marchołta. Ładnie go urządził sowiecki obóz, skoro ten żyłasty, wytrenowany chłop ledwie dał rady dowlec się do miejsca, gdzie się skupiał korpus Andersa, i umarł tam z wycieńczenia. Ciało jego odszukał wśród masy trupów inny Włóczęga, Stanisław Janicki, Klukwa, alias Ksiądz Proboszcz, zmarły po wojnie w Stanach Zjednoczonych, i pochował w zamrzniętej na kość ziemi.

W ostatnich dniach sierpnia 1948 roku, gdy jako więzień pozbawiony krawata, sznurowadeł, paska od spodni i nie golony od tygodnia dostarczony zostałem do

Departamentu Politycznego Ministerstwa Bezpieczeństwa, przeżyłem tam duże zaskoczenie. Nieoczekiwanie wszedł do izby zastępca dyrektora tego departamentu, Henryk Chmielewski, Włóczęga z przydomkiem Fu - Czu. Błyskawicznie doszedłem do wniosku, że najlepiej rozwiązę trudną we wzglądzie towarzyskim sytuację udając ślepego. On uczynił akurat to samo. Upłynęło jeszcze kilkanaście lat i spotkaliśmy się znowu, tym razem w Muzeum Narodowym na wystawie krzyży etiopskich, zebranych i eksponowanych przez naszego dawnego przywódcę, Wacława Korabiewicza, któremu niezwykle wzrost zjednał znane w całym Wilnie miano Kilometra.

Zupełnie słusznie nosił on tytuł Arcywłóczęgi i miał na berecie chwost złoty. Gdzie ten człowiek nie był, jakich tylko kontynentów nie zdeptał! Ministerstwo Handlu Zagranicznego do niego właśnie, do lekarza, zwróciło się kiedyś o informacje, co by można uzyskać z Ghany w zamian za urządzenia przemysłowe. Poradził przestać myśleć o tamtejszej „cepelii”, zainteresować się natomiast drogocennym drewnem. Usłyszał w odpowiedzi, że Amerykanie już zdążyli położyć na nim rękę. Nie wiem, jakim cudem cenzura puściła mu w jednej z książek passus świadczący o wierności autora dawnej, iście włóczęgowskiej postawie nieufności wobec szyldów, sloganów i pozorów. W Republice Mali poinformowano Kilometra, że jest ona obecnie państwem socjalistycznym. - Więc już nie ma u was niewolnictwa? - zapytał raczej chyba przezornie niż radośnie. - Jak może nie być niewolnictwa? - zdziwił się postępowy rozmówca.

No tak! A nam każą uważać za socjalistów takich panów, co objąwszy władzę nie mogą jadać inaczej niż na złocie i każą sobie za życia rzeźbić pomniki. Należało odnotować powyższą rozmówkę Kilometra na dowód, że kto ma charakter, ten nie da zrobić ze siebie tuby propagandowej.

Dowiedziałem się przypadkiem, jak wyglądało niedawno ładowanie w Rouen statku, płynącego do afrykańskiej Republiki Gwinei. Wypełniono go niemal wyłącznie skrzyniami szampana.

Kilometr należał do nielicznej, lecz nadającej ton Klubowi grupy Włóczęgów - literatów. Zaczął od poezji. Pisywał wiersze również Marchoń, któremu zabrakło czasu na rozwinięcie talentu. Jędrychowski - Robespierre martwił się illo tempore inflacją przymiotników w piśmiennictwie krajowym i wypowiadał się w prasie na ten temat. Należał do Klubu największy z żyjących dzisiaj pisarzy polskich, Czesław Miłosz, któremu nadano śmieszny i niedorzeczny przydomek Jajo. Chodziło o to, że zgłaszając się skwapliwie do jakiejś roboty wykrzyknął: „ja! ja!” i w pośpiechu zaokrąglił końcową samogłoskę w „o”.

Witalny, rosły dziewiętnastolatek pasjonował się lekturą Rabelais, uczył się na pamięć co smakowitszych passusów i deklamował je w upojeniu. Temperament nie przeszkodził mu wcale zaskoczyć mnie kiedyś dziwnie powściągliwym sądem na temat twórczości niektórych naszych kolegów. Okazało się, że był daleki od euforii i od chęci oklaskiwania wszystkiego, co tylko nosiło wileńsko - włóczęgowski stempel. Właśnie on, najmłodszy bodaj z nas wszystkich, a na pewno ze wszystkich piszących! Twierdził uparcie, że reprezentacyjny poeta klubowy, filar Sekcji Twórczości Oryginalnej Koła Polonistów, bez wątpienia duży talent, Teodor Bujnicki o przydomku Amorek, odznaczał się nadmierną łatwością pióra.

Pisał Bujnicki łatwo. Niestety równie łatwo chwycił wiatr w żagle, pisał to, co było akurat na politycznej fali i dopłynął w ten sposób do tragicznego końca.

Zdobył rozgłos jako członek wileńskiej lewicy akademickiej. Śmiał twierdzić, że właśnie łatwość uzyskiwania poklasku wśród inteligencji przywabiała wielu ludzi pod ten sam znak. Potem, kiedy ultrapravicowe „Słowo” Cata - Mackiewicza, ani o ton nie zmieniając barwy sztandaru, przeszło do opozycji. Bujnicki ozdabiał je niemal co dzień jadłowitymi wierszykami „Billarcta”. Za litewskich czasów umieszczał w „Kurierze Wileńskim” wiersze patriotyczne i piękne. Zwracał się w nich do „Boga Olszynki i Woli, Boga walczącej Warszawy”. Niedługo było tego dobrego, bo z wiosną 1940 roku Litwa wraz z Wilnem przygarnięta została na łono Sowietów. Gdzieś od strony Moskwy przyjechał wtedy niejaki Bołtruszka, podobno Litwin, i zaczął grać rolę herosa narodowego, ucieleśniać Litwę w nowym wydaniu. Bujnicki poświęcił mu cały poemat, wydrukowany w miejscowej prasie. W osobliwy sposób rozrzewniał się nad przeżyciami bohatera podczas pierwszej wojny światowej. Cytuję z pamięci, unikam więc cudzysłowu:

Zatrute go gazami z ziemi cię podniosą,
Bo na złych pochłaniaczach i zleżałych maskach
Intendent i dostawca zrobili kokosy...

Zleżałe maski w 1915 roku. Niebywałe odkrycie historyczne.

Słyszałem, że znajomi przestrzegali autora, odradzali mu przeciąganie struny. Miał odpowiedzieć, że wystarczy parę literackich dowcipasów, by gawiedź o wszystkim zapomniała. Armia Krajowa wydała na Bujnickiego wyrok śmierci. Nikt go nie wykonywał, aczkolwiek skazaniec podczas okupacji niemieckiej pokazywał się w Wilnie w biały dzień. Sam go raz spotkałem na ulicy Dominikańskiej i ani mi do głowy przyszło meldować o tym. Nie wiem, zupełnie nie wiem, kto, z czyjego rozkazu, na co i po co wykonał ten wyrok w grudniu 1944 roku, kiedy Wilno było już znowu bolszewickie, a Bujnicki mieszkał na Zwierzyńcu, zachowywał się powściągliwie i wcale nie pchał się na żadną scenę.

Myślę, że ominąłby go ten los, gdyby nie żywa pamięć o wierszykach w białym „Słowie”, które przesadnie już kontrastowały z czerwienią poematu o Bałtruszcze. Pewne rzeczy zanadto gawiedź bolały, zrozpaczeni ludzie skłonni bywają do okrutnych odruchów. Jeden z pomniejszych, ale mocno krzykliwych asów „Słowa”, talent tak nieznaczny, że nazwiska jego zapomniałem, po maju 1940 roku również raptownie zmienił front i zaczął pisywać publicystyczne elegie. Na przykład o starym, zawsze dotychczas wyzyskiwanym dorożkarzu, który u schyłku żywota dojrzawszy świat lepszych czasów dosiada oklep swej kobyłki i jedzie przed sowiecki konsulat demonstrować wdzięczność. Tego nie wytrzymali jednak komuniści z prawdziwego zdarzenia, w prasie ukazała się skierowana do autora prośba o wyjaśnienie dróg błyskawicznie przebytej ewolucji. A może talent był rzeczywiście tak mały, że opłacało się zademonstrować wysoki próg wymagań?

Szacunek dla chronologii pozwala mi znowu cofnąć się w bardziej pogodne czasy. Na szczęście nie można było przewidzieć mało przyjemnych powikłań, gdy Bujnicki zasiadłszy do maszyny jakby od niechcienia wystukiwał na niej wierszyki poświęcone poszczególnym Włóczęgom.

Jędrychowski znany był w Klubie jako niezmordowany piechur, przejawiający ponadto stałą tendencję do przyśpieszania kroku. Orzeczono więc, że Robespierre ma wiatrak z tyłu, a Bujnicki ujął to zaraz w mowę wiązaną:

Noga za nogą, lewa - prawa,
kilometrowe słupy...
O Robespierze! tobie sława,
lecz wyjm ten wiatrak...
(chór): z d...y!

Był również poemat o wielu bohaterach, poemat zbiorczy, jeśli wolno użyć biurokratycznego wyrażenia:

Olimp się rozwiemożnił w Klubie, Olimp się rozpanoszył,
Bachus - dawca słodyczy i Amor - dawca rozkoszy.
Już niosą vota. Włóczędzy, serca, alkohole wieloprocentowe,
Bachusa błaga żarliwie Pogromca o mocną głowę.
Robespierre błaga boga, by mu dał możliwość dziewictwo utracić,
Marchońt, aby ani za wódkę, ani za kobiety nie musiał płacić,
A biedny Czech na próżno wyciąga dłonie,
Chcąc się uleczyć od ohydneho nałogu gwałcenia koni.

O drugim Arcywłóczędzie, Czešku Leśniakowskim, nadwornym naszym fotografie, ktoś rozpuścił wersję z palca wyssaną, wcale mu jednak nie ubliżającą, moim zdaniem, bo wiadomo przecież, że - kodeks króla Hammurabiego nie karał za stosunki miłosne z końmi. Niewinnie zniesławiony nie przejmował się ani trochę, a Bujnicki uczepił się tematu uparcie:

Coś w powietrzu niby jęk, niby skarga,
Jakby komuś wypruwano żyły.
To Czech nagi z okrzykiem aharhar!
Gwałci spocone kobyły.

Albo na bukoliczny ton, gdy jedna z wypraw dotarła do Lipówki Zagórskich:

Słoń pokazuje swoje gospodarstwo.
Są w nim indyczki, perliczki i kaczki.
Próżno Czech wzdycha - wśród nich nie ma klaczki.

Pamiętam tylko początek i zakończenie mnie poświęconego utworu, sam środek ulotnił się z pamięci:

Bulknęło w szklance jasno i srebliście
Bachus wyciągnął włochatą prawicę,
dłoń, którą pieści przejrzałe dziewice
i stroi phallos w winobluszczu liście
???????

Niebo helleńskie jak dojrzała śliwka
wpadło do szklanki i chór ptaszęcy niby pozytywka
zagrał fanfarę: Bachus, Bachus łyknął!

Lepsze czy gorsze były te wierszyki, cytowane wyłącznie z pamięci, więc na pewno tu i ówdzie pokaleczone, nie o to chodzi. One reprezentują pewien styl, jeden ze stylów studenckich owego czasu. Kontrast z inną postawą wystąpił zabawnie, lecz i jaskrawo po pierwszej wielkiej wyprawie Kilometra, która dotarła kajakami do Konstantynopola. Oprócz samego Kilometra i Czecha uczestniczyli w niej Antoni Bohdziewicz, dziś znany reżyser filmowy, Tadeusz Szumiński, Dziad, który miał w przyszłości pomagać Wańkiewiczowi zbierać na froncie materiał fotograficzny do książki o Monte Cassino, Antoni Czerniewski, malarz - więc oczywiście Pacykarz - osiedlony po wojnie gdzieś za oceanem i Bogumił Zwolski, Obojętny, historyk, obecnie profesor Uniwersytetu Łódzkiego. Po ich triumfalnym powrocie, przy okazji zebrań sprawozdawczych i dyskusyjnych použíwała sobie i kpina. Publicznie, wobec koleżanek także, wygłoszono wierszyki o tym, że „Kiedy się znajdą w Stambule, będą się czuli jak króle: hurysy, odaliski, haremy przede wszystkim, ale im trochę

to popsuje nastrój, gdy ich pasza złapie i sługom każe: wszystkich okastruj”. Na to wstał jakiś nadęty korporant z deklem za pazuchą, bo nie godziło się zostawiać tego nakrycia głowy w szatni, i zagrał Rejtana. Heroicznie zakrzyknął, że nie - pozwoli na poniewieranie godności polskiego studenta w uniwersytecie wielkiego króla, w murach, po których się jeszcze snują promienne duchy Mickiewicza i Słowackiego.

Szeroko, chociaż po cichu, znany był w mieście zakład Cioci Rózi przy Rajskim Zaułku. Właścicielka pensjonatu - tak to nazwijmy - posadzona na ławie oskarżonych, usłyszawszy zarzut ciągnięcia zysków z nierządu, miała podobno przerwać prokuratorowi słowami: „Wysoki Sądzie! jaki nierząd? co nierząd? A pan wojewoda, to rząd czy nierząd? A pan starosta, to rząd czy nierząd?” Klientami Cioci Rózi bywali również przybrani w dekle stróże cnoty. Miarodajną dla nich gazetą był endecki „Dziennik Wileński”, mieszczący się w rokokowej oficynie przy ulicy Mostowej. W drugiej, również stanowiącej własność redaktora, miała kwatery konkurentka Cioci Rózi. Jakoby to zdarzało się, że jej klienci przez omyłkę pukali do drzwi redakcji. „Niech będzie pochwalony... Czy tu dom publiczny?” - „Na wieki... Nie, naprzeciwno”. „Zostańcie z Bogiem”, - „Idźcie z Bogiem”.

Coś w tym jednak było, skoro kwestia tych oficyn i anegdota wypłynęła w czasie procesu karnego o nadużycia w Bratniej Pomocy Akademickiej, opanowanej przez endeków i korporantów. W motywach wyroku Sąd Okręgowy powiedział na ów temat, że jego zdaniem „z czołowymi głosicielami idei narodowej na terenie Wilna nie wszystko jest w porządku”.

W czasie tego procesu rolę koronnego świadka (lecz tylko w zakresie spraw akademickich) odegrał Henryk Dembiński, któremu prawica już była odebrała prezesurę Bratniaka i dostarczyła właśnie okazji do rewanzu moralnego. Przewodniczący trybunału, liberał nie bez lewicowych sympatii, dał mu się swobodnie wygadać. Ale o Dembińskim trzeba będzie napisać obszerniej i osobno.

Nasz nonszalancki styl przysparzał władzom uniwersyteckim kłopotu, mógł niemile razić poważnych profesorów.

Dzięki przypadkowej notatce na odwrocie fotografii znam dokładną datę. 25 maja 1930 roku wybraliśmy się raniutko łodziami w górę Wili i coś koło godziny 5 postanowili na plaży w Ponaryszkach zażyć kąpieli. Ani żywego ducha wokół, któżby więc niepotrzebnie moczył majtki? W zabronionym przez przepisy administracyjne działaniu uczestniczyli: Bujnicki, Jędrychowski, Leśniewski, Miłosz i ja. Akurat nieczysta siła musiała przynieść dwie łodzie policyjne z samym komisarzem na pokładzie! Skończyłoby się pewnie na niczym, gdyby nie zadziorność Jędrychowskiego, który oświadczył, że czuje się dotknięty tonem oficera i poprosił go ostro o podanie nazwiska.

- Nie potrzeba panu nazwiska, wystarczy, że kierownik III Komisariatu.

- Nie, to mi nie wystarczy, bo jak pana za tydzień z posady wyrzucą, to ktoś niewinny będzie za pana odpowiadał.

Były też inne równie cierpkie odezwania się.

Zdarzenie kosztowało nas po 25 złotych grzywny (oraz 2 zł 50 gr kosztów administracyjnych „solidarnie”) i oskarżenie przed sądem rektorskim o znieważenie Policji Państwowej. Jakże smutnym okiem spoglądał zasiadający w nim profesor Stanisław Kościółkowski, święty człowiek, na mnie - swego ucznia, i na Miłosza - wyrodnego siostrzeńca. Mili koledzy klubowi zdążyli już rozgłosić, że jesteśmy obwinieni z paragrafu mówiącego o dokonywaniu czynów lubieżnych w miejscu publicznym.

Mieliśmy szczęście, bo tuż przed przybyciem policji Bujnicki zmarł, wylał z wody i ubrał się. Był więc świadek, który stwierdził, że wcale nie krzyczeliśmy, banda policyjna pojechała na drugi brzeg grasować, jak stało w skardze do rektora. My wszyscy, przesłuchiwani każdy z osobna, utrzymywaliśmy zgodnie i bez uprzedniej umowy, iż taki okrzyk byłby dla nas zbyt pompatyczny, nie w naszym stylu.

Robespierre został skazany na upomnienie dziekańskie. Profesor Stefan Ehrenkretz wezwał go do siebie.

- A pana zawsze musi temperament ponosić - powiedział i na tym się skończyło.

Mój Boże! cóż by dzisiaj czekało znanego z nonkonformizmu studenta, który by się w dodatku ośmielił równie niegrzecznie potraktować wyższego oficera Milicji Obywatelskiej. Oglądalibyśmy pewnie w telewizji surowe oblicze ministra Jędrzychowskiego, przysłuchującego się z trybuny rządowej całej oracji na temat obiektywnie rewizjonistycznego postępowania, z którego imperialiści czerpią zyski.

Wbrew przysłowiu, tym razem pamięta chyba wół jak cielęciem był. Ale od lat wielu myśli wyłącznie „naukowo”, to znaczy uważa interesy własnej władzy za jedyne kryterium prawdy.

Przygoda w Ponaryszkach zasługiwała, moim zdaniem, na upamiętnienie. Kto wie, czy to nie wtedy właśnie przyszył wielkorządca gospodarki nadwiślańskiej osiągnął szczyty swych możliwości umysłowych. Zdobył on rozgłos przede wszystkim dzięki ostrym przemówieniom na wiecach akademickich. Był niezrównanym mistrzem w sztuce dopiekania ludziom językiem, o czym biedny kierownik III Komisariatu przekonał się boleśnie. Samowładne gospodarzenie na tych warunkach, że kosztami wszelkich niedorzeczności obciąża się bez ceregieli i odpowiedzialności społeczeństwo nie wymaga zbytniego geniuszu i ja też potrafiłbym zapewne włodarzyć podobnie.

Na przedwiośniu tego 1930 roku debiutował literacko Antoni Gołubiew. Tworząc później swą sławną powieść o Bolesławie Chrobrym mógł sobie powiedzieć: „wracam, gdzie mój początek”. Napisał rzecz bardzo oryginalną, „Sąd nad średniowieczem” - skojarzył starą formę misterium z nowoczesną inscenizowaną debatą. Malarze z akademickiego Bractwa św. Łukasza zmontowali na podium Sali Śniadeckich fronton gotyckiej katedry z tektury i kolorowego papieru, z kandelabrow usunęło się żarówki, zastępując je świecami, stearyna gęsto kapiała na zbity tłum widzów. Po zakończeniu właściwego widowiska wchodził na mównicę kto tylko chciał i wygłaszał swoje najbardziej subiektywne przekonania. Po tym wszystkim odbyło się jeszcze głosowanie i wyrok na wzmiankowaną epokę dziejów. Tuż przed przystąpieniem do tego aktu przybyli licznie profesorowie wynieśli się dyskretnie, po angielsku. Głosowanie, czyjekolwiek wyrokowanie w kwestiach spokrewnionych z nauką to dla prawdziwego uczonego rzecz nie do przyjęcia. Młodym, własnym uczniom, pozwalano jednak na intelektualne rozpasanie. Przedsięwzięciu patronowało Koło Historyków słuchaczy USB. Ono sprowadziło z zagranicy dzieła niezbędne ze względów kostiumologicznych, wspomagało Gołubiewa ze wszystkich sił, nie uzgadniając z nikim „wydźwięku” przedstawienia.

Zapał wyrok uniewinniający średniowiecze. Stojący obok Henryk Dembiński nachylił się do mnie.

- Widziałeś? Wrona głosował „za”. Oryginalne, przecież dla komunistów historia to oszibka.

Jeszcze parę lat i w tej samej, do ostatniego miejsca wypełnionej Sali! Śniadeckich, podczas zebrania zapowiedzianego przez prasę, Dembiński wyłożył swój program społeczny. Głosił konieczność reform radykalnych, przemiany Polski w państwo zorganizowanej pracy.

Zanim zabrałem się dziś do codziennej odróbki pisarskiej, przeczytałem artykuł Wacława Kubackiego „Na marginesie historii” wydrukowany przez warszawską „Kulturę” (nr 358, 19 kwietnia 1970r.) Znający język rosyjski autor żali się, że z pismami Lenina dane mu było zapoznać się dopiero w roku 1949, w przekładzie polskim. Ja osobiście miałem dostęp do oryginałów fachowej literatury sowieckiej, a to chociażby w bibliotece seminarium historycznego Uniwersytetu Stefana Batorego. Wypożyczano mi nawet książki i czasopisma do domu, na niedzielę, bo w dzień powszedni wszystko musiało być na miejscu, do powszechnego użytku w czytelnicy. Oczywiście, że nie można było dostać wszystkiego, co się chciało, ale w grę wchodziły przyczyny nie koniecznie polityczne. Zabierając się w latach sześćdziesiątych do pisania „Dwóch dróg”, musiałem koniecznie przeczytać studium Riewunienkowa o powstaniu styczniowym. Długo trwało zanim drogą jak najbardziej legalną,

za pośrednictwem państwowych instytucji PRL, udało mi się sprowadzić książkę z Leningradu. Grube, lecz pozbawione indeksu dzieło trzeba przecież mieć na własność, móc swobodnie zakreślać, notować na marginesie, aby się nie zgubić, jak w nieznanym lesie.

Sowiecką literaturę piękną kupowało się po prostu w księgarniach. W przekładzie „Cichego Donu” nie skreślono ani słowa, prokurator niczego nie zajął. Tak samo było z „Drogą przez mękę” i z obfitującym w cierpkie sceny polskie „Piotrem I” Aleksiego Tołstoja.

Zabawna przygoda spotkała Antoniego Gołubiewa w Wilnie już przyłączonym do ZSRR. Z jakiegoś powodu zjawił się w jego mieszkaniu oficer sowiecki i zdumiał się bardzo, obejrzawszy półki z książkami. Obok innych dzieł stał tam któryś z wiekopomnych utworów Józefa Stalina, bodaj „Zagadnienia leninizmu” w oryginale.

- Kak, wy obuczony w marksizmie? - zapytał przybysz.

- Da, obuczen.

- I u was etowo nie wosprieszczałoś?

- Niet, nie wosprieszczałoś.

Kto był już wtedy naprawdę ciekaw spraw wschodniego sąsiada, ten mógł jednak coś niecoś się dowiedzieć, zwłaszcza jeśli znał język rosyjski. Zresztą „Państwo a rewolucja” Lenina wyszło po polsku w roku 1919, w dwa lata później „Dziecięca choroba „lewicowości” w komunizmie”, „Ekonomia i polityka w okresie dyktatury proletariatu” w roku 1933. Innych grzechów nie pamiętam. Przypominam sobie za to dokładnie, że prasa urągała wileńskiemu Instytutowi Naukowo - Badawczemu Europy Wschodniej za luki w jego sowietologicznych księgozbiorach. A potem naukowcy z tegoż Instytutu wędrowali do sowieckich więzień jako pracownicy placówki uznanej za szpiegowską.

Polska Akademia Literatury nie budziła entuzjazmu wśród liberałów i lewicowców, ponieważ w fakcie jej założenia dopatrywano się próby upaństwowienia sztuki pisarskiej. Stać było jednak tę Akademię na przyznanie stypendium Wandzie Wasilewskiej, aczkolwiek nikt nie żywił wątpliwości do jej przekonań.

Nędzny jest los pamiętnikarza, który musi notować rzeczy zupełnie normalne, oczywiste i powszednie. Cóż jednak począć, skoro nikt z młodych tego nawet dzisiaj nie wie, że w Polsce przedwojennej nie było cenzury prewencyjnej. Ci młodzi już sobie nie wyobrażają świata bez niej.

Na kilka miesięcy przed wojną Stanisław Podwysocki, redaktor „Wiedzy i Życia” przysłał nam z żoną „Motory” Zegadłowicza. W załączonym liście mieściła się instrukcja: czytajcie, moi mili, jak wam się podoba, chociażby pod rentgenem, ale niech Bóg strzeże przed przecinaniem stronic, bo mi narobicie kłopotu. „Motory” uległy konfiskacie, to znaczy

zostały zajęte przez prokuratora już po wydrukowaniu, otrzymany od p. Podwysockiego egzemplarz musieliśmy zwrócić.

Endecy wydali kiedyś - czy nie w Krakowie? - broszurę bardzo zjadliwie krytykującą rząd. Prokurator skonfiskował wszystko z wyjątkiem tytułu, bo na to ostatnie brakowało podstawy prawnej. Wydawca puścił więc w świat „po konfiskacie nakład drugi”. Publiczność radośnie wykupiła książczykę, w której najpierw szedł tytuł „Co Piłsudzczycy dali Polsce?”, potem zaś szesnaście białych stronic.

Podziwu godne, do jakiego stopnia otepia ludzi przywilej, cieplarnia polityczna. Z dziesięć lat temu „Czytelnik” wydał wybór reportaży przedwojennych, zatytułowany „Polskie drogi”. Łatwo odgadnąć według jakiego kryterium dokonywano tego wyboru. Przedrukowano między innymi słynny reportaż „Wiadomości Literackich” opisujący egzekucję kilku chłopów białoruskich w więzieniu baranowickim, skazanych na śmierć za udział w jakiejś akcji komunistycznej. Autor, oficer kawalerii, odsiadywał karę twierdzy za pojedynek, był świadkiem i reporterem zupełnie przypadkowym. Człowiek, który odbył wojnę, służył u Denikina i w Legii Cudzoziemskiej, uznał widok tej egzekucji za najcięższe ze swych przeżyć. „Czytelnik” przedrukował jego utwór w całości, więc razem z tym, co się nie ukazało w pierwszym nakładzie „Wiadomości”. Bo sąd ówczesny uchylił konfiskatę prokuratorską, pozwolił na opublikowanie pełnego tekstu, co się też niezwłocznie stało.

Wydawcy „Polskich dróg” nie zastanowili się jakoś. Przecież rozsądny nabywca książki może dojść do wniosku, że przed wojną bez przerwy trwała u nas „wiosna w październiku”, jeśli wolno było aż tak ostro krytykować panujące stosunki.

Józef Piłsudski mawiał w chwilach złości, że Polacy są narodem idiotów. Niektórzy dzisiaj tak się zachowują jakby tezę marszałka brali za dobrą monetę.

Wśród przechowywanych w biurku papierów odnalazłem pismo, które kopiuje bez zmian:

„Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk przy Prezydium Rady Ministrów. Dział Publikacji Nieperiodycznych, nr III - c - 2/2008/48. Warszawa, Koszykowa 31, 13 grudnia 1948r.

Obywatel Paweł Jasienica, Kraków, ul. Wiślana 12, red. „Tygodnika Powszechnego”.

Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w załączeniu zwraca maszynopis pracy Obywatela p.t. „Po Katakliźmie” i komunikuje, że po dokładnym zapoznaniu się z treścią tej pracy - nie zezwala na opublikowanie jej. -

Szef Działu Publikacji Nieperiodycznych

Maria Grzeszczak”

Taki los spotkał pierwszą z moich książek, tom reportaży poświęconych przede wszystkim Ziemiom Odzyskanym, jak się wtedy mawiało. Była widać nie na linii. Nie przysługiwało mi prawo apelacji od decyzji urzędu z ulicy Koszykowej, żaden sąd nie poniżyłby się do przyjęcia mej skargi, cóż dopiero do jej rozpatrzenia.

Z czasem metoda ulec miała udoskonaleniu, autorzy przestali otrzymywać zawiadomienia pisemne. Skreśliwszy pewne fragmenty „Polski Piastów”, cenzura zażądała od dyrektorki warszawskiego Oddziału „Ossolineum”, by sama własnoręcznie, zaraz na miejscu, załagodziła ślady cięć. Pani Helena Devechy odmówiła kategorycznie, zawiadomiła autora i jemu pozostawiła decyzję.

W „Polsce Piastów” znajduje się wywód o tym, że Polacy są narodem katolickim, ale ich stosunek do wiary polega przede wszystkim na sentymencie i tradycjonalistycznym przywiązaniu. Główna dykcja „Ossolineum” zażądała, bym to przerobił w tym sensie, iż „Polacy uchodzą za naród katolicki”. Odmówiłem. Z kolejną, identyczną propozycją zdarzyło się to samo. Przyszła pora ostatecznej rewizji złożonego tekstu, który już miał iść do maszyny. Zjawiłem się w Oddziale Warszawskim, na którymś tam piętrze sławetnego Pałacu Kultury. W dużym pokoju zastałem za biurkiem dwie panie. Jedna z nich, patrząc mi prosto w oczy, powiedziała:

- Proszę pana, Wrocław po raz trzeci prosi pana o zmianę, co do katolicyzmu.

Kiedy znowu odmówiłem, obie panie wstały zza biurka i złożyły mi gratulacje. Zaskoczyło mnie to z tego tylko powodu, że nie było czego gratulować.

Z historyjki tej wynika dwojakie pouczenie.

Cenzura nie ponosi odpowiedzialności za wszystkie dewastacje tekstów literackich i innych, dzieli ją po części z takimi, co lubili się asekurować na wszelki wypadek. Drugi morał jest tego rodzaju, że chowanie się za plecy urzędników, zwalanie całej winy na nich, to po prostu fałsz. Niekiedy przynajmniej można było się postawić.

Straciłem kilka stron „Myśli o dawnej Polsce” - , ale obroniłem kilkadziesiąt. W tym wypadku dyskutowałem z cenzurą, oczywiście za pośrednictwem dykcji wydawnictwa. W Urzędzie, który z ulicy Koszykowej przeniósł się na Mysią, byłem po raz ostatni w roku 1951. Cenzura nie gada z autorami bezpośrednio, a to właśnie w tym celu, aby uruchomić pośrednie organa nacisku, wydawnictwa, obarczyć je odpowiedzialnością polityczną także. Nigdzie takiej instrukcji nie wyczytałem, ale jeśli widzę rachunek „2x2” to już nie potrzebuję sprawdzać, co widnieje na prawo od znaku „=„.

W wypadku „Polski Jagiellonów” zagrożony był cały tekst. Recenzenci wewnętrzni wydawnictwa „Ossolineum”, wychodząc oczywiście z marksistowskiego punktu widzenia,

zdyskwalifikowali ten elaborat zupełnie. Byli to profesorowie Heck i Henryk Łowmiański, mój do pewnego stopnia pedagog illo tempore, starszy asystent Uniwersytetu Stefana Batorego za moich dni. Wolno mi zuchwale mniemać, że „Polska Jagiellonów” jest niejako duchem pokrewna temu, co on sam ongi pisał o wielkim księciu Witoldzie oraz o innych polsko - litewskich sprawach. Odpowiedziałem recenzentom jednostronicowym traktatem skierowanym do wydawnictwa. Wyraziłem wdzięczność za wszelkie rzeczowe sprostowania. Mogłem się tylko pokajać w pokorze, skoro mi wytknięto, że pomyliłem się o trzy lata w dacie mianowania Spytka z Melsztyna kasztelanem podolskim. Lecz co do poglądów, sposobu ujmowania dziejów, poprosiłem aby mnie pozostawiono przy moim świętym prawie własności prywatnej. Oświadczyłem ponadto, że nie zamierzam się przyczyniać do smarowania dziegiem historii własnego kraju.

Potem profesorowie uniwersytetów, panie Celina Bobińska i Ewa Maleczyńska ostro zaatakowały w prasie książkę, której początkowe fragmenty zostały przeze mnie lekkomyślnie opublikowane. Replikować mogłem już tylko ustnie, w sali Związku Literatów, podczas wieczoru autorskiego zatytułowanego „Odpowiedź „Nowej Kulturze”. Zabrakło krzeseł w całym lokalu Związku, z dobra setka ludzi musiała stać.

Pod presją swej rady naukowej „Ossolineum” zrzekło się wydawania książki. Chętnie wzięła ją Państwowy Instytut Wydawniczy i dopiero z jego rąk trafiła ona do władzy, noszącej enigmatyczne miano Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Sprawa się wlokła, mijał już trzeci rok sporów, debat i szarpania nerwów, pełen jak najgorszych przeczuć, gotów schować książkę do szuflady pojechałem wraz z Julianem Przybosiem i Stanisławem Strumph - Wojtkiewiczem na cykl wieczorów autorskich na Górny Śląsk. W ostatnim dniu imprezy zjawił się w Katowicach Adam Ostrowski, dyrektor Instytutu.

- Cenzura puściła Jagiellonów, nie skreśliła ani przecinka - powiedział mi z całym spokojem ex - dyplomaty.

Należało ewenement uczcić. Przyboś do ust nie bierze wiadomych płynów, Strumph - Wojtkiewicz gdzieś się zaprzepaścił na ten wieczór, przy stoliku restauracyjnym zasiadły więc tylko trzy osoby - pani Zofia Cesulowa, redaktorka PIW, Adam i ja. Pani Zofia ograniczyła swój udział do jednego kieliszka, pozostałe trzy czwarte litra pochłonęliśmy we dwóch. Nazajutrz dowiedziałem się, że Ostrowski jest po paru zawałach serca i ogarnęła mnie skrucha.

Od czasu dość głośnych w kraju zatargów o „Polskę Jagiellonów” cenzura zaczęła mnie traktować w sposób osobliwy. Nie ruszono mi niczego ani w „Trzech kronikarzach”, ani w obu tomach „Rzeczypospolitej Obojga Narodów”, ani w „Ostatniej z rodu”.

Muszę wspomnieć o wcześniejszej trochę, oryginalnej interwencji w „Dwóch drogach”. Wyraziłem tam głębokie uznanie Alexisowi de Tocqueville, który już przed stuleciem przeszło przewidział, że Rosja i Stany Zjednoczone podzielą się w przyszłości władzą nad światem. Cenzura poprosiła bardzo grzecznie, abym przeredagował to zdanie jak mi się podoba, byle tylko rzeczownik pospolity „władza” uległ wyeliminowaniu. Napisałem więc „zajmą pierwsze miejsce w świecie”, co zresztą lepiej wyraża prawdę, i sprawa została załatwiona.

Nie straciłem na uporze w sprawie „Polski Jagiellonów”. Ukończona w roku 1960, ukazała się w księgarniach dopiero u schyłku 1963, lecz później autor miał spokój. Ostatecznie władzom polskim nie jest zbyt wygodnie konfiskować książki o historii Polski. Fala, na którą trafiłem dzięki „Polsce Jagiellonów”, niosła mnie dość długo, przez lat kilka - aż do marca 1968 roku.

W samo stulecie powstania styczniowego radio poprosiło mnie o felieton. Dzieje tego powstania stanowią poniekąd moją specjalność, z zakresu jego spraw zaczerpnąłem temat pracy magisterskiej. Maszynopis złożyłem i wkrótce zaproszony zostałem na rozmowę. Zarzutów było dwa. Pozwoliłem sobie uznać Konstantego Kalinowskiego i Zygmunta Sierakowskiego za rdzennych Polaków, a ponadto jeszcze dzień przybycia do Wilna Michała Murawjewa zaliczyłem do najczarniejszych w historii Polski. (Wcale nie neguję moralnych uprawnień Litwinom, ale fakt jest, że Murawjew wiesział w Wilnie Polaków). Cóż można było zrobić po wysłuchaniu owych grawaminów? Wsadzić maszynopis do kieszeni i pójść sobie, pożegnawszy się uprzejmie z wydelegowaną do rozmowy ze mną redaktorką, która miała wyraźnie wstyd w oczach.

Pierwszej zaraz jesieni mych studiów w Wilnie zacząłem chodzić na wykłady Mariana Zdziechowskiego, zatytułowane „Taine i Renan”. Przez cały cykl profesor niczego nie powiedział o tych dwóch pisarzach, malował bowiem tło dziejowe. Z tego powstała później książka o Napoleonie III.

Marian Zdziechowski nie odczytywał tekstu, przemawiał. Szczupły, nerwowy starzec wykladał siedząc i nie wiem doprawdy jak tego dokazywał, ale przez cały czas krzesło wraz z mównicą jeździło wewnątrz katedry. Cały cykl był właściwie jedną wielką dygresją, a zdarzały się ponadto wcale często dygresje dodatkowe, wypadły we współczesność. Pewnego wieczoru profesor wygłosił namiętne oskarżenie politycznych skutków pierwszej wojny światowej. Twierdził, że ostatecznie zniszczyła ona faktycznie istniejący system ponadnarodowy, naturalne porozumienie monarchów z Bożej łaski. (Dodać trzeba, że ostatnie z jego książek nosiły tytuły: „W obliczu końca” i „Widmo przyszłości”).

Nie pozyskał mnie dla swych poglądów, ale nie to okazało się ważne.

Rządzący wtedy Polską ludzie, gdyby tylko mogli, historię powszechną zaczęliby chętnie liczyć od dnia 6 sierpnia 1914 roku, od wymarszu „kadrówki” Piłsudskiego z krakowskich Oleandrów. I oto profesor państwowego uniwersytetu wygłasza z katedry opinie z punktu widzenia władzy politycznej zgubne, kacerskie, antypaństwowe, bo przecież pierwsza wojna światowa przywróciła Polsce wolność. Wobec tłumu studentów kwestionuje mity, wylęgle w okopach, ucząc ich zarazem, że uczciwy intelektualista może mówić tylko to, co sam myśli.

Po zakończeniu tego wykładu wyszedłem z sali na zawsze wzbogacony o przeżycie natury moralnej. I jeżeli później, gdy zostałem literatem, udało mi się niekiedy przynajmniej zachować twarz, nie zgrzeszyć układnością, to w znacznej mierze dlatego, że mój uniwersytet nauczył mnie wstydzić się niektórych uczynków.

Koleje losów jednego z moich profesorów wyglądają krzepiąco, jeżeli na nie patrzeć z punktu widzenia pana w moim obecnym wieku.

Feliks Koneczny kierował u nas katedrą dziejów Europy Wschodniej. Jego historiozofia, postawa, poglądy były bardzo, na mój gust aż do przesady prozachodnie. Coś jednak z tego wynika w historiozoficznym właśnie sensie, że rosyjska powieść XIX stulecia wywarła aż tak głęboki wpływ na beletrystykę całej Europy. Bez Dostojewskiego niepodobna sobie wyobrazić późniejszej literatury kontynentu. Jeśli cywilizacje są naprawdę nieprzenikalne, to pozostaje jeszcze kwestia, czy akurat w naszych stronach musi koniecznie przebiegać jedna z nieprzekraczalnych granic. Pod rządami Holstein - Gottorpów Rosja okazała się terenem podatnym na udane przeszczepy, tak zachodnich wynalazków, jak niezależne, na belgijskim systemie wzorowane sądownictwo. Wiadomo, jaki był Mikołaj I, ale to za jego rządów Gogol napisał, wystawił i opublikował „Rewizora”, oraz „Martwe dusze”. Aleksander Hercen musiał wyemigrować, jednak bez zbytej fatygi, bo poszperawszy tylko trochę w tym samym tomie encyklopedii, przekona się każdy, że w kilka lat później to samo zmuszony był uczynić Wiktor Hugo.

Postać profesora dobrze pasowała do głoszonych przezeń teorii. Nieduży, raczej zażywny, zawsze na ciemno i bardzo schludnie ubrany pan z siwą bródką w szpic wyglądał jak francuski rentier z dobrej rodziny. Zaczynał wyklądać dokładnie w chwili przekroczenia progu sali, zanim doszedł do katedry już było po zagajeniu, nawiązaniu czy wstępie. Notatki, wyjątki z dokumentów miał powypisywane na wąskich paskach papieru, które sklejał w takie nawet formy, o których nie uczą na lekcjach geometrii. Podejrzewaliśmy, że było mu to potrzebne z mnemotechnicznych względów.

Tylko przez jeden rok akademicki słuchałem wykładów Feliksa Konecznego. Profesor osiągnął wiek emerytalny, powrócił do swego rodzinnego Krakowa i tak dopiero, mając lat siedemdziesiąt trzy, osiągnął swój szczyt, wydał dzieło „O wielości cywilizacji”.

Z łatwo zrozumiałych względów fakt ten wydaje mi się dziś bardzo krzepiący, lecz inne następujące po nim zjawisko gasi optymizm.

Krajowe losy dorobku profesora stanowią wcale niezłą ilustrację umiejętności nie występującej ani w cywilizacji łacińskiej, ani w turańskiej, za to będącej specialite de la maison Polaków. Mówię o nieprawdopodobnym zamiłowaniu do marnotrawstwa, o nałogowym lekceważeniu własnego dorobku kulturalnego. Przecież u nas raz za razem wyskakuje jakiś umysłowo a często i fizycznie niedomyty prorok i zaczyna głosić, że wszystko nic nie warte, poronione, wtórne, że trzeba zaczynać od zera. Znalazł się niedawno i taki, niegłupi skądinąd chłopina, który pisarza tak tragicznego jak Prus klepie po ramieniu, zowie pocziwym i jowialnym.

O Feliksie Konecznym w „Małej Encyklopedii” powojennej nie ma ani wzmianki. W „Wielkiej” jest owszem, że był historykiem reakcyjnym, więc oczywiście niegodnym uwagi, już nie mówiąc o wznawianiu jego książek. Anglicy przełożyli ostatnio „O wielości cywilizacji” i podobno uważają autora za prekursora Arnolda Toynbee'go. Być może, doszły mnie wieści przesadzone. Pozostaje faktem, że Arnold Toynbee napisał przedmowę do angielskiego tłumaczenia dzieła. Też wystarczy, zwłaszcza jeśli dodać, że teorie Konecznego dalej rozwija w Moguncji profesor Antoni Hilckmann. No ale nasi niedomcyi zawsze wiedzą lepiej.

Feliksa Konecznego ówczesny rząd polski nie kochał. Nie miał również serca dla Teofila Modelskiego, który w związku pewnym z tą niełaską przeniesiony został do Lwowa. Nie stała mu się zbytnia krzywda, przeniesienie mało było podobne do zesłania, bo on pochodził z grodu pod Wysokim Zamkiem właśnie. Ale studenteria stanęła okoniem, wzburzyła się. Nie chcieliśmy stracić lubianego nauczyciela i dobrego mediawisty. Zaczęliśmy więc opracowywać i rozsyłać zaopatrzone w setki podpisów memoriały i podania. Przy okazji profesor podziękował nam publicznie. Przy nabitej do pełna sali nie odmówił sobie przyjemności podkreślenia oryginalnej cechy naszych zabiegów.

- Wiem również, że pragnąc mnie zatrzymać w Wilnie na stanowisku profesora uniwersytetu, wysłaliście państwo prośbę do pana ministra spraw wojskowych - prawili z katedry swym jednakim zawsze, nieco kostycznym tonem.

Tym ministrem był Józef Piłsudski.

Studiowałem pod bezpośrednim kierownictwem profesora Stanisława Kościałkowskiego. O nim przeciętny, niewtajemniczony w fachowe arkana Polak tyle tylko się dowie, że wydał na emigracji trzy tomowe „Studia irańskie” oraz inne prace poświęcone stosunkom Polski z Libanem i Syrią.

Profesor Kościałkowski przez dwadzieścia kilka lat badał żywot i czyny podskarbiego Antoniego Tyzenhuza, a właściwie mówiąc - historię gospodarczą Wielkiego Księstwa Litewskiego i Polski w stuleciu XVIII. Na pewien czas przed wojną dzieło było już ukończone. Kto znał profesora, ten z zamkniętymi oczyma odgadywał, jak musiało być gruntowne, sumienne, rzetelne. Ten anielskiej dobroci, fizycznie wizerunki Chrystusa przypominający człowiek w dwóch tylko wypadkach srożył się bardzo i nie pobłażał nikomu. Nie znosił rozmawiania podczas wykładów i wszystkiego, co załatywało oszustwem - podpowiadania, ściągania i temu podobnych zabiegów.

- Panoczku, wie pan, albo pan nie wie - mawiał często podczas ćwiczeń seminaryjnych. - Nie zamazywać glinę, w pracy naukowej nie może być żadnego: zdaje się. Ustalić stan faktyczny, powiedzieć jasno: „nie wiem”, jeżeli czegoś nie udało się stwierdzić.

Ministerstwo Oświaty postanowiło pomóc w wydaniu książki profesora i przeznaczyło na ten cel osiem tysięcy złotych. Ponieważ w Polsce komunistycznej jednym zrozumiętym miernikiem jest moneta imperialistyczna, trzeba wyjaśnić, że wymieniona suma równała się tysiącowi i kilkuset dolarom. Stanisław Kościałkowski, którego znała cała nędza wileńska jako dobrodzieja i opiekuna, doszedł do wniosku, że nie wolno szafować podatkowym pieniądzem i nie przyjął pomocy. Maszynopis - może nawet rękopis - czekał na lepsze czasy i doczekał się wybuchu wojny.

W czerwcu 1941 roku patrol NKWD zatrzymał profesora na ulicy Mostowej, którą wiodła droga do wileńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Odprowadzony do mieszkania, aresztant zaklinał oficera, aby nie niszczone i nie konfiskowano tekstu pracy. Otrzymał uroczyste słowo, którego dotrzymano. Sam natomiast trafił zaraz do bydłowego wagonu, w zaduchu i ścisku powędrował pod zbrojnym konwojem na wschód. W Wilnie odbywała się właśnie wywózka do Kazachstanu.

Ludwik Hirszfild opowiadał mi, że w roku 1944 chwilę przetoczenia się frontu na zachód spędził w jakiejś stodole. Zajrzał do niej sowiecki żołnierz z nacierającej tyraliery i widząc poważnego pana, zapytał go o zawód. O! - zdumiał się propagandowo - u nas uczeni po stodołach nie siedzą.

Różnie bywało. Nie tylko Stanisław Kościałkowski lecz także Mikołaj Wawilow w pewnej fazie swego żywota uznałby niewątpliwie stodołę za wcale sympatyczne miejsce pobytu.

Sądzę, że wyjaśniłem już skąd się wzięła egzotyczna tematyka w spisie prac Stanisława Kościałkowskiego, urodzonego w Grodnie, wykształconego w Krakowie, a wykładającego w Wilnie. Ta tematyka podjęta została z dróg wędrówki korpusu generała Andersa.

Profesor był synem lekarza, który w roku 1863 opatrywał Zygmunta Sierakowskiego rannego w bitwie pod Birzami, i nie trafił na szubienicę tylko dlatego, że nikt nie wydał tajemnicy. Na Syberię jednak pojechał. Zmarł w Grodnie, na dworcu kolejowym, gdzie czekał na pociąg, by bez względu na własny stan zdrowia odwiedzić chorego.

Maszynopis dzieła o Antonim Tyzenhauzie przywieziony został do Polski. W okresie „odwilży” miał iść do druku, ale coś się tam w drugą stronę odkręciło, książki nie ma.

Korzę się przed moralną wielkością profesora Stanisława Kościałkowskiego, ale i to powiedzieć muszę, że nie powinien był odmawiać przyjęcia pomocy ofiarowywanej przez rząd ówczesny.

Stara pieśń 2 pułku Ułanów Grochowskich zażerała trafną wizję - syntezę przeznaczeń polskich: „Bo taki los dał nam Bóg, że nie wiemy gdzie nasz próg”. A jeszcze mniej, oczywiście, wiemy o tym, co czeka za progiem.

Ostatnia książka Mariana Zdziechowskiego - „Widmo przyszłości” - wyszła z druku tuż przed wojną, nakład nie zdążył jeszcze trafić do sklepów, cały znajdował się w gmachu Biblioteki Wróblewskich, nad Wilią, „naszych strumieni rodzicą”. I cały prawie już za czasów Litwy „smetonowskiej”, czy też burżuazyjnej - jeśli kto woli - powędrował do pieców. Zima była sroga, nie należało gardzić żadnym opałem, jakieś jałowe stopy byłyby zjawiskiem nieracjonalnym. Tylko trzy egzemplarze udało się pracownikom Biblioteki ocalić cichcem.

Pokolenie Polaków, o którym tu rozprawiam, dziwnie obfitowało w ludzi ze świecznika obdarzonych przez los wyjątkowym szczęściem osobistym. Tyłu ich poumieralo w porę. Patrzmy tylko: Józef Piłsudski, Roman Dmowski, Władysław Sikorski.

Marian Zdziechowski zmarł na kilka miesięcy przed wojną. Znałem go osobiście, potrafię więc docenić tę łaskę losu. Prasa pisała, że w ostatniej niemal chwili odwiedził go arcybiskup Romuald Jalbrzykowski. Konający otworzył oczy i zdołał powiedzieć wyraźnie: „Cóż za szczęście”.

Miał rację.

Korzystalismy bez ceremonii ze świętego prawa wymyślania na współczesność, urzędową zwłaszcza, ani się zastanawiając nad tym, jakim dobrodziejstwem jest ten przywilej.

Jesienią 1930 roku wszystkich przyzwoitych i przytomnych ludzi w Polsce oburzyła wiadomość o uwięzieniu w Brześciu grupy posłów opozycyjnych. Zaperzony Bujnicki wpadł do lokalu Koła Historyków, którego akurat byłem prezesem.

- Może któryś z was senator - zakrzyczał od progu - to ręki nie podam.

Podczas jakiejś publicznej dyskusji w Ognisku Akademickim jedna z sióstr Dziewickich - odważnych, bardzo uczciwych komunistek - oświadczyła, że mdło się jej robi na widok orderów wojennych, dyndających na mundurach oficerów. Co. prawda, były to ordery otrzymane za walkę o niepodległość, ale nie o to chodzi. Ważne jest wiedzieć o skrajnościach, do których posuwała się wtedy jawna krytyka.

Kiedy przyjechał do Warszawy minister Włoch faszystowskich Dino Grandi, Antoni Słonimski obwieścił o tym od siebie w „Wiadomościach Literackich” mniej więcej w tym guście: przyjechał Minister Grandi; uwaga: Minister to nazwisko; Grandi - zawód.

Nie wolno lekceważyć tych objawów tak zwanego sobiepaństwa, bo muszą one wpłynąć na wyrok historii. Za Brześć i Berezę odpowiedzialność ponoszą ówczesne rządy oraz ich zwolennicy, ale nie społeczeństwo w całości, czego można dowieść, bo w imieniu inaczej myślących protestowała prasa opozycyjna różnych odcieni.

Każdy przyzwoity sąd i każdy szanujący się historyk pyta o materialne dowody prawdy. Okres przedwojenny pozostawił mnóstwo materiału przydatnego obronie. Pełno go w gazetach i periodykach - od „Robotnika” po „Wiadomości Literackie” - na samym początku niepodległości „Przedwiośnie” zaświadczyło, że literatura nie podejmuje się roli klaki. Gdyby działa się inaczej „Czytelnik” nie zdołałby wydać już tutaj wspomnianych „Polskich dróg”, dziejopisarstwo mogłoby twierdzić, że cały naród podzielał wówczas pogląd pewnego pułkownika kawalerii, wyrażony podczas procesu brzeskiego, a mianowicie twierdzenie, że stanowisko służbowe jest miernikiem inteligencji.

W tak zwanym „minionym okresie” większość Polaków nie wierzyła w sprawiedliwość wyroków zapadających w wielu procesach politycznych. Wyobraźmy sobie teraz historyka, który wydrukuje taką tezę w roku - dajmy na to - 2013. Przecież zapytają go niewątpliwie, a na czym szanowny pan doktorant opiera swój sąd? Na wynikach procesów rehabilitacyjnych przeprowadzonych później, w zmienionej koniunkturze politycznej? Na

pamiętnikach spisanych po latach (i przeważnie według sformułowanej przez Słowackiego recepty: „głupi, o sobie dobrze mów”). Gdzie są materialne dowody prawdy powstałe współcześnie wypadkom, gdzie takie chociażby „J'accuse!” Zoli?

Dziarscy, każdemu skinieniu posłuszni żurnaliści w osobliwy sposób przysługują się historii własnego kraju. Nic nie pomoże gęba pełna ojczyźnianych, patriotycznych wykrzykników! Odwrotnie - zaszkodzi wybitnie.

Twierdzenie, że ludzie w Związku Radzieckim dopiero od Nikity Chruszczowa dowiedzieli się o zbrodniach Stalina, oficjalnie przyjęte to twierdzenie ciężko zniesławia tamtejsze narody, zwłaszcza rosyjski. Z cichych rozmów z tymi ludźmi wiadomo nam, ex - mieszkańcom Wschodu, że bardzo liczni spośród nich wiedzieli, nie godzili się, moralnie potępiali, lecz byli bezsilni. Niechże kto spróbuje dowieść tego naukowo...

Antoni Słonimski napisał przed wojną: „Bardzo proszę pamiętać, że ja byłem przeciw”. To zastrzeżenie usprawiedliwia nie tylko autora, lecz po części i epokę, w której można było wydrukować takie słowa.

xxx

Wcale nie żałuję, żeśmy bywali krytyczni, rozwichrzeni i sobiepańscy. Oglądając się wstecz, dziś dopiero zdaję sobie za to w pełni sprawę, jak bardzo byliśmy uprzywilejowani.

Należę do tego pokolenia Polaków, które naukę w szkole średniej, studia uniwersyteckie i pierwsze lata pracy zawodowej odbyło w kraju zupełnie niepodległym - i pomimo wszystko - dziedziczącym dorobek europejskiego liberalizmu. Na ambicjach i pretensjach władzy politycznej świat się wtedy ani nie zaczynał, ani nie kończył. Mogłem sobie meblować własny mózg w ogóle nie zwracając uwagi na jej zechcenia i grymasy. I po naszej, „jakby przez Boga zapomnianej” polaci kontynentu jeszcze się snuł poblądły cień Michała de Montaigne. W Wilnie wcielił się nawet niejako w postać mego starszego kolegi, ziemianina z pochodzenia, ascety - abnegata z obyczajów, świetnego intelektualisty dr Jerzego Ordy, który świadcząc przed sądem oznajmił precyzyjnie, że jest „anarchistą w duchu św. Augustyna”. Przy innej okazji głosił publicznie, iż „Przepióreczkę” Żeromskiego można wystawiać już tylko w teatrach kukielkowych, bo idealizm jej autora stał się zupełną egzotyką w Polsce „mocarstwowej”. Trochę się pomylił, czego dowiodła podczas okupacji młodzież wychowana w tejże Polsce, ale nie o to chodzi. Zresztą ta młodzież umiała się zachować przyzwoicie między innymi dlatego, że nie przyzwyczajono jej do bierności, do której to nonkonformistycznej edukacji przyczyniali się właśnie tacy, jak Jerzy Orda.

Byłem początkującym, zielonym jeszcze studentem, gdy Tadeusz Boy - Żeleński rozpoczął wielką batalię prasową o „brązownictwo”. Myśmy chłonęli tę debatę i mnóstwo innych - od politycznych, w gazetach staczanych, poczynając i już nie wiem doprawdy, na czym kończąc. Praktyka, atmosfera dnia powszedniego przyzwyczajała do samodzielnego myślenia, nawet do zuchwalstwa w tej mierze. - Nie cenilem tego - wyznaję ze skruchą - że studiując dzieje wojen kozackich mogłem sobie swobodnie czytać zarówno Ludwika Kubalę, jak świeże prace historyków sowieckich.

Leona Kruczkowskiego nikt nie spalił na stosie, nie pozbawił nawet stopnia oficera rezerwy za „Kordiana i chama”, czyli za obrazoburstwo w zakresie dziejów walk powstańczych. Monarchistyczne „Słowo” pochwaliło autora, bo ono zawsze głosiło, że tylko ziemianie i szlachta liczą się w Polsce. Za pokrzywdzoną rzekomo historią naszą ujął się za to niejaki Andrzej Radek, który przyjechał sobie nad Wisłę w polityczne odwiedziny.

Rozpasanie trwało aż do wojny. Polskie sfery oficjalne sympatyzowały z białą Hiszpanią, zupełnie co innego pisał i ogłaszał w „Wiadomościach Literackich” Ksawery Pruszyński. I to jeszcze jak pisał! Kto był ciekaw spraw wschodniego sąsiada ten nie musiał wcale poprzestawać na filmach i powieściach. Mógł sobie przeczytać niewrogi, ironiczny tylko „Kreml na biało” Otmara - Bersona i dla równowagi entuzjastyczną rzecz Władysława Spasowskiego „ZSRR. Rozbudowa nowego ustroju”, wydaną w Warszawie w roku 1936, czyli już za rządów pułkowników.

„Dzień rekruta” Uniłowskiego, czy też inny w podobnym duchu utrzymany utwór spowodował, że zawodowym wojskowym zabroniono czytywać „Wiadomości Literackie”. Przyszedłszy do domku Elizy Orzeszkowej w Grodnie na jakiś inteligencki konwentykiel, przyłapałem miejscowego dowódcę piechoty dywizyjnej, pułkownika Furgalskiego - legionistę i brata legionowego bohatera, „Wyrwy” - na jawnym studiowaniu potępionego tygodnika.

- Cóż to pan pułkownik tak sobie lekceważy zakazy?

- E, panie! Kto by się przejmował idiotyzmami?

Pułkownicy też bywali u nas różni.

Znowu przewycięzać muszę wewnętrzne opory, bo niemiło pisać o sprawach oczywistych, udawadniać, że daleka od ideału Polska ówczesna nie doszła do totalizmu, obfitowała jedynie w takich, co radzi zaprowadziliby ten porządek „pod warunkiem zapewnienia w nim sobie totalnych wpływów”, jak to ktoś wywiódł na parę lat przed wojną. Nacierali bez ceremonii, to prawda. Nagonka „Małego dziennika” z Niepokalanowa wysiadała z radiowej rozgłośni wileńskiej Tadeusza Byrskiego i Czesława Miłosa, kara

polegała na przeniesieniu ich do warszawskiej centrali, na stanowiska lepsze, o szerszym polu pracy. W przerwie pomiędzy jednym zatrudnieniem a drugim Miłosz pojechał na wojaż zagraniczny, do Włoch. - O, jakże chętnie zgodzilibyśmy się dziś obaj z Kisielem na tego rodzaju prześladowanie!

W latach pięćdziesiątych usiłowałem się przyczynić do przypomnienia części prawdy dokumentalnej o Polsce „faszystowskiej”. Namawiałem listownie Marię Dąbrowską do wznowienia jej „Rozdroża”, ogłoszonego w roku 1937, książki walczącej o wykonanie reformy rolnej. Maria Dąbrowska oddaliła moją prośbę. Napisała mi, że nie chce przykładać ręki do dalszego oczerniania ziemiaństwa przedwojennego, warstwy i tak już dostatecznie oczernionej. - Stanowisko moralne piękne, ale... „większy Pan Bóg, niż pan Rymsza”. Znacznie więcej smoły poszło na odmalowywanie samej Polski przedwojennej niż na jej ziemiaństwo, któremu zresztą dano raczej stosunkowy spokój po wywłaszczeniu.

Podczas świąt wielkanocnych 1970 roku miałem sporo czasu na lekturę (do tego stopnia przejąłem się dziejami staropolskiej monarchii, że sam zachorowałem na podagrę, tak przynajmniej znajomi mówią). Przeczytałem wydrukowany w „Miesięczniku Literackim” fragment nowej powieści Andrzeja Kuśniewicza, który uchodzi za pisarza młodego, bo zaczął pisać bardzo późno, ale jeśli chodzi o wiek - jest o pięć lat starszy ode mnie. Forma nowoczesna, zainteresowania oraz diagnostyczne uproszczenia autora dotyczą między innymi filozoficznych konsekwencji łądowania człowieka na księżycu, fermentu wśród współczesnej młodzieży na Zachodzie, prawa zbrodniarzy wojennych do pełnej obrony przed sądami. To wszystko w początkowym zaledwie fragmencie powieści.

Zaraz potem przeczytałem świeżo wydany tom opowiadań, którego ukazanie się wzbudziło moje żywe zainteresowanie i sympatię. Znam i lubię autora, człowieka młodego nie sięgającego w ogóle wspomnieniami w epokę przedwojenną. Rzemiosło zupełnie dobre - język, plastyka postaci i scen, duża umiejętność wywoływania nastroju - jest również cechą bardzo cenna, to znaczy sztuka trzymania się w ryzach. Jeśli chodzi o gatunek, zaliczyłbym rzecz do fotografiki literackiej. Autor pisarsko przedstawia „opowieści zasłyszane” i nic zupełnie nie zapowiada, by kiedykolwiek zdobył się na zuchwalstwo mianowania siebie samego jednoosobowym trybunałem świata.

Moim zdaniem godności tej nie zapewnia ani biegłość w malowaniu czarnych obrazków w rozmaitych odmianach, ani literackie przetwarzanie teoretycznych werdyktów zatwierdzonych przez polityków (czym się zresztą ów młody literat wcale nie para).

Nie może zostać prawdziwym pisarzem czy publicystą ten, kto w głębi duszy nie jest samozwańcem. Uzurpacja tylko w dziedzinie polityki jest czynem podejrzanym, w literaturze

dopiero ona naprawdę nobilituje. Kto - jeśli łaska - był mocodawcą Woltera po jednej stronie kontynentu i Lwa Tołstoja po drugiej? Kto ich upoważnił do wyszydzania zastanych wartości i do ogłaszania własnych kodeksów? Kto dał młodemu Mickiewiczowi mandat na zakwestionowanie reguł artystycznych, ustalonych przez największe powagi europejskie?

Od czasów „polskiego października” stoczono u nas kilka starć słownych o zniesławienie, a chociażby tylko o prawne uregulowanie cenzury. Zawsze podejrzewałem kolegów o przesadny optymizm, teraz nabrałem w tej mierze zupełnej pewności. Nawet natychmiastowe zamknięcie tak zwanego urzędu kontroli nie otworzy przed literaturą polską wrót pomyślności. Jest dziś zupełnie inaczej niż było w latach czterdziestych, cenzura zdążyła się zdegradować na zło pośledniejszego stopnia. Od dawna już najgorzej nas gnębią skutki martwoty umysłowej, panującej w kraju od ćwierćwiecza. Młodzi poddani zostali kastracji intelektów.

Nie ma już szans na powtórzenie się casusu Tadeusza Borowskiego, który mając dwadzieścia cztery lata unicestwił, rozniósł w puch obozowo - okupacyjną hagiografię.

Czasy „polskiego października” uchodzą za okres wielkiego ożywienia umysłów. Ten słusznie zresztą szanowany renesans zaściankowy polegał w gruncie rzeczy na powtarzaniu prawd od dawna znanych, niczego zupełnie nowego wtedy nie powiedziano. Karierę zrobiło jedno z bojowych zawołań: „A prawo niechaj prawo znaczy, a sprawiedliwość - sprawiedliwość”. Niczego - rzecz jasna - nie wiedział o tej wzniosłej maksymie sędziego francuski, który - nagabywany przez Henryka IV o przychylny dla jakiegoś markiza wyrok - odrzekł zwięźle: dobrze, ja tu każę przynieść dokumenty sprawy i niech Wasza Królewska Mość sam sędzi.

Osobiście zajmowałem się w 1956 roku szerzeniem poglądu, że archimedesowego punktu oparcia dla koniecznej reformy należy szukać w porządnie funkcjonującym sejmie. Nadzwyczajna nowość, znana w Polsce co najmniej od dni Zygmunta Augusta. Przed wojną wyznawała ją opozycja, zwłaszcza ta lewicowa i liberalna.

W osiem lat po tym październiku nabrał znacznego rozgłosu List Trzydziestu Czterech. Najmłodszy z zamieszanych w aferę intelektualistów liczył sobie trzydzieści osiem wiosen. Wśród pozostałych przeważali ludzie starzejący się lub zupełnie starzy.

Chociaż skleroza żre mózgową korę,
pracuje jeszcze osłabiona głowa...

- śpiewać nam każe chlubnie znany krajowi autor „Opery za trzy lata”.

Stefan Kisielewski napisał kiedyś w felietonie: „Wilnian teraz wszędzie pełno, nadają ton”. Nie potrafię udowodnić, że to zdanie naprawdę powstało, bo je cenzura skonfiskowała,

proszę więc wierzyć mi na słowo. Wilnianie rzeczywiście dawali znać o sobie zarówno w rządzie jak w lesie oraz w ogniach pośrednich - w dyplomacji, w krajowej opozycji legalnej i na emigracji. Po ukazaniu się „Rodzinnej Europy” Miłosza słyszało się uwagi na temat prężności wileńskiego środowiska uniwersyteckiego. Wileńską grupę młodzieży komunistycznej otacza istna legenda. A nie zapomnijmy o zdolnych ludziach, których pochłonęły fronty i represje ze strony dwóch mocarstw. Spośród wspomnianego zespołu komunistów Dembińskiego rozstrzelali Niemcy, Skarżyński zmarł w sowieckim łagrze.

Sporo zdążyła zdziałać uczelnia obdarzona przez los dwudziestu równo latami żywota. Uniwersytet Stefana Batorego nie zaczął w roku 1919 od samego tylko nawiązywania do wspomnień, ożył od razu bo stał się jakby szczepionką Akademii Jagiellońskiej. Z niej przecież pochodził pierwszy rektor, Michał Siedlecki, z Krakowa przybyli Stanisław Pigoń i Feliks Koneczny, w Krakowie zaczynał pracę profesorską Wincenty Lutosławski, tam studiował Stanisław Kościółkowski. Odrośl przyjęła po duchowej macierzy jej charakterystyczną cechę - prymat szeroko pojętej humanistyki.

Wcale nie ubliżam pozostałym wydziałom, z naszego uniwersytetu wyszedł wybitny specjalista w dziedzinie fizyki jądrowej, profesor Henryk Niewodniczański, za moich czasów dopiero starszy asystent, bardzo popularny w Akademickim Związku Sportowym, „Kartuzik”. Tajemnica na tym polegała, że w Wilnie humanistyka nie zasklepiła się w ramach wydziału, noszącego jej nazwę, przenikała i inne.

Rektor Michał Siedlecki był zoologiem lecz także i pisarzem, interesowała go zarówno przyroda jak i sztuka wyspy Jawy. O specjalności Mieczysława Limanowskiego, czyli o geografii, należało laików pouczać, bo profesor słynął przede wszystkim jako teatrolog, bliski współpracownik Juliusza Osterwy i jego „Reduty”. Feliks Koneczny nie przypominał mola archiwalnego, pisywał również recenzje teatralne. Tym samym się zajmował chemik, profesor Sławiński, postrach studentów, dla długiej brody zwany „Bogiem Ojcem”.

W dziedzinie tak zwanych sił wytwórczych Wilno nie odznaczało się niczym specjalnym. Co prawda tuż przed oddaniem go Litwinom w roku 1939 władze sowieckie wywiozły do siebie wszystkie urządzenia fabryki radiodbiorników „Elekrit”, która po ponownym zmontowaniu gdzieś na wschodzie od razu zajęła w Związku Radzieckim pierwsze miejsce w swej specjalności. Ale do metropolii przemysłowych miasto nie zaliczało się żadną miarą, czym innym żyło. Prymat humanistyki skłonny byłbym zaliczyć do tych czynników, które sprawiły, że nie zmarnowało napiwku historii, to znaczy dwudziestolecia, międzywojnia.

Konserwatyzm, zamięłowanie do zastoju, to był spadek po poprzedzającym owym stuleciu, galwanizowany w dodatku świeżym lękiem. Wcale nie bez powodzenia działały przeciwko niemu prądy żywe, nie wynikało jednak z żadnej rewolucji przemysłowej, której po prostu nie było.

VI

W czerwcu 1929 roku przyjechał do nas w odwiedziny dobry znajomy rodziców p. Michał Sokołowski, wówczas senator z ramienia Polskiej Partii Socjalistycznej. Znał on dobrze Stany Zjednoczone, gdzie rozpoczął działalność polityczną, ale w Wilnie był po raz pierwszy w życiu, ruszył więc zwiedzać je. Na Antokolu, wokół słynnego kościoła Piotra i Pawła, odbywał się właśnie doroczny jarmark, „Pietruk”.

- Za takie ceny trzeba ludzi do aresztu zamykać - oświadczył p. Sokołowski po powrocie.

Na „Pietruka” sprzedawało się przede wszystkim tkaniny, których kolor, wzór geometryczny i faktura świadczą o dawno zapomnianych rozdziałach historii. Tkactwo wileńskie jest zadziwiająco blisko spokrewnione ze skandynawskim. Profesor Cezaria Baudouin de Courtenay - Ehrenkrautzowa zauważa celnie, że pewien opisany przez Selme Lagerloff siwy chodnik norweski ma liczne rodzeństwo w domach i chatach Wileńszczyzny.

Za te piękne tkaniny, mozolnie wykonane przez żonę w zimowe wieczory, przy naftowej kopcilce albo i przy łuczywie, żądał chłop maleńkich pieniędzy i był rad, jeśli je otrzymał.

Oburzenie p. Sokołowskiego przypomniało mi się żywo jesienią 1940 roku. Pracowałem wtedy we wsi Angleniki jako pomocnik murarza przy wykańczaniu budynku szkoły, rozpoczętego jeszcze za polskich czasów. Zaliczałem się do tak zwanych stachanowców. Słowo to w żargonie fachowym oznaczało robotnika - inteligenta, który tym się odznacza, że nic nie umie. Wraz ze mną dzielił wspomnianą godność pewien ex - prokurator.

Kwaterowałem u wiekowego gospodarza. Nie umiał on określić, do jakiej narodowości należy, władał za to czterema językami - białoruskim, litewskim, polskim i rosyjskim. Któregoś wieczoru wskazał mi ruchem podbródka młodą kobietę, która przeszła za płotem.

- Ot jej to dobrze było za Polakami...

- Czemuż to jej właśnie?

Okazało się, że małżonek - nieboszczyk odslugiwał wojsko w 5 pułku piechoty w Wilnie i przypadkiem stracił życie na strzelnicy czy też na rzutni granatów. Zdarzało się, artylerzystom częściej zresztą niż żołnierzom z innych rodzajów broni.

- Ot i jej wyszła potem marytura, dziewięćdziesiąt złotych w miesiąc. Nie żart, pan!

Myślę, że nie żart, skoro danie barowe w przyzwoitej restauracji wileńskiej kosztowało pięćdziesiąt groszy. Gotowy pieniądz co miesiąc na wsi, przy własnym zagonie i jakim takim dachu nad głową! Niewiasta musiała żałośnie opłakać wrzesień 1939 roku, a mnie po wysłuchaniu tej historii zrobiło się jakoś gorzko.

W wileńskich kołach sądowniczych krążyła opowiadka, której skrót ciśnie mi się na maszynę.

Znany w mieście adwokat podjął się obrony pewnego młodego Żyda, oskarżonego o szantaż. Mecenas niezbyt poprawnie mówił po polsku, litwaczył:

- Wysoki Sądzie! Wcale nie przeczę winie oskarżonego, ale przyjrzyjmy się jemu. Oskarżony jest synem właścicielki największego magazynu w mieście Iwju. Obrót dzienny największego magazynu w Mieście Iwju wynosi trzy złote, a w dniu targowe sięga czasem złotych dziesięciu. Oskarżony nie widział dla siebie widoków, ale czytał to, co piszą w gazetach. W kioskach można kupić i „Asa” i „Tajnego dedektywa”. Stamtąd oskarżony dowiedział się, jak w Ameryce gangsterzy szantażowali milionera Vanderbildta. Oskarżony, syn właścicielki tego największego magazynu, przeczytał i zadał sobie pytanie: kto jest w mieście Iwju Vanderbildt? Vanderbildt w mieście Iwju jest pan kierownik szkoły powszechnej, on co miesiąc otrzymuje pensję całych dwieście dwadzieścia pięć złotych. Oskarżony dopuścił się potem próby szantażu, którą udaremniła nasza dzielna, nasza niezawodna Policja Państwowa. On jest winien, ale - Wysoki Sądzie! - ja przypomnę, że jakiś czas temu był sądzony brat oskarżonego, też syn właścicielki największego magazynu w mieście Iwju, który też nie widział przed sobą widoku. I on poszedł do koszary ułańskiej i rozrzucił ulotki komunistyczne. To ja się pytam Wysokiego Sądu, co jest lepiej?

Zapał podobno łagodny wyrok i to z zawieszeniem. Si non e vero...

Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny Kazimierz Kieniewicz, kolega - speaker z radia wileńskiego, opowiadał mi, co się przytrafiło u jego krewnych, pp. Puttkamerów w historycznych Bolcienikach. Niedzielne popołudnie, salon, kulturalny dyskurs, cienka herbatka w zabytkowej porcelanie, skąpo postnych ciasteczek. Otwierają się drzwi i przed panem domu staje kamerdyner w liberii:

- Etykiet jest, dziewięć pałków w koronie jest, a zryć nie ma co? Ja odchodza!

Bieda gniotła Wileńszczyznę, kraj rolniczy, który w ówczesnych, sumiennie opracowywanych i publikowanych statystykach pod każdym względem rolniczym zajmował ostatnie miejsce, szedł po Nowogródzkim i po Polesiu nawet. Słaba pociecha płynęła ze sprawozdań, odnoszących się do czasów o kilka zaledwie lat wcześniejszych od daty mego przyjazdu do Wilna:

„Mieszkańcy byli dziesiątkowani, po części przez głód, srożący się zwłaszcza w pasie przyfrontowym, przede wszystkim w powiatach Oszmiańskim i Święciańskim, po części przez choroby i wojnę. Zapanowały anemia, skarłowaciałość, kurza ślepotą; u dzieci tuberkuły, rachityzm i epidemiczny tyfus plamisty... Całe gminy, o spalonych dziesiątkach wiosek, przestawały istnieć; miasteczka poznikały z powierzchni ziemi. Brak ziarna na siew,

trudności transportu, niedostateczna ilość inwentarza i narzędzi rolniczych potrzebnych do uprawy kilkuletnich odłogów oraz wyczerpanie fizyczne ludności i jej zdemoralizowanie czyniły odbudowę kraju niesłychanie trudną”. „Wilno i ziemia wileńska”, (t.I, wyd. Wilno 1930, str.21 - 22).

Zaopatrzeni w straszne skutki drugiej wojny światowej skłonni bywamy mniemać, że pierwsza przypominała sielankę. Zupełnie tracimy z oczu, iż zwalczaniu jej następstw nie służyła żadna nowa technika. Nie wynaleziono wtedy antybiotyków, ani DDT dla tępienia wszy tyfusowych, o koncentratach witaminowych nikt nie słyszał.

Poprawiło się, zaczynało być względnie znośnie, praca na roli opłacała się gospodarzowi. W tym czasie, gdy odwiedził nas senator Sokołowski, w dobrze mu znanych Stanach Zjednoczonych zanosilo się już na zawieszenie wypłat przez tysiące banków, nadciągał wielki kryzys, najstraszniejsza z katastrof gospodarczych w dziejach świata. Miała ona przygnieść do ziemi rolniczą przeważnie Polskę, skłonić wielu jej mieszkańców do ocen skrajnych i pomysłów wielce radykalnych.

Trzeba było jeszcze trochę poczekać, aż świeżo poznane fakty pozwoliły na ustalenie właściwych proporcji.

Pewnej nocy październikowej 1939 roku w miasteczku Mickuny na Wileńszczyźnie, podsłuchano przypadkiem rozmowę dwóch żołnierzy sowieckich, którzy musieli czuć do siebie nie lada jakie zaufanie, skoro jeden półgłosem klarował drugiemu:

- Obolała nas propaganda! Wied że gdzieś priamo Amierika...

xxx

Od opisów nędzy kraju zaczynają się chyba z reguły wszelkie relacje poświęcone wileńskiej grupie młodzieży komunistycznej oraz jej przywódcy, Henrykowi Dembińskiemu. Bieda była, sferom rządowym brakowało koncepcji zaradczych. Temu nikt nie przeczy. Wicepremier Eugenisz Kwiatkowski opowiadał kiedyś przy mnie - już po wojnie, rzecz jasna - że w samych początkach wielkiego kryzysu rada ministrów doszła do wniosku, iż nie może on zbyt uderzyć Polski, kraju rolniczego. Tylko jeden z członków gabinetu głosił co innego, mianowicie potrzebę wielkich robót publicznych, forsowania koniunktury przez państwo, nie zmniejszania, lecz powiększenia jego wydatków. „Ale ja się na tym nie znam” - dodał na zakończenie i nie upierał się przy swoim. Tym jedynym, ustępliwym niestety oponentem był Józef Piłsudski, minister spraw wojskowych.

Dopiero pod sam koniec międzywojnia zabrano się u nas, wcale zresztą energicznie, do inwestycji naprawdę znacznej, do spiętrzenia Wilii w Turniszkach. Przyglądałem się później budowie tamy w Solinie, która to robota dała imponujące wyniki, aczkolwiek San w górnym biegu ledwie ciurkał latem między kamieniami. Obliczono, że odpowiednio ujęta Wilia, rzeka dość duża i pełnowodna, zaopatrzy cały region w bardzo tani prąd. Pokazała co potrafi, na przedwiośniu 1931 roku zalewając spore połacie miasta i sam nawet Plac Katedralny. „Czynniki” zareagowały na to zdecydowanie - długie, banalne tamy przeciwpowodziowe bezpowrotnie zniszczyły sielankowy urok wybrzeży antokolskich i innych także. Przy okazji wzrosło trochę zatrudnienie.

Profesor Mieczysław Limanowski uparcie domagał się w prasie gospodarczej aktywizacji Dźwiny, jedyne bliskiego okna dla kraju, fatalnie ściśniętego szczelnie zamkniętymi granicami - litewską i sowiecką. Kolejna z „idei” generała Lucjana Żeligowskiego polegała na głoszeniu hasła „ziemia nasza powinna wyżywić i „odziać”. Zasłużony wojskowy forsował uprawę lnu (i gwoli dobrego przykładu ubierał się zawsze w samodziały). Wcale to nie było naiwne, zważywszy, że Litwini robili zupełnie dobry interes na angielskim zainteresowaniu rolniczą i hodowlaną produkcją krain bałtyckich, wcześniej zyskali nawet tą drogą polityczne poparcie Wielkiej Brytanii w sporze z Polską o Wilno. Anglik jadał litewskie bekony, litewski żołnierz chadzał w mundurze uszytym z angielskiego sukna. Gdy wybuchła wojna i Kriegsmarine zablokowała Bałtyk, szkło i gwoździe stały się skarbami nad dolnym Niemnem, bo przemysłu na Litwie tak dobrze już nie było. Za to jej spółdzielczość spożywcza osiągnęła w „dwudziestoleciu” poziom prawie duński i ona podpierała kraj, który dopracował się rzeczy zasługujących na szacunek. - Głośno w Polsce od kilku miesięcy o selekcji, preferencji, o koncentracji wysiłków na obranych działach pracy. Coś mi się wydaje, że „burżuazyjna” Litwa - i nie ona jedna wcale. - wpadła na te zbawienne pomysły niepokojąco wcześniej.

Wdałem się w te sprawy nieśmiało i na wyrwyki, bo wcale nie jestem specjalistą od gospodarki. Chciałem tylko przypomnieć, że ludzie mieli rozmaite pomysły wygrzebywania się z jamy, w którą kraj z natury ubogi wepchnęła surowa historia. Jedni głosili więc taki czy inny reformizm, mało efektowny program stopniowego naprawiania istniejącego stanu rzeczy. Inni, nie bez romantycznych nut w tonie, głosili konieczność zburzenia systemu i przemiany radykalnej. „Szumią traktory, krają ugory...” i tak dalej.

Dr Jerzy Orda zdecydowanie sympatyzował z wileńską lewicą akademicką, pisywał później w komunizujących tygodnikach „Po prostu” i „Karta”. Ale ani na jeden moment nie

wyrzekł się nigdy prawa do własnego zdania. Przy jakiejś okazji ogłosił drukiem opinię, którą cytuję niestety z pamięci, ręką jednak za prawdziwość treści:

- Całkowita przebudowa ustroju musiałaby coś niecoś kosztować. To „coś niecoś” ściągnęłoby się ze społeczeństwa.

Podczas pewnej publicznej dyskusji w Grodnie mundurowy mówca, major - lekarz nazwiskiem Krzywiec, opowiadał eleganckim słuchaczom o spostrzeżeniach poczynionych na odbytych tuż przedtem manewrach. Zobaczył mianowicie wiejską babinę, która okładała pięścią wnuka.

- Czegóż ty, ciotko, jego bijesz?

- A bo on rozpustny bardzo, kartofli nie chce jeść bez soli. Tak miejscami wyglądało społeczeństwo, z którego „ściągnęłoby się coś niecoś”, w kraju nie posiadającym na własność żadnej Syberii ani kopalni, złota do pokrywania kosztów niekontrolowanej radosnej twórczości. (Ani - dodać trzeba wybiegając w odległą przyszłość - prezentu dziejowego w postaci znakomicie zagospodarowanych i opuszczonych przez poprzednich właścicieli ziem poniemieckich).

Jeśli o mnie chodzi, nie parłem się wtedy publicystyką, więc i nie wtrącałem do debat, zachowując jednak w poglądach zdecydowaną rezerwę. Wspomnienia z dzieciństwa pouczyły mnie dobrze o pozaekonomicznych kosztach rewolucyjnych uniesień.

xxx

Światło księżyca przenikało przez korony sosen, sięgało w głąb wąwozu, powierzchnia bystro szumiącej rzeczki Mery migotała srebrem. Siedzieliśmy z Henrykiem Dembińskim na krawędzi jaru. Obaj mieliśmy na sobie polowe mundury piechurów, ozdobione na naramiennikach naszywkami starszych strzelców, na kołnierzach zaś rozetkami szkoły podchorążych. O paręset metrów za nami słabo szumiał drewniany barak, w którym nasza kompania mościła się do snu, ułani w swoim rejonie zakwaterowania skończyli śpiewać modlitwę wieczorną, powracała cisza. Jeśli ludzie nie hałasują, na olbrzymim obszarze wojskowego obozu ćwiczeń na Pohulance zawsze panuje posepna cisza, bo dziwnie mało ptactwa w tamtych stronach. O kilka kilometrów w górę Mera przepływa przez Zułów, dawną majątność rodu Piłsudskich, miejsce narodzin marszałka Polski, Józefa. Do parafialnej wsi Powiewiórka, w której go ochrzczono, wiedzie szeroki piaszczysty szlak, wygradzony szpalem ogromnych, zgrzybiałych brzoź, zwany Traktem Napoleońskim. w pobliskich

Święcianach pokazywano pokrzywiony ze starości dworek. Z jego balkonu cesarz miał podobno dokonać przeglądu maszerujących na wschód oddziałów Wielkiej Armii.

Niezbyt daleko od miejsca, w którym siedzieliśmy, Mera kończy swój bieg, wpada do jednej z najpiękniejszych rzek, jakie w życiu widziałem, do płynącej ogromną doliną bystrej Żejmiany o wodzie krystalicznie czystej.

Dembiński powrócił był właśnie z krótkiego urlopu, opowiadał mi nowości od kilku lat aż za dobrze znane. Mówił o rosnącym bezrobociu, śląskich biedaszybach, o fatalnie rozdziawionych „nożycach cen”, czyniących pracę chłopca zajęciem zupełnie nieopłacalnym. Przewidywał nieuchronną rewolucję.

- Znowu kobiety szukać będą dla dzieci jedzenia po śmietnikach - mówił nie ścisząc głosu - ale innej drogi nie ma.

Melodia była mi znana, ale wtedy akurat wplątał się w nią zupełnie nowy ton. Rzec działo się w maju 1933 roku, od trzech miesięcy władał Niemcami Adolf Hitler.

Na Pohulanę pomaszerowaliśmy niemal wprost z wielkiej defilady, podczas której po raz ostatni widziałem Józefa Piłsudskiego. Pochylony, bardzo już postarzały, w chłodny dzień kwietniowy przez długie godziny stał na trybunie, zanim ulicą Mickiewicza przewaliła siła, równająca się chyba korpusowi wojska. Musiało mu dobrze zdrętwieć ramię podnoszące się do daszka w odpowiedzi na szablowy salut każdego dowódcy kompanii, baterii, szwadronu. Jedyny raz w życiu usłyszałem wtedy przed defiladą komendę: „bagnet na broń!”

Historyk zachodnioniemiecki, dr Hans Roos, zaliczyć miał w przyszłości ową uroczystość do skierowanych przeciwko Hitlerowi wojennych prowokacji Piłsudskiego. Zwrócił uwagę na znamienne koncentrację siły ruchliwej, czy kawalerii.

Okazji do defilady dostarczyła rocznica zdobycia Wilna przez wojska polskie, mianowicie rocznica czternasta, jubileusz dość osobliwy. Zwieziono do miasta wszystkie jednostki, które uczestniczyły we wspomnianej operacji. Oprócz miejscowych dwóch dywizji piechoty i brygady jazdy zjawił się więc I pułk szwoleżerów, 11 ułanów oraz inne regimenty, których już nie pamiętam. Wielkie skupienie wojska na terenie Okręgu Korpusu, graniczącego z Prusami Wschodnimi. W 1933 roku kawaleria znaczyła bez porównania więcej niż w sześć lat później, niemieckie siły pancerne jeszcze nie istniały, Hans Guderian dopiero przekonywał, że wyposażona w radio maszyna może coś niecoś samodzielnie znaczyć w walce.

Wybijając - ramię w ramię z Dembińskim - paradny krok przed Piłsudskim ani mogłem przypuścić, że w czternaście lat później napiszę artykuł „Wojny których nie było”, będą w nim głosić, iż Polska zawczasu proponowała działania militarne, mogące uratować

Europę. Jeszcze mniej nadawało się do przewidzenia, że prasa polska zareaguje na ten mój wywód takim wrzaskiem, jakbym się zabrał do sprzedawania ojczyzny lubej za judaszowe srebrniki.

W czerwcu tego 1933 roku niektóre oddziały pułków naszej I dywizji zostały zakwaterowane osobno, postawione w stan pogotowia. Mówiło się, że pojedą do Gdyni na doroczne „święto morza”.

Nastrojów w wojsku nie trzeba było wówczas rozszyfrowywać, wszystko było widoczne gołym okiem. Szkolenie w obronie przeciwlotniczej zaczęło się od zapoznania nas z wyglądem samolotów poszczególnych państw europejskich - od Anglii po Sowiety. Prowadzący wykłady porucznik Janusz Makarczyński powiedział przytem zwięźle:

- Najlepiej macie sobie zapamiętać sylwety maszyn niemieckich, bo nie ma żadnej wątpliwości, że właśnie z Niemcami będziemy się bić.

Oficer niskiego stopnia mógł mówić w podchorążówce tylko to, czego chciało wyższe dowództwo.

Poszedłem do wojska jesienią 1932 roku, czyli mniej więcej wtedy, gdy w Brandenburgii odbywały się ostatnie manewry Republiki Weimarskiej. Zaproszono na nie wszystkich akredytowanych w Berlinie przedstawicieli wojskowych - z wyjątkiem polskiego. Z Moskwy przybył marszałek Związku Radzieckiego Tuchaczewski, a liczne zdjęcia do dziś przypominają moment powitania go przez prezydenta Rzeszy, feldmarszałka von Hindenburga. Dojście Hitlera do władzy przerwało na czas pewien tę miłą sielankę, doraźnie stworzyło możliwości działań zabezpieczających... takich albo innych. Wojować wraz z sojusznikami zaraz, albo się dogadać, by nie pójść wkrótce samotnie na pierwszy ogień.

W szczególnym momencie przyszło mi ubrać się w mundur. Pewne rzeczy z punktu widzenia niektórych - nie moich oczywiście - teorii dotychczas proste, takimi być właśnie przestały.

Było skwarne południe majowe, piaski Pohulanki pachniały suchym kurzem, kiedy podczas przerwy obiadowej pełniący służbę kolega zawiadzał mnie do kancelarii. Zastałem w niej szefa kompanii, starszego sierżanta Józefa Jończyka oraz dwóch wachmistrzów żandarmerii. Widzieliśmy ich niedługo przedtem, jak świecąc żółtymi sznurami pomału brnęli przez upały od strony, w której kwaterowała kawaleria.

- Potraficie to przeczytać? - powiedział starszy z „kanarków”, wyciągając w moim kierunku jakiś sfatygowany papier. Wydobył go z torby, w której znajdowało się ich więcej.

Była to odbita na powielaczu ulotka komunistyczna w języku białoruskim. Dla ludzi pochodzących z zachodu czy z południa Polski alfabet wschodni był równie zrozumiały jak

chiński, przyszedli więc do podchorążówki szukać uczonego w piśmie. Moją zaś biegłość w rosyjskim znali i cenili zarówno koledzy jak przełożeni, rozporządzałem bowiem sporym zapasem anegdot o popach, kupcach, Ormianach i oficerach kozackich.

Przeczytałem głośno nagłówek i parę pierwszych zdań.

- To już jasne, oddajcie, możecie odmaszerować - powiedział żandarm, skwapliwie zabierając mi papier.

Trochę mnie rozśmieszył ten jego pośpiech, obawa przed zakażeniem kandydata na pana podchorążego i na jeszcze wyższe godności. Zdażyłem jednak zobaczyć w ulotce zwroty mało przyjazne dla polskich oficerów, ich właśnie wskazujące jako prawdziwego wroga.

Przypuszczam, że Adolfa Hitlera - który na mocy „ustawy o pełnomocnictwach” od dwóch miesięcy sprawował wtedy w Niemczech władzę dyktatorską - nie zmartwiłaby przesadnie lektura tej ulotki. Przy użyciu znanych powszechnie metod zapobieżono skutecznie kursowaniu podobnych papierków w podległych jemu koszarach.

Zaczynała się gra już nie o posiadłości czy stroje, lecz o życie lub śmierć narodów naszego regionu Europy. I nikt, kto wtedy był pełnoletni, nie może się uchylić od odpowiedzialności za to, którą ze stron popierał **r e a l n i e i o d p o c z ą t k u**.

Deklamacje na temat „narastającej groźby faszyzmu” traciły na znaczeniu, a to tym bardziej, że przemieszkujący na Kremlu patron deklamatorów gotów był każdej chwili dogadać się z Hitlerem Nieoczekiwanej i to przez własnego autora nieoczekiwanej wymowy nabrały za to słowa bolszewickiego poety:

Gadaniom waszym zróbcie pauzę,

Głos ma towarzysz Mauzer.

Przenośnia przemówiła językiem ścisłym. Armia polska uzbrojona była w karabiny typu „Mauzer”, niemieckie także.

xxx

Henryk Dembiński urodził się w Irkucku i jako taki uchodził w Wilnie za swojego człowieka. Irkuck leży bowiem na wschód od dawnej granicy zachodniej Wielkiego Księstwa Litewskiego. Indygenat młodego człowieka został zresztą zatwierdzony na szczeblu najwyższym.

Przy Zaułku Montwiłowskim 9 miał posiadłość Adam Piłsudski, człowiek stroniący od polityki i władzy, łagodny, delikatny w obejściu, jakby nieśmiały - istne zaprzeczenie ponurego brata. Jednorodzinny, stykający się ścianami z sąsiednimi kamieniczkami domek

miał dwa pokoje na parterze i trzy na piętrze, pomieszczenia dla służby nie posiadał wcale. Marszałek często zatrzymywał się u brata, lubił wtedy siadywać we frontowej izbie parteru na staroświeckiej kanapie z wałkami. Znam te szczegóły, bo mąż mojej siostry, Wiesław Brzozowski (Włóczęga z przydomkiem Padło) był po kądzieli spokrewniony z tą rodziną.

Zagłębiony we wspomniany mebel, zgarbiony jak zwykle i nasepiony, przyjął raz marszałek delegację prorządową młodzieży akademickiej. Ze zwykłą swadą mówił Stefan Jędrychowski o tym, że w Wilnie najbardziej bruździ endecko element napływowy, warszawski.

- A pan nam skąd? - zapytał nagle słuchacz. Okazało się, że z Warszawy.

- A pan skąd? - Piłsudski przeniósł wzrok na Dembińskiego.

- Z Irkucka.

Marszałek aprobująco skinął głową.

W tym to Irkucku Dembiński - ojciec, z zawodu maszynista kolejowy doszedł do wniosku, że nie może prowadzić transportów wojskowych podczas wojny z Polską i dostał się za to do więzienia. Dwunastoletni syn zanosił mu tam co dzień jedzenie.

- Wchodziłem właśnie na schodki jakiś zamyślony - opowiadał mi Henryk - kiedy raptem dostałem silne pchnięcie kolbą w piersi. „A ty kuda leziesz, burżuaznyj szczenok?” - warknął wartownik Henryka Dembińskiego znałem już podczas studiów, aleśmy się wtedy nigdy do siebie nie zbliżyli. Głosowałem nań zawsze przy wyborach do Bratniej Pomocy, słuchałem pilnie jego przemówień i tyle tylko. Zdobywał teren bojowo, miał wielu przysięgłych zwolenników i równie chyba liczną falangę zdecydowanych nieprzyjaciół. Był takim sztandarem, co gra jednocześnie rolę płachty na byka. C etait quelqu un, wątpić nie można. Umiał ludzi fascynować, zniewalać urokiem osobistym, urodą męską, brzmieniem głosu, błyskotliwością umysłu. Uznać go pewnie trzeba za najwybitniejszą indywidualność wśród polskich komunistów nie tylko krajowego chowu. Smętnie mi się robi, kiedy porównuję jego sposób ujmowania spraw z nudnym, banalnym gładzeniem rozmaitych mężów stanu wymagających dziś od społeczności zupełnego posłuchu. Obawiać się jednak należy, że i on upodobniłby się do nich, gdyby się włączył w rutynę systemu, dotkniętego sklerozą. Cóż po talencie oratorskim tam, gdzie obowiązuje metoda odczytywania przemówień?

Zapalał się bardzo, perorując, lubiał cycerońskie gesty. Kiedy się dobrze rozgrzał, nad lewą bodaj brwią - jakże zawodzi pamięć! - nabrzmiewała mu niewielka, pozioma, wrzecionowego kształtu wypukłość. Miał w tym miejscu wrodzony defekt - znamię - szparkę

w czasce. Patrząc z bliska widziało się niekiedy wyraźnie rytm pulsu. I właśnie w to swoje punctum minimae resistentiae musiał się razu pewnego skaleczyć krawędzią puszki od maski przeciwgazowej. Krew popłynęła obficie, prowadzący ćwiczenia oficer odesłał go natychmiast do lekarza pułkowego.

Jakże żywo, na zasadzie kontrastu, przypomniał mi się Henryk Dembiński, gdy w marcu 1968 roku oglądałem na ekranie telewizora wystąpienie kilkorga członków ZMS. Grupa sympatycznie wyglądających młodych ludzi o minach programowo zatroskanych dzieliła się uwagami na temat zabłąkanego tłumu kolegów i radziła nad tym, jak zdobyć przywództwo. - O świecie, świecie! ... tyle godzin obowiązkowego „szkolenia politycznego”, a nikt widać nie pouczył tej młodzi, że przywództwo się zdobywa, ale się o tym zawczasu nie gada. U krótkiego boku stołu zasiadał przed obiektywem telewizji pan całkiem już dojrzały, taki około czterdziestki, zatroskany także i skupiony. Widocznie czuwał on nad prawidłowym przebiegiem dyskusji młodocianych kandydatów na przywódców.

Talent i żrąca ambicja nie wystarczyłyby Dembińskiemu. On nie powiełał i nie propagował instrukcji żadnych starszych panów, nikt go za rączkę nie prowadził, nie ostrzegał przed potknięciem. Każdy z jego zwolenników wiedział, że Henryk Dembiński głosi poglądy własne, że gotów jest osobiście prowadzić, iść wbrew autorytetom. Tak się przynajmniej rzeczy miały za czasów, które tu przedstawiam, to znaczy w Henryka Dembińskiego dobie heroicznej, zdobywczej. Dzieje adiastacji talentu mniej mi są znane.

O człowieku tym napisano wyjątkowo pokaźną ilość bzdur. Hagiografowie szczególnie sobie umiłowali okres służby wojskowej, który w ich oczach staje się czymś w rodzaju ścieżki męczeńskiej. Wydało mi się więc słuszne nie żałować miejsca, bo wiem coś niecoś na wspomniany temat. Odbyliśmy tę służbę do ostatniego jej dnia razem, w ścisłym tych słów znaczeniu ramię przy ramieniu, bo byliśmy jednakowego wzrostu. Ileż to razy panowie kaprale i sierżanci” mierzyli nas starannie! Wynik był ciągle ten sam: po 172 centymetry u każdego i ani milimetra różnicy. Byliśmy najniższymi żołnierzami I plutonu kompanii.

Początkowe kilka dni służby odbyliśmy jednak całkiem osobno. Dembiński otrzymał był bowiem przydział do podchorążówki w Zambrowie, skąd niemal natychmiast przeniesiono go do nas, do Dywizyjnego Kursu Podchorążych przy 5 pułku piechoty Legionów w Wilnie.

W Zambrowie przytrafiła mu się przygoda, o której mi niezwłocznie opowiedział, bo poczucie humoru miał nie byle jakie.

Zaraz po przybyciu do koszar stawało się do przeglądu lekarskiego. Odprawił tę ceremonię i nagi jak go Pan Bóg stworzył szedł już ku drzwiom, kiedy eskulap wojskowy coś sobie przypominał.

- Wróć! To wy się nazywacie Henryk Dembiński?

- Tak jest, panie kapitanie.

- To wyście do papieża pisali?

- Tak jest, panie kapitanie.

- W takim razie służba w wojsku wam znakomicie zrobi. Odmaszerować!

To przeniesienie na samym początku służby z jednej podchorążówki do drugiej, wypadek w wojsku ówczesnym zupełnie niecodzienny, świadczy o sprawach ważnych. Dembiński już wtedy był osobistością sławną, przez prasę prawicową oskarżaną o komunizm. I oto władze wojskowe nie tylko nie starają się oddzielić go na okrągły rok od jego przyjaciół, zapędzić na odludzie, lecz robią coś wręcz przeciwnego - zabierają go z zambrowskiego zaścianka i przenoszą do Wilna do uniwersyteckiego matecznika, w którym zdobył sławę. Przy okazji każdej przepustki autobus mógł go zawieźć spod samej bramy koszar prosto w ramiona kompanów, na takie same jak poprzednio zebrania i dyskursy. Nie trzeba było przesadnej przenikliwości by to przewidzieć. Należy natomiast przypomnieć, że nie poprzestawał na tego rodzaju spotkaniach. Jednak jako student bywał przyjmowany i mile widziany w domach rozmaitych notabli wileńskich, gdzie się spotykał z miejscową elitą rządową.

Nie wiem kto rozpoczął starania i kto wydał rozkaz przeniesienia. Wiem natomiast na pewno, że bez rozkazu właśnie rzecz nie mogłaby zostać załatwiona w żaden sposób.

Tak więc członkowie środowiska, którzy dziś głoszą, że już wtedy działali w katakumbach prawie, mylą się nieco. Oczywiście wyłącznie z powodu ułomności pamięci ludzkiej, bez żadnego względu na potrzeby propagandy politycznej.

Temu środowisku ułatwił funkcjonowanie ktoś z bortą generalską na rękawie.

Wojsko ówczesne nie znało instytucji gwardii, ale I Dywizja Piechoty Legionów i I pułk szwoleżerów de facto uchodziły za gwardyjskie. Decydował o tym ich legionowy rodowód. Interesująco wyglądał skład zwierzchności wojskowej w Wilnie.

I Dywizją dowodził generał Stanisław Skwarczyński, późniejszy przywódca Obozu Zjednoczenia Narodowego, czyli stronnictwa rządzącego Polską jedynowładnie. Jego zastępcą, dowódcą piechoty dywizyjnej, był pułkownik Wacław Stachiewicz, z niedalekiej przyszłości generał i szef Sztabu Głównego. I pułk piechoty Legionów: podpułkownik

Zygmunt Wanda, przyszły szef sztabu OZONu, bojowy taran sanacji, osobistość przez, opozycję znienawidzony chyba tak samo jak Józef Beck. 5 pułk piechoty Legionów: podpułkownik Tadeusz Pełczyński, wyższy oficer II Oddziału Sztabu, za okupacji szef sztabu Armii Krajowej, generał „Grzegorz”.

Jeden tylko 6 pułk piechoty Legionów, którym dowodził pułkownik Stefan Biestek, w polityce nie błyszczał, słynął z twardej dyscypliny, a podczas kampanii wrześniowej spisał się najpiękniej w dywizji. Zastępcą dowódcy tego pułku był za moich czasów, przeniesiony później gdzie indziej, podpułkownik Zygmunt Berling.

Już chyba dostatecznie wyjaśniłem, jakie to czynniki rozstrzygnęły, że Henryk Dembiński zmienił tytuł „strzelca z cenzusem” na takiegoż „legionistę”, opuścił Zambrów by powrócić do Wilna.

Był on wtedy nadzieją sanacji, zagrożonej przez uwiad starczy, tych mianowicie kręgów rządzącej partii, w których jeszcze żyła dawna ideologia legionowa, mocno nasycona lewicowymi sympatiami. Ludzie na poziomie umysłowym Stachiewicza czy Pełczyńskiego musieli jasno pojmować, że tak zwany „obóz niepodległościowy” nie może wiecznie stanowić zamkniętej ekipy, bo już zupełnie dojrzeli tacy, co w roku 1914 byli bachorami, nie może również stawiać na swych tylko młodocianych amatorów drobnych pensji rządowych. W kilka lat później góra rządząca dokonała demonstracyjnych gestów w kierunku prawicy - Rydz - Śmigły odwiedził kwaterę Arkonii w Warszawie i Polonii w Wilnie. Wcześniejsza sprawa z Dembińskim była próbą przyswojenia młodej lewicy.

Opuśćmy szczyty, kto chciał patrzeć, ten w koszarach pułkowych mógł zobaczyć ścieranie się rozmaitych tendencji społecznych w jednym i tym samym wojsku. Obserwowałem kiedyś pewien raport kompanijny, podczas którego ordynans porucznika złożył zażalenie na swego patrona. Dostał od niego po twarzy i skorzystał z regulaminowego prawa skargi. Wyrok wydany został natychmiast i brzmiał zwięźle: trzy dni aresztu ścisłego dla ordynansa. W tym samym czasie major Józef Rocznik, odznaczony wszystkimi orderami bojowymi jakie tylko istniały, głośno mawiał przy podkomendnych, że instytucja ordynansów hańbi wojsko polskie. Tadeusz Pełczyński, człowiek wielkiej kultury osobistej, nie cierpiał koszarowego drylu, nie wymagał żadnego wyprężania się w strunę. Całkiem podobnie zachowywali się Stachiewicz i Skwarczyński. Podpułkownik Wenda, który Dembińskiego znał dobrze i okazywał mu wyraźną sympatię, był osobnikiem dość strasznym, siał mianowicie istny popłoch wśród oficerów zawodowych, szeregowych i rezerwistów wszelkich stopni traktował życzliwie. Stwarzało to niekiedy sytuacje zdecydowanie komiczne, przynajmniej na mój gust.

Już jako podchorąży zostałem kiedyś wyznaczony podoficerem służbowym I pułku na Pohulance. Zjawił się Wenda, trzasnąłem obcasami, podał mi rękę, pogawędził o swym piesku, dogu o rozmiarach cielaka, i poszedł do kancelarii. Po chwili przyszedł jeden z majorów.

- Panie podchorąży, jest pułkownik?

- Jest.

- No to mnie nie ma.

Jeszcze kilka minut i ta sama historia z pewnym kapitanem.

Wcale nie wszystko było proste w wojsku, w którym kotłowały się i współzawodniczyły rozmaite tendencje i tradycje. Wspomniany przed chwilą wyrok na ordynansa wydał kapitan pochodzący nie z legionów, lecz z armii austriackiej.

W czasie procesu lewicy u schyłku 1937 roku wileńskie koła legionowe i wojskowe dostarczyły świadków, zajadle broniących Dembińskiego. W sposób bardzo dlań przychylny zeznawał między innymi dowódca naszej podchorążówki, kapitan Józef Sierosławski, wielki służbista. (Podczas kampanii wrześniowej pełnił on funkcję w Wilnie. Opowiadano mi, że po 17 września przyłączył się do jakiegoś oddziału stawiającego opór na wschodzie i wszelki słuch o nim zaginął).

Nie twierdzę, że wszyscy oficerowie darzyli Dembińskiego sympatią, na niższych zwłaszcza szczeblach hierarchii byli tacy, którym jego opinia polityczna nie szła w smak.

Po ukończeniu kursu zostaliśmy przydzieleni, jako plutony podoficerów z cenzusem do poszczególnych jednostek dywizji. Nam, którym przypadł w udziale I pułk, świadomi tajemnic wojskowych przyglądali się ze współczuciem. Naszym przełożonym został bowiem najstraszniejszy oficer armii polskiej - późniejszy major - Jaśkowski z carskiej służby się wywodzący. Słynął on jako bardzo dobry dowódca bojowy i kat prawdziwy na oficerów rezerwy i takichże podchorążych.

- Panie poruczniku, a co pan jest z zawodu? - potrafił zapytać przed frontem batalionu.

- Nauczyciel, panie kapitanie.

- Och, ja sobie wyobrażam, jakie te dzieci będą głupie.

Nie narzekaliśmy. Okrutnik lubił porządne, z zacięciem pełnienie służby oraz widok podkomendnych, asystujących płci pięknej. I w jednym i w drugim względzie zaspakajaliśmy jego wysokie wymagania. W nocy, na Pohulance, podczas zimowego deszczu, stanął raz przed naszym plutonem:

- Pójdą patrole bojowe w bród przez rzekę. Ochotnicy na dowódców patroli - wystąp!

Cały pluton zrobił przepisowe trzy kroki w przód. Osłupiały kapitan pomilczał trochę, poczem zwrócił się do sierżanta:

- Szeffie! Co to za wojsko? To mają być podchorążowie r e z e r w y ?

Żaden patrol na Żejmianę nie poszedł. Nastąpiło ulaskawienie.

Któregoś poranku, przed wymarszem z koszar na ćwiczenia, Dembiński zwrócił się do niego z prośbą o przepustkę, do miasta, a to w celu poczynienia starań o stypendium z Funduszu Kultury Narodowej. Jaśkowski, ogromny, ponury, z blizną na czole, z czapką zsuniętą na potylicę i z Virtuti Militari na spłowiałym mundurze, długo przyglądał mu się swymi bladymi oczami.

- I panu nie wstyd?

- Nie rozumiem, panie kapitanie.

- Pan chce stypendium z Funduszu Kultury Narodowej? Przecież pan jest komunistą.

Dał przepustkę, ale pod warunkiem natychmiastowego złożenia deklaracji, że podpisany na niej Henryk Dembiński do partii komunistycznej nie należy i nigdy nie będzie należał. Nie wiem, co z tym papierkiem zrobił, w każdym razie sprawa tego oświadczenia nie wypłynęła nigdy podczas późniejszych procesów i ataków prasowych. Jedynym świadkiem sceny byłem ja, niniejszy zaś pamiętnik jest moją pierwszą w ogóle relacją o niej. Trzydzieści siedem lat minęło, nie warto już dłużej robić tajemnicy.

Na razie nie zawiedli się na Dembińskim życzliwi mu wyżsi oficerowie. Pełnił służbę jak trzeba było, wielkie zdolności pozwalały mu chwytać nową wiedzę w lot i wykazywać to w praktyce. Powiedział mi kiedyś, że uważa wojsko za jedyną instytucję w ustroju kapitalistycznym zasługującą na szacunek. Cechowała go pewna skłonność, która na patrzących z boku mogła wywierać wrażenie ujemne. Ale ze swej strony nie żywię najmniejszych wątpliwości, że Dembiński szczerze zapalał się do tej roboty, co mu akurat przypadła w udziale, pociągało go rozwiązywanie jej trudności, romantyczna strona każdej ucziwej pracy. Był bardzo ambitny, z wyraźnym niestety odchyleniem w kierunku mentalności prymusa, lubił błyszczeć, przodować, być podziwiany.

W pierwszym okresie szkolenia uzyskał najwyższą lokatę w naszej podchorążówce, lecz potem już nie powtórzył tego sukcesu. Osłabł fizycznie, bo pod tym względem nie był tytanem, nie dawał rady, na odparzonych plecach wyskakiwały mu wrzody - wszystko razem wzięte musiało wpłynąć na wynik ogólny. W ówczesnym wojsku polskim kandydatów na podchorążych przepuszczano przez taki magiel, że i najsilniejszym oczy stawały niekiedy w ślup. Na manewry zimowe żołnierze zwykłych kompanii szli objuczeni lżej - niezbyt wyładowany plecak, jeden koc. W podchorążówce było inaczej: tornister, w nim zapasowy

mundur z drelichu, zmiana bielizny i tak dalej, dwa grube koce i pięknie stoczona pod klapą rańca para zapasowych butów z przepisową ilością żelaznych gwoździ w podeszwach. Z tym wszystkim na grzbiecie brnęło się przez śnieg po kolana, jeśli trzeba było zrobić daleki i szybki wypad, to naturalnie wykonywała go podchorążówka. Przytrafiło się na polu ćwiczeń pułkowych, że wszystkim kompaniom dowódcy samorzutnie poprzerywali zajęcia i ze względów pedagogicznych kazali się przyglądać naszym wyczynom. - Popatrzcie, jak podchorążówka dostaje w kość i nie pyskujcie, że wam ciężko w wojsku - w tym duchu przemawiali do szeregowców.

Nie jestem całkowicie przekonany o słuszności opisanej metody, a najlepszy argument przeciwko niej upatruję w losach Dembińskiego, którego zdolności i dobre chęci magiel trochę stłamsił.

Na zakończenie kursu zdarzyła się historia godna upamiętnienia, bo charakterystyczna dla postawy wysokich czynników w Dywizji Legionowej. Jeden z hagiografów napisał, że spreparowano wyniki i przeznaczoną - po sprawiedliwości - dla Dembińskiego szablę honorową otrzymał kto inny. Nikt tego oręza nie dostał, jedyna szabla, która odegrała rolę podczas uroczystości należała do pułkownika Stachiewicza. Odpasał ją i przycisnął nią dyplomy, bo wiał silny wiatr. Wręczał je elewom wywoływanym według porządku alfabetycznego, a nie według listy lokacyjnej, której w ogóle nie sporządzono. Zastąpił ją podział na „grupy postępu”. W najwyższej, „bardzo dobrej”, znalazło się nas siedmiu wraz z Dembińskim - na równi. Pozostawało to w idealnej sprzeczności z przepisami wojskowymi, które nie uznawały żadnej równości. Z dwóch żołnierzy tego samego stopnia jeden musiał być starszy, o czym z góry rozstrzygała lista lokacyjna, data ostatniego awansu, order. Wyznaczając do jakiegokolwiek funkcji dwóch szeregowców, jednego z nich należało koniecznie mianować doraźnym przełożonym tego drugiego. Ktoś musiał mieć zawsze prawo rozkazywania związane jak najściślej z kwestią odpowiedzialności.

Pryncypia te przypomniano nam dobitnie, gdy tylko zjawiliśmy się w I pułku i znaleźli w zasięgu władzy oficerów liniowych. Zajęliśmy wyznaczoną nam salę koszarową i zaraz zjawił się w niej kapitan Jaśkowski. Pierwszy z kolegów, który go zobaczył, krzyknął jak należało: „baczność!” lecz dalszy ciąg wykonywania przepisów nie nastąpił.

- A co to nikt nie melduje? Który z was starszy?

Wystąpiliśmy obaj z Dembińskim jako przynależni do owej grupy postępów bardzo dobrych.

- Ja się pytam wyraźnie: kto z was starszy?

- Jesteśmy równi, panie kapitanie.

- Równi? Ja widzę, że u was tu komuna! To ja ją zaraz wyprowadzę. Pan przyprowadzi dziś jeszcze pluton do Kojran - zwrócił się do mnie - na takie to wzgórze, o tej i tej godzinie. Zobaczymy, jak pan potrafi maszerować według mapy. I niech no się pan spróbuje spóźnić.

To było czysto po wojskowemu. Od chwili wydania tego rozkazu aż do momentu jego wykonania odpowiedzialność obciążała tylko mnie i nikogo więcej w plutonie.

Nie ma na to żadnych dowodów, ale jestem przekonany, że dziwny sposób zakończenia pierwszego kursu podchorążych w Dywizji Legionowej podyktowały wyżej omówione względy polityczne. Stwierdziła to dodatkowo atmosfera dnia nadania nam tytułów podchorążowskich. Zebrana znowu do kupy kompania odbyła defiladę, podczas której wystąpiły wszystkie trzy sztandary pułkowe, każdy z krzyżem *Virtuti Militari* na drzewcu. Do niesienia chorągwi I pułku wyznaczony został Henryk Dembiński. Mówił mi wieczorem, że zaszczyt wzruszył go szczerze. Byłem o tym przekonany już po wysłuchaniu jego przemówienia, ogłoszonego na zakończenie uroczystości, po zbiorowym obiedzie w kasynie oficerskim. Oracja wypadła tak pięknie, że pułkownik Stachiewicz, pan zazwyczaj bardzo powściągliwy w gestach, nie wytrzymał. Wstał z prezydialnego miejsca, ze łzami w oczach podszedł do mówcy i uściskał go wobec tłumu oficerów i podchorążych.

Jasne jest, że przemawiać w tych okolicznościach mógł tylko ten, kogo do tej funkcji wyznaczono. Bez najmniejszego trudu potrafiliby przełożyć Dembińskiego okazji do ponownego zabłyśnięcia. Jak widać, wcale im na tym nie zależało, wręcz przeciwnie nawet.

Dość to były skomplikowane sprawy, uprawiana dziś przez wielu zabawa w niebo i piekło sprawia wrażenie prostackie.

Nie mogę się jeszcze rozstać z podchorążackim tematem, a to ze względu na ludzi, z którymi mnie wtedy los zetknął. O kapitanie Józefie Sierosławskim już wspomniałem, nie wiem zupełnie co się stało z naszym specjalistą od karabinów maszynowych, porucznikiem Januszem Malarczyńskim, dobrym, dziko wymagającym oficerem. Moim i Dembińskiego bezpośrednim przełożonym, dowódcą I plutonu, był porucznik Alfons Jerzy Jakubianiec, podczas wojny kapitan, rozstrawiony przez Stanisława Strumph - Wojtkiewicza książką „Tiergarten”, bohater naszego głębokiego wywiadu wojskowego, ujęty podczas wojny przez Niemców w Berlinie i stracony. Energiczny i rzutki był zawsze, umiał z żołnierza ostatni pot wycisnąć podczas ćwiczeń, ale niepodobna było sobie nawet wyobrazić wyczynów, do jakich okazał się zdolny ten pierwszy w naszej dywizji tancerz, spec od mazura, elegant gorszący służbistego zwierzchnika mundurem balowym barwy niemal białej.

Drugim plutonem dowodził powszechnie lubiany porucznik Antoni Olechnowicz, wysoki, śniady, wywodzący się bodaj z Tatarów litewskich. W 1939 roku parokrotnie spotkaliśmy się na froncie. Dziwnie wtedy ominęła go droga do Katynia. Dostał się do niewoli sowieckiej, gdzie starannie rozdzielano oficerów i ludzi o wyglądzie oficerskim od szeregowych. W chwili sposobnej jeden z tych ostatnich szarpnął Olechnowicza za poję.

- Stań pan na moim miejscu, a ja na pańskim - szepnął. - Kto powie, że ja oficer, jak pokażę ręce?

Major Olechnowicz opowiedział mi o tym już w Armii Krajowej. Był jej ostatnim dowódcą na Wileńszczyźnie. Potem wywędrował za Bug i wznowił konspiracyjną robotę, stojąc w roku 1945, u jego schyłku, na czele tak zwanego Mobilizacyjnego Ośrodka Wileńskiego Okręgu A.K. Aresztowanego w roku 1948, skazano w dwa lata później - w same Zaduszki - na śmierć i stracono.

Ten naprawdę działał w podziemiu przeciwko Polsce komunistycznej. Pod jakimś podobnym zarzutem stanął i również stracony został generał „Nil”, za moich czasów podpułkownik dopiero i zastępca dowódcy I pułku, Emil Fieldorf. Upłynęło jeszcze kilka lat i w wypełnionej szczelnie kaplicy Jezuitów przy ul. Rakowieckiej w Warszawie uczestniczyłem w uroczystym, jawnym nabożeństwie żałobnym za duszę żołnierza bardzo zasłużonego w Armii Krajowej. Nastąpiła rehabilitacja, oficjalnie stwierdzono, że generał „Nil” skazany został niesłusznie. Obawiam się, że ci, co wydali wyrok, wiedzieli o tym od początku.

Już we wrześniu 1939 ruszyła na tamten świat zadziwiająco liczna falanga tych ludzi, na których ulotka komunistyczna, wręczona mi na Pohulance przez żandarma, wskazywała jako na prawdziwych wrogów ludu. Ma samym wstępie drugiej wojny światowej polski korpus oficerów zawodowych poniósł takie straty, że przestałby istnieć, gdyby wrześniowe tempo potrwało ze dwanaście miesięcy. Przebieg okupacji - i to od samego początku - nie dowiódł jednak, że radosny fakt zdziesiątkowania kasty wrogów ludu wyszedł temuż ludowi na dobre.

Po zakończeniu służby w wojsku drogi Dembińskiego i moja rozeszły się już na zawsze i we wszelkim względzie. Dla mnie zaczął się wtedy okres przykry, pełny rok bezrobocia. On, zdjawszy mundur we wrześniu 1933 roku, do grudnia zdążył napisać rozprawę doktorską i uzyskać tytuł. („Słowo” Mackiewicza nie omieszkalo obwieścić, że praca „pana Dembińskiego” zalicza się do tych, których Wilno powinno się wstydzić, znajomi prawnicy z kół liberalnych wyrażali się o niej bez entuzjazmu; „Ot, międlonie Marksa” - powiedział mi jeden z nich). Zaraz potem, jako stypendysta Funduszu Kultury

Narodowej, pojechał na czas dłuższy za granicę, do Austrii i Włoch. Dyrektora tego funduszu pomawiano o sympatie prawicowe (to nic, że rząd zwalcza endeków, pan Michalski ich będzie popierać - w sposób bardzo mało elegancki napisały raz „Wiadomości Literackie”). Pomimo to wielu zdecydowanych lewicowców, już nie mówiąc o liberałach i tak zwanych postępowcach, uzyskiwano z tego źródła pieniądze jawnie i legalnie. Nie tylko ta jedna kasa państwowa postępowała podobnie, skoro Stefan Jędrzychowski mógł odbyć praktykę konsularną w Strasburgu.

Przeglądając życiorysy ludzi z mego pokolenia, oskarżających dziś surowo Polskę ówczesną, zauważa się ze zdziwieniem, że wielu spośród nich nie wahało się jakoś korzystać z pomocy finansowej ze strony tego obrzydliwego państwa. Niektórzy szydzą nawet z miserii otrzymywanych wówczas stypendiów. Cóż, istnieje, rozpowszechniony jest typ człowieka skłonny do mniemania, że zawsze i wszędzie należy mu się wygodne życie na koszt publiczny. W ostatnich czasach ta odmiana ludzka rozmnożyła się niepokojąco przynajmniej u nas.

Dembiński pojechał więc do Rzymu. Podobno „czynniki” spodziewały się, że styczność ze Stolicą Apostolską dobrze mu zrobi. Był sztandarowym katolikiem, prezesem „Odrodzenia”, w przemówieniach studenckich nieraz powoływał się z ogniem na wiarę i Stwórcę. Podczas służby w wojsku nie praktykował, zachowywał się dokładnie tak samo jak ja, to znaczy po libertyńsku. Z tą różnicą, że ja nie kpiałem z tych, którzy przystąpili do komunii wielkanocnej.

- Ale nasz przyjaciel trochę jednak endekiem pachnie coś w tym rodzaju szeptał mi na ucho w kościele garnizonowym, wskazując oczyma kolegę idącego ku ołtarzowi.

Widziałem się z Dembińskim wkrótce po jego powrocie z zagranicy, czyli wiosną 1935 roku. Wraz ze mną poszedł go odwiedzić Bogumił Zwolski, asystent historii. W podchorążówce trzymaliśmy się tak dalece razem, że porucznik Jakubianiec zwał nas „trzema muszkietierami”. W mieszkaniu przy ulicy Poleskiej czekał już nie ten Henryk, co dawniej. Nie zwierzał się z odbytej wędrówki intelektualnej, ale z ogólnego tonu rozmowy wynikało, że powrócił z Zachodu zdecydowanie już przechylony na stronę komunizmu.

Rzecz zasługująca na uwagę: dzisiaj wyprawa w tamte strony wcale często zaraża ludzi uwielbieniem dla kapitalizmu czy też nawraca ich - dobór terminologii zależy od punktu widzenia - w owym zaś czasie wcale nierzadko bywało całkiem na odwrót. Nie zamierzam tu kusić się o diagnozę, ale wolno mi chyba zauważyć, że ówczesni krytycy kapitalizmu nie przewidzieli jednej jego cechy, a mianowicie elastyczności, zdolności ewolucyjnych. W dobie wielkiego kryzysu trochę zbyt pochopnie zabierano się bić temu systemowi w dzwony pogrzebowe.

Dembiński był w Austrii świadkiem krwawej rozprawy kanclerza Engelberta Dollfussa z socjalistami, pisywał korespondencje do „Kuriera Wileńskiego”. Z niemiłosierną kpina opowiadał nam o grubym policjancie austriackim, który go odwiedził w mieszkaniu i dopytywał o autora kłamliwych, niesłusznych - jak się wyrażał - artykułów w prasie polskiej. Spodziewał się uzyskać jakieś wiadomości od jedyne go w Wiedniu odbiorcy „Kuriera” i szczerze się zmartwił zawodem. Pewien wysłany z Rzymu list Dembińskiego, zawierający porównanie dynamiki płac czy cen we Francji i we Włoszech faszystowskich, nigdy nie doszedł do rąk adresata. W relacji o tym fakcie nie dosłuchałem się ani nutki kpiny, dźwięczało w niej raczej uznanie dla sprawności działania wiadomych służb państwa totalnego. Wobec ogólnego tonu wywodów gospodarza, wobec jego natrzasań z liberalnych mrzonek i ślamazarności, nie zdziwiło mnie to specjalnie. Ale wyobrażenie naiwnego policjanta z Wiednia odcisnęło mi się w pamięci w sposób zgoła sympatyczny.

Poznałem wtedy Dembińskiego - ojca. Niemłody, wąsaty kolejarz w mundurze i długich butach wywierał wrażenie twardego człowieka, rzeczywiście wyglądał na takiego, co potrafi odmówić prowadzenia transportów wojsk, jadących walczyć z jego krajem. Zagranicznych nowin nie komentował, dobitnie przedstawił nam za to pewien konkret polski. Chodziło o premie za oszczędzanie węgla. Cała zasługa przypadała, rzecz jasna, maszynistom i palaczom, lecz nagrody dzielono procentowo i znaczne sumy wypłacano dostojnikom zza biurka, którzy nigdy nie dotykali parowozu. Niezadowoleni maszyniści wystąpili więc z wnioskiem całkowitego skasowania premii, gotowi byli oszczędzać nadal - już za darmo. Oddalono to przedłożenie.

Doświadczenia późniejsze przekonać mnie miały, że zawilości z premiami stanowią zjawisko natury ponadustrojowej. Potwierdzają to liczne artykuły polskiej prasy powojennej. Autorzy ich biadali nad ujemnymi objawami w sposób równie skuteczny, co ów niemłody kolejarz. W pewnej bluźnierczej anegdocie Judasz odzywa się do Chrystusa: „Panie, o Panie! tylko bez cudów, albowiem gramy o pieniądze”.

W tym samym 1935 roku Henryk Dembiński zaczął redagować i wydawać w Wilnie komunizujące tygodniki „Po prostu” i „Karta”. Czytywałem je systematycznie, złościąc się na pozostałe po konfiskatach białe plamy. Zdaje się nawet, że byłem ich jedynym prenumeratorem w mieście Grodzie (gdzie sprawowałem obowiązki nauczyciela historii w prywatnym gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej). Taką przynajmniej wiadomość przywiózł mi z Wilna jeden z moich uczniów, który odwiedził redakcję, a domyślałem się, że to i owo pisywał pod pseudonimem. Był Żydem, jego sympatie polityczne nie stanowiły dla mnie żadnej tajemnicy. Rozpoznać je było bardzo łatwo po sławetnym „materialistycznym

pojmowaniu dziejów”. Komunizujący uczniowie przeważnie lubili historię i miewali z niej często dobre stopnie.

Ostatni raz w życiu widziałem Henryka Dembińskiego pod koniec 1937 roku, podczas sławnego procesu młodej lewicy wileńskiej. Zasiadał na ławie oskarżonych obok Stefana Jędrychowskiego, tuż nad zajmującym niższe miejsce Jerzym Putramentem. Uzyskałem dwie karty wstępu, przyszedliśmy na rozprawę wraz z Władką, moją pierwszą żoną. I ona dobrze znała oskarżonych, skończyła ten sam uniwersytet, chemię. Przysiadł się do nas kolega, Jerzy Eysymontt, prawnik, wtedy już wyższy urzędnik województwa. Prosząc o zachowanie najściślejszej tajemnicy opowiedział po cichu o wykrytym przez władze archiwum komunistycznym, zawierającym charakterystyki działaczy. Dembińskiego określono tam jako karierowicza. Wątpię, czy naszemu rozmówcy mogło zależeć na agitowaniu i fałszywym informowaniu właśnie nas, ludzi z boku. Nie widać powodów.

Nieprzychylna charakterystyka jakoś pasuje do losów Dembińskiego za czasów władzy sowieckiej. Zeszedł on zdecydowanie na boczny, całkiem prowincjonalny tor, a proszę mi nie wmawiać, że za rządów Stalina ludzie jego typu mogli sobie swobodnie obierać ścieżki działania. Może nie tylko o to chodziło, że podczas procesu Dembiński - zdaniem komunistów - zdecydowanie odcinał się od partii. Wróć jeszcze do tego tematu, do tych spraw wtórnych, pozorów.

Oskarżonych bronili znakomici adwokaci i cała - nie tylko wileńska - lewicowa i liberalna opinia, od „Robotnika” po „Wiadomości Literackie”.

W ówczesnej Polsce wyraźnie występowało to samo zjawisko, które dziś rzuca się w oczy każdemu nieco tylko uważniejszemu obserwatorowi stosunków panujących na Zachodzie. Wszystko, co tylko zabarwione jest tonem czerwonym lub czerwonym, co ogłasza się za lewicowe, natychmiast zyskuje uwagę, poparcie i poklask czynników tworzących opinię „postępową”. Ciągłe - jak się wyraził anonimowy autor z „Espru” - daje o sobie znać kompleks niższości Żyrodysty wobec „Górala”. Nawet ocena zbrodni zależy u firmowych progresitów od tego, kto ją popełnił. W jednym więc wypadku rzecz nazwana zostanie po imieniu, w drugim zaliczona do kategorii „błędów i wypaczeń”, wzmiankować się o niej będzie pobieżnie, z wyraźnym pośpiechem do puszczenia w niepamięć: Objawy te są tak znane, że wstyd o nich pisać i czynię to tylko po to, by przypomnieć, iż nie są ani nowe, ani specjalnie zachodnie.

Przypuszczam, że łatwość uzyskiwania rozgłosu wpływała na wybór drogi politycznej u wielu osób. Dość wyrazistym argumentem są losy lewicowej grupy wileńskiej, której wczesna sława o wiele przerosła możliwości intelektualne jej członków. Większość ich

ocalała z wojny, rok 1945 otworzył przed tymi ludźmi szerokie możliwości. No i co? Można bronić tezy, że ich rola w Polsce komunistycznej wynikała po prostu z dawnego, przedwojennego rozgłosu. Przecież wtedy opinia doskonale znała i takich, którzy po wojnie beznadziejnie w naturalny sposób znikli ludziom z oczu i nic im nie pomogły nawet wysokie stanowiska urzędowe.

Trudno zazwyczaj bywa tym, którzy liczą wyłącznie na własne siły i pracę. O ileż łatwiej takim, co wcześniej wskoczą na jaskrawo pomalowane szczebelki polityczne.

W jednym i tym samym czasie tworzyły w Polsce dwie literatki - Maria Jasnorzewska - Pawlikowska i Wanda Wasilewska, poetka naprawdę wielka i osobistość z pogranicza grafomanii. Któraż z nich zdobyła większą sławę i czemu tak się stało? Całe szczęście, że nie tylko hałasy polityczne liczą się na tym świecie. Istnieje jeszcze historia kultury oraz czas, jedyny kompetentny sędzia w jej sprawach.

W ostatnim bodaj swym wywiadzie dla paryskiego „Le Monde” Witold Gombrowicz powiedział rzecz bardzo trafną na temat młodzieży francuskiej, która w maju 1968 roku urządziła w Paryżu awantury, głosząc, że stoi na lewo od partii komunistycznej. Nie ma żadnego problemu młodzieży na Zachodzie - orzekł - jest tylko problem dziennikarskiego rozgłosu. Niech gdzieś zademonstruje pięciuset studentów, natychmiast zaczną krzyczyć pięć tysięcy żurnalistów.

W grudniu 1937 roku wileński Sąd Okręgowy skazał Henryka Dembińskiego i Stefana Jędrychowskiego na cztery lata więzienia, pozostałych oskarżonych uniewinnił. W marcu najbliższego roku obaj skazani opuścili więzienie. Czekala ich jeszcze rozprawa apelacyjna, która odbyła się w maju 1939 roku. Na jej temat p. Anna Kompielska - Jędrychowska napisała:

„Na procesie w drugiej instancji sądowej przewodniczący zespołu sędziowskiego prowadził rozprawę pospiesznie, jakby chcąc oddalić niemiłą mu sprawę. Wszyscy zostali uniewinnieni”.

P. Jędrychowska zemdlala wysłuchawszy wyroku, skazującego jej męża na cztery lata więzienia, o czym ze współczuciem pisały gazety. Powinna więc była interesować się losem człowieka, który wspomnianego małżonka całkowicie uniewinnił. Przypadkiem mogę udzielić na ten temat informacji pewnych.

Sędzia Wacław Brzozowski, który przejmował się sprawą tak, że parę nocy nie spał, został aresztowany przez władze sowieckie 9 października 1939 roku (państwo Jędrychowscy bawili wtedy w Wilnie) i już nie powrócił. Za informacje powyższe ręczę i głową i zbawieniem duszy. Był on teściem mojej siostry, w przededniu aresztowania moja żona

blagała go, by opuścił swe mieszkanie, schronił się w naszym. W trzy tygodnie później oddano Wilno Litwinom, sędzia mógł ocaleć. Mniej pewne wygląda, jak następuje: W czerwcu 1941 roku był pędzony wraz z innymi więźniami pieszo na wschód, bo Niemcy nacierali ostro; stary, chory na serce człowiek nie nadązał i został zastrzelony przez jednego z konwojentów. Tak było, czy inaczej - wolności nie odzyskał, żyć przestał jako więzień.

Spośród wybitnych świadków obrony, zeznających w procesie Dembińskiego, księdza Henryka Hlebowicza, Mieczysława Niedziałkowskiego i profesora Mieczysława Gutkowskiego zamordowali Niemcy. Kazimierz Pużak zmarł w roku 1950 w więzieniu polskim.

O wyroku wileńskim pisuje się znacznie częściej niż o losie wybitnego socjalisty Kazimierza Pużaka, byłego więźnia carskiego Schlüsselburga.

Gdy przed kilku dniami minister Stefan Jędrzychowski przyjechał do Paryża, „Le Monde” uwiadomił Francuzów, że dostojny gość został w Polsce przedwojennej skazany na cztery lata pozbawienia wolności, nie wspomniał jednak o skasowaniu wyroku. Zapomniano widać poinformować redakcji o tym drobiazgu.

Dzisiaj żyjący bohaterowie procesu i osoby im bliskie twierdzą, że należeli wówczas do partii komunistycznej. Jeśli tak, wyrok pierwszej instancji był słuszny, oparty na obowiązującym prawie i powściągliwy, bo spośród sześciorga oskarżonych uniewinniono czworo. Adwokaci oraz liczne grono świadków obrony - wśród nich posłanka Wanda Pelczyńska, żona pułkownika, szefa II Oddziału Sztabu - zostali wprowadzeni w błąd.

Namiętym przeciwnikiem oskarżonych był Stanisław Cat - Mackiewicz i pamiętnik p. Jędrzychowskiej dostarczył mu jednej z ostatnich pociech w życiu.

- No co? ja! ja miałem rację! - krzyczał prawie, patrząc na mnie roziskrzonymi oczyma.

xxx

Pewne działanie militarne, przeprowadzone wspólnymi siłami Adolfa Hitlera i Józefa Stalina, tak dalece oddzieliło mnie od niektórych moich ci - devant kolegów, że przestaliśmy się sobie kłaniać. O uczynkach ich dowiadywałem się od innych ludzi, to i owo można było czasem przeczytać.

Gdy Litwini przyjęli od bolszewików prezent w postaci Wilna, zaczęła się w tym mieście ukazywać prasa polska także. W pierwszym numerze „Gazety Codziennej” Józefa Mackiewicza znajdował się artykuł pod tytułem, który zapamiętałem: „Jak pan Dembiński

zniszczył archiwum państwowe?” Okazało się, że kierował wywiezieniem zbiorów tej instytucji, zawierającej dokumenty bezcenne dla dziejów i Białorusi, i Litwy, i Polski. Ładowano akta na ciężarówkę tak, jak się zazwyczaj ładuje makulaturę, nie zwracając uwagi na podział według epok, na segregację, której dokonanie wymagało długich lat fachowej pracy, i na inne podobne drobiazgi.

W tym samym czasie Dembiński pomagał funkcjonariuszom sowieckim zabierającym pewne dzieła ze zbiorów Biblioteki Wróblewskich oraz Instytutu Badawczego Europy Wschodniej. Został tam własne koleżanki, ba! towarzyszy z wileńskiej lewicy akademickiej. I do nich właśnie zwracał się w obecności wyżej wspomnianych funkcjonariuszy w sposób ostentacyjnie surowy, groźny nawet. Zapytywał mianowicie, co będzie, jeśli się okaże, że nie wszystko oddano.

W zimie roku 1940 - Wilno z Kownem i całą Litwą było już wtedy włączone do Sowietów - Dembiński wziął udział w konferencji nauczycielskiej. O przebiegu zebrania dowiedziałem się tego samego wieczoru od jednej z uczestniczek, długoletniej nauczycielki bardzo we względzie metodologicznym awangardowej szkoły „Świt”, Stanisławy Adamowicz, siostry mojej żony. Na sali zebrało się towarzystwo wielonarodowe - Litwini, Polacy, Rosjanie, Żydzi. Jeśli nie wszyscy, to znakomita większość rozumiała po polsku, a równouprawnienie języków było zasadą rygorystycznie wtedy akcentowaną, z czego nauczyciele Polacy korzystali swobodnie. Dembiński zaczął w mowie rodzimej: „Pozwólcie, że będę mówił w tym języku, w jakim Mickiewicz rozmawiał z Puszkinem” i przeszedł na rosyjski.

Plótl banaly, wywołujące niesmak. Przedwojenne nauczycielstwo reprezentowało poziom naprawdę wysoki, a on nigdy przecież pedagogiki nie liznął, nic z nią nie miał wspólnego, studiował prawo.

Sam fakt zatrudnienia go w szkolnictwie na Białorusi był objawem dającym wiele do myślenia. Jędrzychowski wszedł w skład sejmu, który zatwierdził włączenie Litwy do Sowietów, szybował ku wyżynom, Dembiński spłynął na mielizny, był trzymany z dala od polityki i prasy. Jego zachowanie się w czasie wspomnianego zebrania sprawiło wrażenie rozpaczliwej próby powrotu na scenę. Tym samym trąciły poprzednie popisy gorliwości. Bez entuzjazmu mówiło się o nim w mieście, przeważała opinia, że Jędrzychowski zachowuje się lepiej.

Dembiński przebywał w Hancewiczach na Polesiu, gdy uderzyli Niemcy. Dlaczego nie próbował ująć przed nimi, o własnych siłach przedostać się w głąb Sowietów, ukryć się przynajmniej tam, gdzie nikt go nie znał? Znaczna część Białorusinów witała Niemców

chlebem i solą, bramami triumfalnymi nawet, działacze komunistyczni nie mogli rachować na bezpieczeństwo. Trzeba przyznać, że sowieccy bolszewicy wcale się nie troszczyli o los swych towarzyszy z ziem świeżo pozyskanych, podobno na dawnej granicy polskiej stwarzali trudności uchodzącym na wschód. Jędrzychowski opuścił Wilno pierwszego dnia wojny. Peregrynował rowerem i jakoś nie dał się wyścignąć motorowym wojskom niemieckim. Szanse istniały, po bezdrożach i na piechotę można się z powodzeniem przemykać, zejść nawet tak daleko, że człowiek sam się potem dziwi, spojrzawszy na mapę.

Czyżby zabrakło magnesu? Najwybitniejszemu z polskich komunistów mogło się specjalnie nie śpieszyć w głąb państwa, którego władze potraktowały go w sposób ostentacyjnie chłodny. Nie każda ucieczka gwarantuje bezpieczeństwo.

12 sierpnia 1941 roku Niemcy zamordowali Henryka Dembińskiego w Hancewiczach.

Przytoczyłem poprzednio te motywy, które mogły wzbudzać nieufność Sowietów do niego. Nie mogłem ich pominąć, sądzę jednak, że to był sam naskórek sprawy.

Nie wiem oczywiście jakie plany żywił w tym czasie rząd sowiecki, więc sam Stalin w ostatecznym obrachunku, w stosunku do narodu polskiego, wątpić wszak nie można, że wybierał się na zachód - nie tylko za Bug, lecz może i za Ren. Bez względu na charakter tych planów, jedno wydaje mi się pewne: nie należało podkarmiać niezbyt wygodnego ptaszka. Jak się okazało, Henryk Dembiński był wśród polskich komunistów jedynym człowiekiem o cechach urodzonego przywódcy. Najwyższa łaska spłynęła na Wandę Wasilewską, Stalin mianował ją orędowniczką, duchowym oraz politycznym przywódcą Polaków. Czynił to zupełnie bezpiecznie, ze strony tej damy nie groziła żadna niespodzianka. Talent miary Dembińskiego mógł się wydawać kłopotliwy. Na razie ulokowano go na Polesiu... Aresztowanie Skarżyńskiego, którego nikt prawie wśród publiczności nie znał, nie stanowiło problemu. Na Dembińskiego było może za wcześnie nieco.

Tragiczny zgon Henryka Dembińskiego jest w Polsce opłakiwany oficjalnie. Przypuszczać jednak wolno, że wieść o tej zbrodni niemieckiej nie zasmuciła czynników decydujących na Kremlu w roku 1941.